SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
35 (665) 2025
25–31 sierpnia 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

ZMIERZCH TUSKA

OBRAZKI PRZEDSTAWIAJĄCE UPOKORZENIE PREMIERA W PAŁACU PREZYDENCKIM PRZEJDĄ DO HISTORII. CZY POZBAWIONY WIZJI I CELU SZEF RZĄDU JEST JESZCZE W STANIE PODJĄĆ WALKĘ Z OBOZEM PATRIOTYCZNYM?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
35
9 772544 269502
Numer w sprzedaży do 1 IX 2025 r.

polsat box

Nawet 130 kanałów

w tym cały sport z oferty

tylko za **70 zł/mies.**
przez 2 lata po rabacie

Umowa na min. 24 mies. na Pakiet L. Od 25. mies. 75 zł/mies. po rabacie.

Cena uwzględnia rabat 10 zł/mies. za zgody marketingowe. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Pakiety: Polsat Sport Premium i Eleven Sports dostępne promocyjnie do 31.01.2028. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. LALIGA EA SPORTS dostęp do wybranych meczów, prawa współdzielone z innym nadawcą.

eprasa.pl efd9ec288b

Walka z wiatrakami

Jeśli ktokolwiek próbuje wam wmówić, że w tej grze chodzi o tańszą energię dla gospodarstw domowych, to kręci wami, drodzy czytelnicy, jak wiatrakiem. W żadnym momencie procedowania tzw. przepisów wiatrakowych nie chodziło o niższe ceny prądu. To polityczna zagrywka w iście platformerskim stylu. Każde jej rozwiązanie prowadzi bowiem do wyznaczonego celu, jakim ma być wskazanie polityka, którego można obwinić za rosnące koszty życia i wynikające z nich niepowodzenia. Także niepowodzenia rządu.

Koalicja Donalda Tuska kręci tymi wiatrakami nie od dziś. Już po wyborach, pod koniec 2023 r., grupa posłów Trzeciej Drogi i Koalicji Obywatelskiej, w tym ówczesna posłanka Paulina Hennig-Kloska, notabene obecna minister klimatu i środowiska, skierowała do Sejmu projekt ustawy przedłużającej zamrożenie cen energii do końca czerwca 2024 r. Dziwnym trafem w dokumencie już na ostatniej prostej ścieżki legislacyjnej znalazły się przepisy liberalizujące stawianie farm wiatrowych w Polsce. Projekt miał umożliwić budowę wiatraków w odległości nawet 300 m od zabudowań, a elektrownie wiatrowe miały trafić do rozszerzonego katalogu inwestycji strategicznych, co pozwalało uniknąć obowiązku uzyskiwania zgodności ich lokalizacji z miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego. Po awanturze w Sejmie, oskarżeniach o to, że ustawę pisali lobbyści, po złożeniu przez posłów PiS w prokuraturze wniosku o sprawdzenie nieuprawnionej działalności lobbingowej czy wręcz działań o charakterze korupcyjnym, Hennig-Kloska w grudniu 2023 r. ostatecznie wycofała proponowane zmiany z ustawy.

Wciąż obowiązujące w Polsce zasady stawiania farm wiatrowych uwierały najwyraźniej wiatrakowe lobby z Europy Zachodniej, spragnione leżącego odłogiem rynku zbytu. Bo choć udało się ostatecznie znieść twardą zasadę 10H, która ustalała dziesięciokrotność wysokości elektrowni wiatrowej jako minimalną odległość inwestycji od istniejących zabudowań mieszkalnych i ustalić mniejszą odległość – 700 m, wciąż było za mało.

A przecież wiatraki czekają już na postawienie na polskich polach i w polskich ogrodach. Przecież Polska ma się zazieleniać zgodnie z Europejskim Zielonym Ładem... W resorcie klimatu i środowiska ciężko zatem pracowano i oto powstał projekt zmiany ustawy o inwestycjach w zakresie elektrowni wiatrowych oraz niektórych innych ustaw. Nowa odległość od zabudowań – 500 m, ostatecznie usunięta zasada 10H i znacznie mniej restrykcyjne reguły stawiania nowych farm wiatrowych, wyższych, bliższych i... wspanialszych. Tyle że trzeba było jeszcze przekonać do tego Polaków, którzy mają już dość zabawy w wiatraki, a w każdym razie coraz uważniej im się przyglądają.

Jak wyjaśnić, że droga energia z wiatraków jest tańsza? Jak przekonać, że dzięki wiatrakom zapłacimy mniej? Tak się jakoś złożyło, że przepisy przedłużające zamrożenie cen energii elektrycznej na poziomie 500 zł/MWh od 30 września do końca 2025 r. znalazły się w toku prac sejmowych właśnie w ustawie wiatrakowej. Niezwykle ważne dla Polaków przepisy dotyczące niższej ceny za prąd ożeniono z niepopularnymi i niechcianymi zmianami w ustawie wiatrakowej.

„Zła wola albo koszmarna niekompetencja. Niewykluczone, że jedno i drugie" – chciałoby się zakrzyknąć, trawestując twitterową reakcję Donalda Tuska na weto prezydenta Karola Nawrockiego do tej ustawy. Ale przecież o to chodziło.

Dla wszystkich było jasne, że prezydent zawetuje wiatrakowe swawole rządu tworzone wbrew obywatelom. Pułapka zastawiona na nowego mieszkańca Belwederu w całej okazałości ukazała zakłamanie polityków koalicji, którzy ruszyli do szturmu, prześcigając się w wyrazach oburzenia, że oto prezydent nie dał Polakom tańszego prądu. Tyle że w tej grze nie chodziło o tańszy prąd.

Energia będzie coraz droższa. To pewnik. Jeśli posłowie sprawnie przeprowadzą (o, naiwności!) złożony przez prezydenta Nawrockiego projekt zamrożenia cen prądu na obecnym poziomie do końca bieżącego roku, jeszcze przez jakiś czas będziemy płacić maksymalnie 500 zł za MWh. Pytanie, jak długo bez elektrowni jądrowej, bez inwestycji w sieć energetyczną, z wciąż rosnącymi opłatami systemu ETS i ETS2, uda nam się tak lawirować między tymi wiatrakami, powtarzając jak mantrę z Brukseli, że trzeba budować nowy Zielony Ład.

Karol Nawrocki zdaje sobie sprawę, że przekonanie rządu do rozsądnej współpracy w najważniejszych dla obywateli sprawach to jak walka z wiatrakami. Teraz piłka jest po stronie posłów. Na rząd nie ma co liczyć... przecież są jeszcze wakacje.

***Maciej Wośko**, „Gazeta Bankowa"*

Reklama | 22/0325/F

eprasa.pl efd9ec288b

SIECI spis treści

30 Głupcy czy prowokatorzy? *Konrad Kołodziejski*

50 Wzloty i upadki pierwszych Piastów *Z Jakubem Magrianem rozmawia Piotr Słabek*

59 Nie tylko Lucy *Jolanta Gajda-Zadworna*

NA POCZĄTEK

5 ZAKAZAĆ RYSZARDA III
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 WYPISZ DZIECKO Z EDUKACJI ZDROWOTNEJ!
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 UNIJNA FARSA KLIMATYCZNA
Daniel Obajtek

12 WŁADZA NA AUTOPILOCIE
Samuel Pereira

13 ENERGIA ZDROWEGO ROZSĄDKU
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA DOROTY DZIADKOWIEC-MICHOŃ
Michał Korsun

16 ZBROJENIA WARTE MILIARDY
Stanisław Koczot

18 CO Z MEMORANDUM BUDAPESZTEŃSKIM?
Jan Pietrzak

18 PANIE TUSK, CO ROBICIE Z KASĄ?
Arkadiusz Mularczyk

19 COŚ JEST NIE TAK!
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 ZMIERZCH TUSKA
Łukasz Wróblewski

KRAJ

24 ILE WAŻY KOSINIAK-KAMYSZ?
Stanisław Janecki

27 KATASTROFA POLSKIEJ DYPLOMACJI
Dariusz Matuszak

30 GŁUPCY CZY PROWOKATORZY?
Konrad Kołodziejski

34 10 LAT W PAŁACU
Piotr Gursztyn

ŚWIAT

38 GRA NA ZWŁOKĘ
Jan Rokita

41 KWADRATURA KOŁA, CZYLI GWARANCJE BEZPIECZEŃSTWA DLA UKRAINY
Marek Budzisz

44 MNIEJ ROBERTA, WIĘCEJ PIOTRA
Grzegorz Górny

47 WOJNA, KTÓRA NADCHODZI
Aleksandra Rybińska

HISTORIA

50 WZLOTY I UPADKI PIERWSZYCH PIASTÓW
Z Jakubem Magrianem rozmawia Piotr Słabek

56 NIEMIECKI FALSTART PRZED 1 WRZEŚNIA
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

59 NIE TYLKO LUCY
Jolanta Gajda-Zadworna

62 HITY I KITY
Piotr Zaremba

64 BLIŹNI BÓG
Robert Tekieli

NATURA DLA LUDZI

66 GALOPEM PRZEZ DZIEJE
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

68 MOJE SZLAKI: BOLESŁAW CHROBRY
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 CZEGO ZACHÓD NIE USŁYSZAŁ
Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

72 DETALE TOŻSAMOŚCI
Aleksander Nalaskowski

73 JĄDRA „BARYŁY", TAKTYKA I LEKTYKA…
Ryszard Czarnecki

74 POLITOLOGICZNY ODLOT?
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl efd9ec288b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zakazać Ryszarda III

Na rozstrzygnięcie Trybunału Konstytucyjnego czeka skierowana tam przez prezydenta Andrzeja Dudę ustawa o tzw. mowie nienawiści przyjęta przez parlament w marcu br. Do istniejących „cech chronionych" (przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej oraz bezwyznaniowości) dołożono: płeć, wiek, niepełnosprawność i orientację seksualną. Przestępstwa dokonywane ze względu na nie mają być ścigane z urzędu.

Pierwotnie prezydent przekazał do TK całość regulacji, uznając ją za ograniczenie wolności słowa. Potem usunął ze swojego wniosku „niepełnosprawność", przyjmując, że osoby kalekie powinny pozostawać obiektem szczególnej troski władz polskich. Czy w taki sposób?

Przemoc musi być karana bez względu na to, przeciw komu jest wymierzona. Dookreślanie osób lub grup, przeciw którym agresja stanowi przestępstwo, sugeruje, że traktuje się je szczególnie i uprzywilejowuje, co uderza w normę równości wobec prawa. Dopuszczalne są odstępstwa od tej zasady, np. podkreślenie, że osoby innej rasy, narodowości, czy odmiennej niż ogół religii również podlegają ochronie prawnej, być może nawet w stopniu szczególnym, gdyż szczególnie narażone są na agresję. Rozwiązania takie są pochodną napięć społecznych i po ich ustąpieniu być może należy je odwołać. Albowiem wszelkie takie specyficzne normy prawne są szczególnie narażone na polityczną instrumentalizację.

Walka z „mową nienawiści" to współczesna cenzura, która ma uniemożliwiać kwestionowanie dominującej ideologii emancypacji, tak jak komunistyczna cenzura uniemożliwiała krytykę marksizmu i jego politycznych realizacji. Naturalnie tak obecna, jak i poprzednia jej wersja odwołują się do szlachetnych zasad – nie istnieje cenzura, która nie uzasadniałaby nimi swojego istnienia.

Siły, które są w stanie ustanowić normę prawną, będą ją także egzekwowały. To one określą, czym jest mowa nienawiści i na czym polega „zniewaga" wymierzona w „orientację seksualną". Można za nią uznać wskazanie, że istnieją tylko dwie płcie. W ten sposób karać można obrońców wszystkich naturalnych zasad cywilizacji.

Nasza „wyzwolona" epoka, który szczyci się tym, że obala tradycyjne tabu i fetysze, na ich miejsce powołuje nowe, liczniejsze i ustawowo chronione. Współczesna ortodoksja opiera się na ideologicznych dogmatach, często bardziej rygorystycznych, a na pewno bardziej arbitralnych niż chrześcijańskie zasady. Prawa człowieka oderwane od prawa natury, a zatem dowolnie konstruowane, okazały się legitymacją politycznego *status quo*.

Należy zgodzić się, że osoby niepełnosprawne powinny podlegać opiece państwa. Czy ma to oznaczać specjalną normę prawną, która będzie to określała? Czy nie będzie ona instrumentem nowej inkwizycji, tropiącej nieprawomyślnych, odwołującej się – jak zwykle – do najbardziej wzniosłych sloganów? Coraz więcej wokół aktywistów, którzy na zlecenie władzy tropią nieprawomyślne wypowiedzi i zachowania, zaspokajając w ten sposób swoją namiętność kontroli i nadzoru – substytut panowania.

W tradycyjnych dowcipach cały segment poświęcony jest „wariatom". Dziś są one zakazane jako natrząsanie się z osób chorych. Czy rzeczywiście, i czy – jeśli nawet uznamy je za prymitywne – ma to oznaczać, że jakość humoru powinniśmy ustawowo weryfikować? I jak to sobie wyobrażamy?

Już Arystoteles zauważył, że komedia jest wyśmiewaniem ludzi gorszych, obdarzonych defektem. Śmiech z kogoś to demonstracja wyższości. Pisałem o tym w książce „Opowieści idioty czy ład naturalny". Należy mieć tego świadomość, co nie znaczy – próbować przezwyciężać to poprzez obowiązujące zapisy. Prawna regulacja humoru to symptom skrajnie opresyjnego systemu.

W tragedii Szekspira Ryszard III to monstrualny garbus, który wypowiedział wojnę światu. Jego zdeformowane ciało stało się przyczyną degeneracji duszy. Czy powinniśmy zakazać tego arcydzieła jako mowy nienawiści wobec ułomnych?

Tendencja, aby za pomocą prawa rozwiązać wszystkie problemy ludzkie, ma charakter utopijno-totalitarny. To wyobrażenie, że możemy i powinniśmy bez reszty racjonalnie zaplanować nasze życie. Tradycyjnie prawo stanowiło tylko jego szerokie ramy. Wewnętrzne treści kształtowane były przez religię, kulturę, etykę, moralność i obyczaj. Struktury te są dużo bardziej elastyczne, a więc adekwatne do złożoności spraw człowieka i pozostawiają mu spory wymiar wolności. Zastąpienie ich normą prawną niszczy naturalne środowisko ludzkie, deformuje prawo i likwiduje wolność. Kreuje system zmierzający ku totalitaryzmowi.

To złudzenie, że mocą prawnych regulacji jesteśmy w stanie zbudować świat idealny. Z pewnością jednak potrafimy niszczyć ten, który istnieje, wypracowany przez długą pracę ludzkich pokoleń. Dzisiejsza hipertrofia norm ustawowych jest tego najlepszym dowodem. Prawo staje się instrumentem, za pomocą którego silniejsi są w stanie zapanować nad resztą.

W imię najszczytniejszych ideałów.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efd9ec288b

Sygnalista nadaje

Neoprezydent KA-EN rozpycha się okropnie. I w ogóle nie jest prezydentem, bo wiadomo, że jest nim nasz Rafał (potwierdzi to przeliczenie głosów przez mecenasa Giertycha). Ale skoro już siedzi w pałacu prezydenckim, to mógłby pomóc naszej dyplomacji, jakże profesjonalnie kierowanej przez ministra Radka i jego żonę Ankę. I nie siedzieć, tylko śmigać do Waszyngtonu, kiedy premier Donald Franciszek Tusk przebywa na urlopie. Przecież jest jasne, że są sprawy ważne i ważniejsze i premier nie będzie zarywał urlopu, bo mu jakiś Trump z Zełenskim zawracają głowę. A ten KA-EN taki nieużyty, nawet się nie ruszył.

Zresztą po co premier miałby jechać na jakąś koalicję chętnych. Nas ta nazwa śmieszy, bo u nas na osiedlu, pod sklepem ogólnospożywczym, też siedzi taka koalicja bardzo chętnych. Zaczepia o drobne – złotówkę albo dwójaka – ale poza tym zachowuje się spokojnie.

PS Radek też ma urlop. To znaczy chyba ma wolne, bo gdzieś zniknął i nikt nie wie, gdzie on jest. Za to ściągnięto jako wicepremierów Kosiniaka-Kamysza i Gawkowskiego. Obaj są młodzi, więc mogą trochę pobiegać, gdy starsi mają zasłużony odpoczynek.

KA-EN, ten neoprezydent, w ogóle zachowuje się podle względem osoby tak mu życzliwej jak premier Tusk. Skandalem jest to, jak podczas ostatniego spotkania potraktował szefa rządu, osobę, która rządziła całą Europą. Kazał na siebie czekać. Przyszedł dopiero o 12.01, a spotkanie było umówione na 12.00. Tego samego dnia!

Jest wreszcie ratunek dla bezdomnego małżeństwa Myrchów! Rząd planuje przeznaczyć lokale z rządowego osiedla dla żyjących w nędzy ministrów i urzędników. Teraz będą mogli mieszkać tam za darmo. Słuszną linię ma nasza władza. Mieszkanie prawem, a nie towarem.

I robi żenujące rzeczy. Neoprezydent KA-EN pojechał do jakiegoś Godziszowa na Lubelszczyźnie. To miejsce, gdzie dostał najwięcej głosów – jakby się było czym chwalić. Prawdziwy prezydent naszych serc Rafał Trzaskowski (pamiętacie go? świetny był!) dostał najwięcej głosów w pięknych miejscach, gdzie żyją piękni ludzie i w ogóle jest glamour. Miasteczko Wilanów, Podkowa Leśna, Sopot, Konstancin. To są miejsca, do których warto jeździć i się pokazywać. A nie jakieś nieeuropejskie wioski na Lubelszczyźnie, które nadają się tylko do tego, żeby być celem dla ruskich szahedów.

Karzący miecz praworządności ***Waldek Żurek*** odpala plan B. Rusza zbrojnie na neo-KRS. W rękach będzie dzierżył najstraszniejszy oręż praworządności, czyli uchwałę Sejmu. A wiadomo, że taka uchwała może unieważnić wszystko, łącznie z prawem grawitacji. Więc tej siły już nic nie powstrzyma.

Plan Waldka to akcja reaktywacja. Z popiołów powstanie stara Krajowa Rada Sądownictwa. Co prawda kilka osób z jej składu jest już w stanie spoczynku, a jedna nawet zmarła, ale Waldek nie jest tym zrażony. To człowiek, który wygrał sparing z maszyną do mycia podłóg. Wygra i teraz, a zyskiem dla całego kraju będzie to, że zamiast jednej KRS będziemy mieli dwie. Neo-KRS i paleo-KRS. A przy tak ambitnym rządzie i ministrze sprawiedliwości to dopiero początek. Potem jeszcze będzie meso-KRS, proto-KRS i epi-KRS. Panie Waldku, pan się nie boi, sky is the limit!

Przedwojenna Polska miała Gdynię i COP, nasze pokolenie ma coś

eprasa.pl efd9ec288b

lepszego. Bo każdy przyzna, że jachty i solaria to coś bardzo fajnego, lepszego niż niszczące planetę fabryki i porty. Mamy program na miarę XXI w., czyli KPO-HoReCa. Flagowy program rządu, który ma poparcie każdej osoby unijnej polskiego pochodzenia. Może jest nas mało, ale liczy się jakość (co widać po miejscach, w których mieszkamy).

Na pytanie w sondażu, czy kontrowersje dotyczące wypłaty KPO branży hotelarsko-gastronomicznej wpłynęły na postrzeganie rządu, aż 8,1 proc. dało odważne świadectwo i powiedziało, że teraz lepiej ocenia gabinet. A cała reszta to hołota, która nie docenia tego, że mamy najlepszego premiera w tysiącletnich dziejach Polski (copyright by Radek Sikorski).

Znowu prawacka małpioludzia czereda rzuciła się na wybitnego dyplomatę, kierownika ***Ryszarda Schnepfa*** (dawniej Sznepfa). Za to, że nie pojechał do jakiegoś Monte Casino, żeby położyć wieceć kwiatów na jakimś cmentarzu z okazji jakiegoś święta, którego prawdziwi unijczycy i tak nie obchodzą. Bo jeśli gdzieś wypada jeździć, to do kasyna w Monte Carlo. Nazwa niby podobna, ale to nie to samo, czego oczywiście prawacka czereda nigdy nie będzie wiedziała. Dodajmy, że tego rodzaju pretensje do kierownika Schnepfa (dawniej Sznepfa) są całkowicie nieuzasadnione. Kierownik nie bywa w tego typu miejscach, zatem też nie był i nie będzie na obchodach obławy augustowskiej. Capisci?

Jeśli chodzi o cenioną i lubianą przez wszystkich prawdziwych ludzi (nie małopioludzią czeredę) rodzinę Schnepfów (dawniej Sznepfów), to haniebny atak przeprowadził Stanowski z Kanału Zero. Nazwał panią Dorotę wiedźmą. A przecież wcześniej nazywał ją tak ładnie – arcykapłanką. Propagandy czy czegoś innego równie eleganckiego. Trzeba zaapelować do Stanowskiego, żeby nie robił takich rzeczy, bo jeszcze to słowo „wiedźma" przyklei się do Doroty jak hasztag „Giertych debil" przyczepił się do mecenasa.

Murem za Christophem Ruchniewitzem! Herr Oberdirektor Ruchniewitz z Instytutu Stauffenberga (dawniej Instytut jakiegoś Pileckiego) wreszcie zrobił Ordnung z niejaką Radziejowską, prawacką germanofobką, która bruździła odwiecznej przyjaźni między Niemcami a Ten Krajem. Oberdirektor Ruchniewitz wywalił Radziejowską z roboty, nie oglądając się na żadne głupie prawo pracy. Od dawna czekaliśmy na takie ostateczne rozwiązanie. I oczywiście Herr Oberdirektor także padł ofiarą niemcożerczej nagonki ze strony tej strasznej małpoludziej czeredy. Jego cierpienie

wzruszyło jakże życzliwą nam prasę niemiecką. Wrażliwa osoba redaktorska Frau Lesser zadała poruszające pytanie: „Kto przeprosi Ruchniewicza i Niemców za cios w przyjaźń niemiecko-polską?".

Dobrą wiadomością jest to, że faszystka Radziejowska została zastąpiona przez apolityczną osobę antyfaszystowską z partii Die Grüne – panią Kiliszek. Wreszcie ktoś, kto pokaże światu, że Auschwitz nie spadło z nieba, tylko było polskim obozem zagłady. Viel Glück, Frau Kilischek!

Leczeniem ran po ciosie zadanym w przyjaźń niemiecko-polską zajął się wybitny autorytet moralny strony demokratycznej prof. Romanowski Andrzej, który ogłosił poruszający manifest: „Polska, ojczyzna Niemców. Nikomu nie zawdzięczamy tyle, co im". Święte słowa, bez ani jednej kropli wazeliny. W skrócie: Niemcy nauczyli nas, Polaczków, czytać i pisać. Oraz liczyć do 500 (więcej nam nie trzeba, a przy zbieraniu szparagów zbędna wiedza będzie przeszkadzała). Profesor przypomina, że tylko dzięki Niemcom zeszliśmy z drzew i chodzimy na dwóch nogach.

Profesor także osobiście dużo zawdzięcza naszym odwiecznym dobrodziejom: „Byłem beneficjentem niemieckiej otwartości. W stanie wojennym i później, w czasie najgłębszego kryzysu gospodarczego lat 80., odbierałem od Niemców paczki żywnościowe". Święte słowa – wszyscy uwielbiamy żelkowe misie Haribo!

Przypomnijmy – prof. Romanowski to ten krakowski intelektualista, który ileś lat temu pisał, że Polska Ludowa słusznie skazała na śmierć niejakiego Pileckiego, bohatera wszystkich dzisiejszych prawaków i innych pisiorów. Gdyż bruździł.

Ciekawie, a właściwie nieciekawie zrobiło się u ***Sławka Mentzena***. Sławek zaprosił do siebie na piwo wielu najważniejszych platfusów i pisiorów. Jedni i drudzy ucieszyli się z zaproszenia, że to taka prestiżowa sprawa. Potem jednak Sławek zaczął wypowiadać się na różne tematy, więc i pisiory, i platfusy obraziły się na Sławka i nikt już nie chce jechać do Torunia (chyba że do Radia Maryja, ale to tylko pisiory). Sławek został ze swoim piwem jak Himilsbach z angielskim.

Ale nie to jest najgorsze. Najbardziej straszną rzeczą jest to, że jedna osoba nie odmówiła i zapowiedziała swój przyjazd. ***Władek Kosiniak-Kamysz***. To będzie spotkanie: z jednej strony Sławek – czyli autystyczny Asperger, z drugiej Władek – kompletny nudziarz. Na dodatek z Krakowa. Widzieliście kiedyś większy dramat?

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Tomasz Warszewski/Shutterstock.com

eprasa.pl efd9ec288b

WIEŻA BAB

Wypisz dziecko z edukacji zdrowotnej!

Dobra informacja jest taka, że w roku szkolnym 2025/2026 udział w zajęciach z tego przedmiotu nie jest obowiązkowy, ale...

Od 1 września 2025 r. edukacja zdrowotna zastępuje wychowanie do życia w rodzinie. Przedmiot będzie realizowany w klasach IV–VIII szkoły podstawowej oraz klasach I–III branżowej szkoły I stopnia, klasach I–III liceum ogólnokształcącego i klasach I–III technikum.

Zmianę zachwala Barbara Nowacka. „Już od 1 września do szkół wchodzi nowy przedmiot – edukacja zdrowotna! Zajęcia będą dotyczyły wszystkich aspektów zdrowia człowieka na różnych etapach życia. To praktyczna wiedza i umiejętności, które mają realne znaczenie w codziennym życiu" – informuje na platformie X szefowa resortu edukacji. Tej informacji towarzyszy entuzjastyczny spot, w którym występuje pani minister. „To nie będzie typowy przedmiot. Sprawdź, o czym będziemy rozmawiać: zdrowie psychiczne i emocje, internet i uzależnienia, ekologia i zdrowie planety, odżywianie i ciało, dojrzewanie. Brzmi jak coś, co naprawdę przyda się w życiu? Właśnie o to chodzi" – wylicza zachwycona pani minister.

Jej entuzjazmu nie podziela jednak wielu rodziców i ekspertów, których wielokrotnie cytowałam na łamach tygodnika „Sieci". Nowacka w swej wyliczance zapomina dodać, że komponentem edukacji zdrowotnej jest permisywna edukacja seksualna. Koalicja na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły tak podsumowuje ten przedmiot na swojej stronie internetowej: „Lewicowy rząd z minister edukacji Barbarą Nowacką na czele wprowadza rewolucyjne zmiany w polskim szkolnictwie, ukrywając je pod nazwą »edukacja zdrowotna«<! Pod tą szlachetną nazwą przemycane są do szkół treści proaborcyjne, zachęcające do wczesnej seksualizacji dzieci, promujące ideologię gender i tęczową narrację, co burzy podstawową wiedzę dzieci o społeczeństwie i samych sobie. Edukacja, która podważa fundamenty, na których opiera się funkcjonowanie ludzkości, nie jest dbaniem o zdrowy rozwój – wręcz przeciwnie, powoduje zamęt w umysłach nieświadomych dzieci, które są na etapie budowania swojego światopoglądu".

Agnieszka Pawlik-Regulska, prezes Stowarzyszenia Nauczyciele dla Wolności i koordynator Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS), tak opisywała ten przedmiot na łamach tygodnika „Sieci": „Zgodnie z art. 18 konstytucji małżeństwo powinno być chronione przez państwo. Jednak w tej podstawie programowej małżeństwo jest zrównane ze związkami nieformalnymi. Uczeń ma wyszukiwać przepisy prawne dotyczące przywilejów i obowiązków związanych z zawarciem związku małżeńskiego oraz z prawnymi aspektami funkcjonowania związków nieformalnych w Polsce. Poza tym słowo »małżeństwo« pojawia się tylko dwa razy i nie jest ukazywane jako ta bardziej pożądana forma funkcjonowania dwojga zainteresowanych życiem razem ludzi. Rodzina jest ukazywana jako miejsce trudnych i niebezpiecznych sytuacji. [...] W podstawie programowej pozostawiono zagadnienie »świadomej zgody«, jeśli chodzi o podjęcie współżycia, i omawianie sytuacji, w której można ją stosować, m.in. w relacjach seksualnych. I to jest w szkole podstawowej. Mamy więc narażenie dzieci i młodzieży (klasa 7–8) na podejście, że wystarczy zgoda 13-letniej dziewczyny na seks, by nie było problemu. To jest narażanie dzieci na zagrożenie pedofilią i otwarcie na seks z osobami dorosłymi".

Dobra informacja jest taka, że w roku szkolnym 2025/2026 udział w edukacji zdrowotnej nie jest obowiązkowy. Jest jednak dorozumiany. To znaczy, że rodzice muszą zrezygnować z udziału dziecka w zajęciach. Z możliwości rezygnacji mogą skorzystać rodzice ucznia niepełnoletniego, składając pisemne oświadczenie o rezygnacji na ręce dyrektora szkoły, uczniowie pełnoletni – samodzielnie, składając pisemną rezygnację. Kto nie zrobił tego na ostatnim czerwcowym zebraniu, ma czas do 25 września. Warto pamiętać o tej dacie.

KROPS przygotowuje akcję informacyjną o wypisaniu dzieci z edukacji zdrowotnej. „Zbieramy środki na kampanię informacyjną dla rodziców z całej Polski, aby się dowiedzieli, jakie konsekwencje wiążą się z uczęszczaniem ich dzieci na zajęcia z pseudo »edukacji zdrowotnej« i w jaki sposób mogą wypisać je z tego przedmiotu. Chcemy pokazać Polakom prawdę o tym, jakie niebezpieczeństwo grozi polskim dzieciom – ich zdrowiu i przyszłości!" – czytamy na stronie KROPS. Najważniejsze to nie przegapić daty 25 września!

Dorota Łosiewicz

Fot. Shutterstock

Fundacja Stefczyka wsparła Tatra Fest 2025 – sport i kultura w służbie wspólnoty

Tegoroczna edycja Tatra Fest, która odbyła się 13–15 czerwca na Podhalu, przyciągnęła setki zawodników, tysiące kibiców i dziesiątki partnerów. Wśród sponsorów znalazła się Fundacja Stefczyka – organizacja od lat zaangażowana w projekty społeczne, edukacyjne, kulturalne i sportowe. Jej obecność na tym wyjątkowym wydarzeniu pokazuje, że można skutecznie łączyć działania na rzecz rozwoju duchowego, intelektualnego i fizycznego

Tatra Fest to jedno z najważniejszych wydarzeń sportowych w Polsce, które w 2025 r. po raz kolejny odbyło się w sercu Tatr. Program festiwalu obejmował zarówno wymagające biegi górskie, jak i widowiskowe zawody wspinaczkowe oraz aktywności dla całych rodzin. Na trzy dni Zakopane stało się areną rywalizacji sportowców z kraju i ze świata, a także miejscem edukacji, integracji i promocji zdrowego stylu życia.

FUNDACJA STEFCZYKA – MISJA I WARTOŚCI

Fundacja Stefczyka od lat realizuje swoją misję, wspierając inicjatywy, które budują silne więzi społeczne, kultywują polską tradycję i historię, a także promują postawy prozdrowotne i prospołeczne. W jej portfolio znajdują się projekty o szerokim spektrum tematycznym – od wydarzeń kulturalnych i edukacyjnych poprzez inicjatywy patriotyczne aż po imprezy sportowe.

To właśnie ta różnorodność działań pozwala mówić, że Fundacja Stefczyka łączy sprawy dla ducha i dla ciała. Wspiera koncerty, wystawy, rekonstrukcje historyczne czy przedsięwzięcia upamiętniające ważne rocznice w historii Polski oraz równocześnie angażuje się w wydarzenia promujące aktywność fizyczną, zdrowie i integrację międzypokoleniową.

TATRA FEST – SPORTOWA WIZYTÓWKA ZAKOPANEGO

Partnerstwo przy Tatra Fest jest doskonałym przykładem tego, jak Fundacja Stefczyka rozumie swoją społeczną odpowiedzialność. Festiwal to nie tylko rywalizacja na najwyższym sportowym poziomie, lecz także edukacja ekologiczna, promocja bezpieczeństwa w górach oraz prezentacja walorów przyrodniczych i kulturowych regionu.

W programie znalazły się m.in.: Tatra Fest Bieg – ultramaraton o długości 65 km z przewyższeniem ponad 5 tys. m prowadzący przez najpiękniejsze tatrzańskie szlaki, Tatra Race Run – bieg na dystansie 25 km, a także zmagania w kolarstwie górskim, wspinaczce sportowej oraz w wędrówkach górskich.

Taka formuła imprezy sprawia, że Tatra Fest jest nie tylko sportowym świętem, lecz także miejscem, gdzie można promować wartości bliskie Fundacji Stefczyka – pracowitość, wytrwałość, pasję i szacunek dla tradycji.

WSPÓLNE CELE – ZDROWE CIAŁO, SILNY DUCH

Wspierając Tatra Fest, Fundacja Stefczyka podkreśla, że rozwój fizyczny i duchowy powinny iść w parze. Sport kształtuje charakter, uczy samodyscypliny i współpracy, natomiast kultura i edukacja pozwalają zrozumieć swoje korzenie, budują tożsamość i poczucie wspólnoty. To właśnie synergia tych obszarów jest fundamentem zdrowego i świadomego społeczeństwa.

Wydarzenia w rodzaju Tatra Fest mogą się rozwijać, przyciągać uczestników z całej Polski i zagranicy, a także inspirować kolejne pokolenia do aktywnego, odpowiedzialnego życia. To przykład, jak działalność sponsora wykracza poza jednorazowe wsparcie finansowe – staje się częścią szerszej misji budowania silnej, zdrowej i dumnej z siebie wspólnoty.

FUNDACJA STEFCZYKA

Artykuł sponsorowany | 05/0325/F/ZAL

eprasa.pl efd9ec288b

Dorosłe dzieci

Wielka Brytania

Fot. awstoys/Shutterstock.com

Sprzedaż zabawek w Wielkiej Brytanii rośnie. Wszystko za sprawą dorosłych. Nie kupują oni zabawek własnym dzieciom, ale sobie samym. Dane sprzedażowe pokazują jasno, że rynek został zdominowany przez osoby powyżej 18. roku życia, które wydają spore pieniądze na karty kolekcjonerskie Pokémon, zestawy Lego oraz zestawy figurek przedstawiających postaci z filmu i z telewizji.

W pierwszej połowie br. sprzedaż zabawek na Wyspach Brytyjskich wzrosła o 8 proc., wpisując się w szerszy trend obserwowany również na rynku światowym. W pięciu krajach europejskich: w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Francji, Hiszpanii i Włoszech – dorośli w wieku 18 lat i starsi odpowiadali za prawie jedną piątą (18 proc.) sprzedaży zabawek o łącznej wartości 2,7 mld dolarów, co stanowi skok o 10 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim.

Najdynamiczniejszy wzrost nastąpił w sprzedaży gier i łamigłówek, w tym kart Pokémon. Cieszą się one popularnością wśród tzw. nostalgicznych dorosłych, a popyt napędzają influencerzy z mediów społecznościowych, rozpalając wyobraźnię swoimi rzadkimi znaleziskami. Ważną rolę odgrywają też filmy i programy telewizyjne. Okazuje się, że najbardziej pożądanym towarem są figurki i inne towary nawiązujące do serii anime oraz manga, a także przedmioty bazujące na franczyzach Marvela i Formuły 1, których sprzedaż podbiły ostatnie hity kinowe, takie jak „The Fantastic Four: First Steps" i „F1: the Movie" z Bradem Pittem w roli głównej.

Pokémon, którego popularność w branży gier wideo sięga połowy lat 90., pozostaje jedną z najpopularniejszych marek już czwarty rok z rzędu, a sprzedaż związanych z nim gadżetów w porównaniu z rokiem ubiegłym podwoiła się.

Frédérique Tutt zajmująca się analizą zachowań konsumenckich, komentując ten gwałtowny wzrost, przyznała, że w dużej mierze można go przypisać starszym konsumentom. Dorośli skupieni na zaspokajaniu dziecięcych zachcianek to kolejny obraz dekadencji europejskiego społeczeństwa. W samej Wielkiej Brytanii obserwowany jest przecież ogromny spadek dzietności uzupełniany gwałtowną falą pozaeuropejskiej imigracji. Tak jak w upadającym Rzymie, gdzie miejsce budujących etos cnót zajęły tanie rozrywki i otępiające lenistwo. Dzisiaj współczesny lud także porzuca odpowiedzialność za wspólnotę, uciekając od obowiązków i przekształcając się w bezczynną i leniwą masę dorosłych dzieci.

Maciej Walaszczyk

Trump dzwoni do Łukaszenki

Białoruś

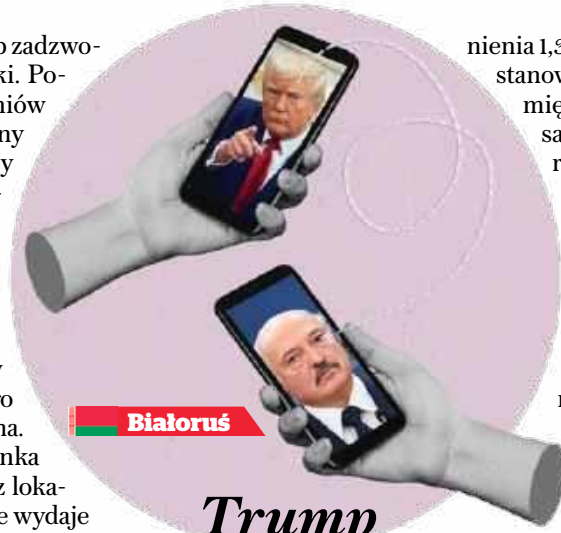

Fot. ToskanaINC/Shutterstock.com, noamgalai/Shutterstock.com

Lecąc na Alaskę, Donald Trump zadzwonił do Aleksandra Łukaszenki. Podziękował mu za zwolnienie więźniów politycznych, w tym męża Swiatłany Cichanouskiej, a komentatorzy zwrócili uwagę na to, że amerykański przywódca tytułował nieuznawanego przez świat dyktatora prezydentem.

Rozmowa nie była przypadkowa ani zapewne też nie wynikała z chęci – co sugerują niektórzy obserwatorzy – zasięgnięcia przez amerykańskiego prezydenta informacji na temat Putina. Nie ulega wątpliwości, że Łukaszenka jest politykiem, który spotyka się z lokatorem Kremla chyba najczęściej, ale wydaje się, że telefon Trumpa należy raczej uznać za symptom zmiany polityki USA wobec Mińska. Potwierdza to informacja, że amerykański prezydent przyjął zaproszenie od Łukaszenki do złożenia wizyty wraz z rodziną na Białorusi, a także telefon Johna Coale'a, który na polecenie Trumpa zadzwonił do Łukaszenki już po rozmowach na Alasce.

Na początku roku Waszyngton wznowił dialog polityczny z Mińskiem, czego dobitnym przykładem była niedawna wizyta Keitha Kellogga na Białorusi i jego sześciogodzinna rozmowa z Łukaszenką oraz szefem tamtejszego KGB Iwanem Tertelem. Kellogg i Trump mówili o potrzebie uwolnienia 1,3 tys. więźniów sumienia, co miałoby stanowić początek normalizacji stosunków między Zachodem a Białorusią. W tym samym czasie Denis Kuczynski, doradca Cichanouskiej do spraw polityki zagranicznej, po swoich rozmowach w Waszyngtonie zaproponował zorganizowanie „okrągłego stołu", który miałby być wstępem do demokratyzacji Białorusi.

Normalizacja relacji z Białorusią miałaby prowadzić nie tylko do zwolnienia więźniów politycznych i rozpoczęcia dialogu z opozycją, lecz także do zmiany polityki Mińska wobec Moskwy. Na przełom i pełne uniezależnienie Łukaszenki nie ma co liczyć, ale w chwili rozpoczęcia rozmów o zakończeniu wojny na Ukrainie postawa władz Białorusi zyskuje na znaczeniu. Łukaszenka jest kuszony nie tylko uznaniem swojej władzy, lecz także perspektywą zniesienia sankcji ekonomicznych, które dla niewielkiej białoruskiej gospodarki są znacznie większym zagrożeniem niż dla Rosji. Pośrednikiem między Waszyngtonem a Mińskiem może być Budapeszt lub Ankara, bo władze Węgier i Turcji utrzymują ożywione relacje z Łukaszenką. Polska, prezentująca pozycję państwa nieprzejednanego, jest w tym dialogu nieobecna.

Marek Budzisz

eprasa.pl efd9ec288b

Koniec boliwariańskiego socjalizmu

Boliwia

Wybory prezydenckie i parlamentarne w Boliwii przyniosły totalną klęskę lewicy. Co prawda odbyła się dopiero pierwsza tura, a druga jest zaplanowana na 19 października, jednak już teraz można powiedzieć, że boliwariański model socjalizmu w tym kraju odchodzi do lamusa.

W wyścigu do pałacu prezydenckiego trzy pierwsze miejsca zajęli bowiem kandydaci prawicy: Rodrigo Paz Pereira z Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (ok. 32 proc. głosów), Jorge Quiroga Ramírez z Wolnego Sojuszu (ok. 27 proc.) i Samuel Doria Medina z Jedności Sojuszu (ok. 20 proc.). Dopiero czwarty wynik uzyskał przedstawiciel lewicy: przewodniczący Senatu Andrónico Rodríguez z Sojuszu Ludowego (ok. 8 proc.). Podobnie wygląda sytuacja w przypadku elekcji parlamentarnej.

Największym przegranym wyborów okazał się Ruch na Rzecz Socjalizmu (MAS), który rządził Boliwią przez ostatnie 20 lat, posiadając w tym czasie dwóch prezydentów: Eva Moralesa (2006–2019) i Luisa Arce'a (2020–2025). Teraz ich kandydat Carlos Eduardo Del Castillo otrzymał zaledwie 3 proc. głosów.

Boliwijczycy gremialnie odrzucili więc system, który doprowadził ich ojczyznę do ekonomicznej zapaści. Kraj bogaty w gaz ziemny, metale ziem rzadkich i inne cenne surowce boryka się z wieloma problemami gospodarczymi. Szaleje inflacja (w czerwcu wyniosła 23 proc.), brakuje paliwa (wojsko musi ochraniać stacje benzynowe), w sklepach nie ma podstawowych produktów spożywczych (kupno ryżu, jajek czy cukru staje się nie lada wyczynem).

Czerwona kartka pokazana partii MAS przez wyborców to coś więcej niż tylko chęć zamiany jednej ekipy rządowej na drugą – to żądanie pogrzebania niewydolnego systemu (w którym państwo odpowiada za 85 proc. budżetu) i zastąpienie go nowym. Dla Boliwijczyków inspirujący jest przykład Argentyny, gdzie prezydent Javier Milei zdołał zdusić inflację i pobudzić gospodarkę, odrzucając neoperonizm. Być może więc La Paz pójdzie wkrótce w ślady Buenos Aires.

Grzegorz Górny

Fot. Bruno M Photographie/Shutterstock.com

Gerontokracja po afrykańsku

Kamerun

Paul Biya [na fot.], najstarszy urzędujący prezydent na świecie, ma 92 lata i pomimo sędziwego wieku zamierza ubiegać się o kolejną kadencję. W Kamerunie, gdzie mediana wieku wynosi 18 lat, a średnia długość życia 63 lata, uchodzi on za zdecydowanego faworyta tegorocznych wyborów.

Od chwili uzyskania niepodległości w 1960 r. Kamerun miał zaledwie dwóch prezydentów. Stojący dziś na czele państwa Paul Biya sprawuje władzę w tym afrykańskim kraju od 1982 r., gdy zastąpił – w drodze przejęcia władzy – swojego poprzednika Ahmadou Ahidjo. Wcześniej pełnił funkcję premiera, więc jego łączny staż na szczytach władzy przekroczy w tym roku 50 lat.

Pomimo zachowywania pozorów demokracji, dekady rządów Biyi upływały pod znakiem represji wobec opozycji oraz tłumienia kolejnych buntów wewnątrz obozu władzy. Mieszkańcy Kamerunu, w większości bardzo młodzi ludzie, wyrażali swój sprzeciw wobec prezydenta rosnącą absencją w kolejnych wyborach, która w 2018 r. wyniosła 46,7 proc. Paradoksalnie działało to na korzyść Biyi, który dzięki temu zawsze uzyskiwał wystarczającą liczbę głosów.

Zwolennicy rządzącego krajem Demokratycznego Zgromadzenia Narodu Kameruńskiego (RDPC) wskazują, że pod rządami Biyi udało się utrzymać relatywnie dobrą kondycję gospodarczą państwa zwłaszcza na tle sąsiadów. Ich zdaniem prezydent gwarantuje stabilność, która jest ważniejsza od wolności politycznej. Niektórzy wręcz wierzą, że mandat Biyi pochodzi od Boga. „Żadna władza nie może istnieć, jeśli nie pochodzi od Boga" – uważa Antoine Nkoa, autor broszury „10 dobrych powodów, dla których warto głosować na Paula Biyę w 2025 roku". Choć w realnym życiu Nkoa nigdy nie spotkał prezydenta, to – jak twierdzi – miał wizję, w której Biya ponownie wygrywa.

W przypadku w pełni wolnych wyborów byłoby to jednak trudne. Wprawdzie Kamerun ma drugą najprężniej rozwijającą się gospodarkę w Afryce Środkowej, ale mimo to jedna trzecia populacji żyje za 2 dol. lub mniej dziennie, a 8 na 10 pracowników jest zatrudnionych na czarno. Na powszechną korupcję i wysokie koszty życia nakłada się konflikt zbrojny z anglojęzycznymi separatystami na zachodzie kraju, rebelia dżihadystów na północy oraz działalność gangów porywających ludzi w tzw. trójkącie śmierci przy granicy z Czadem i Republiką Środkowoafrykańską.

Opozycja chce zablokować kolejny wybór Biyi na prezydenta. Nawołuje się ludzi, aby kontrolowali przeliczanie głosów w komisjach. Niewykluczona jest powtórka wydarzeń z Gabonu, gdzie reelekcja Alego Bongo w sierpniu 2023 r. doprowadziła do zamieszek i zamachu stanu. Los kameruńskiej gerontokracji rozstrzygnie się w październiku.

Konrad Kołodziejski

Fot. Domena publiczna

cprasa.pl efd9ec288b

Unijna farsa klimatyczna

Daniel Obajtek

Ach, ta europejska polityka klimatyczna! Wielki Green Deal, flagowy projekt Ursuli von der Leyen, obiecujący zero emisji do 2050 r., morze paneli słonecznych i wiatraków wirujących w rytm ekologicznych marzeń. Bruksela kreśli wizję raju: czysta planeta, miliony zielonych miejsc pracy, a gospodarki kwitnące jak łąki po deszczu. Ale patrząc na Niemcy – lokomotywę Europy – trudno nie parsknąć śmiechem. Bo co z tego, że ratujemy klimat, jeśli gospodarka tonie w morzu wysokich rachunków za prąd?

Weźmy Energiewende, niemiecką „transformację energetyczną". Zamknięto elektrownie jądrowe, postawiono na wiatr i słońce, a ceny energii poszybowały w kosmos. W 2025 r. przemysł płaci 0,19 dol. za kWh – najwięcej w Europie, dwa razy drożej niż w USA. Produkcja przemysłowa spada: stal, chemia, automotive uciekają do Chin czy USA, gdzie energia jest tańsza. PKB Niemiec ledwo rośnie, deindustrializacja galopuje – fabryki znikają razem z miejscami pracy i pewnością jutra, za to drożyzna ma się coraz lepiej. Brawo, ekologiczni wizjonerzy! Ratujemy planetę, ale kto uratuje portfele?

Posłuchajmy głosów z frontu. Leonhard Birnbaum, prezes E.ON – giganta energetycznego – w wywiadzie dla CNBC biadoli: „Żaden prywatny inwestor nigdy więcej nie zainwestuje w atom w Niemczech". W sierpniu dodaje: Niemcy ryzykują kolejne kłopoty przez „przeciwdziałające regulacje" i „mgliste obietnice polityczne". I także w sierpniowym wywiadzie dla „Die Welt" dorzuca wisienkę i grzmi, że „Niemcy obecnie budują turbiny wiatrowe i farmy słoneczne bez żadnego planu kosztem społeczeństwa i w miejscach, w których nikt ich nie potrzebuje.

I tu ironia kwitnie: dotacje na wiatraki płyną strumieniami, lobbyści zielonej energii tuczą się na podatnikach, budując turbiny w miejscach, gdzie wiatr wieje sporadycznie, a sieć pęka w szwach. Koszty eksplodują, podatnicy płacą, a lobbyści klaszczą – bo kto by nie chciał budować na koszt „ogółu"? Sieci przeciążone, inwestycje potrzebne na gwałt, a ceny? Pozostaną wysokie, bo OZE jest niestabilne, a gaz – drogi. Birnbaum apeluje o to, by „masowo ograniczyć wsparcie, także jeśli poszczególne grupy lobbystyczne będą krzyczeć histerycznie". Ironiczne, prawda?

A stal? Miguel López, prezes ThyssenKrupp – kolosa stalowego – w wywiadzie dla Clean Energy Wire tłumaczy, że Niemcy nie wyprodukują taniej zielonej energii sami, bo to się po prostu nie opłaca – za mało świeci i wieje – muszą więc importować z Północy energię wiatrową, a z południowego krańca Europy – słoneczną. Tylko że do tego potrzebne są sieci, które nie dość, że są koszmarnie drogie w budowie, to dziś ich po prostu nie ma. Stalownie toną w kosztach – dekarbonizacja wymaga wodoru, którego też nie ma, a ceny prądu zabijają konkurencyjność. Produkcja stali spada, fabryki uciekają. Ale politycy w Brukseli udają, że wszystko gra. Ironicznie lobbyści wiatrakowi pchają dotacje na „zielone" turbiny, a stal – podstawa tych wiatraków – umiera z braku prądu.

Europa marzy o zeroemisyjności, ale gospodarka krwawi. Niemcy błagają o subsydia na prąd dla przemysłu, by lobbyści mogli dalej budować wiatraki na kredyt podatników.

Władza na autopilocie

Samuel Pereira

W Polsce rządzi dziś teatr. Scena zmienia się co kilka dni, ale aktorzy ci sami – premier, jego ministrowie, rzecznicy i „niezależni" komentatorzy, którzy z równą łatwością odgrywają role heroldów sukcesu, co żałobników porażki. Najnowszy akt tej tragikomedii rozegrał się w Osinach – spadł rosyjski dron, a pierwsze skrzypce zamiast premiera grał minister obrony. Donald Tusk, zajęty własnym kalendarzem, pojawił się w „Faktach" jedynie w formie archiwalnej „setki", niczym hologram z przeszłości. Ważne, że obrazek był. W polityce obrazek często znaczy więcej niż treść.

Na drugim planie pojawia się Adam Szłapka, rzecznik rządu. Miała być „poważna figura wagi ciężkiej", wyszła lekka komedia. Wystarczyło kilkadziesiąt dni, by mistrz w przekazywaniu nieprawdy – jak punktuje DEMAGOG – stał się symbolem kłopotów komunikacyjnych władzy. Paradoks? Nie. To tylko logiczny ciąg zdarzeń: jeśli premier przekonuje, że wystarczy więcej propagandy, by przykryć brak pomysłów, to efekt końcowy musiał być właśnie taki – chaos i śmiech.

Media zaprzyjaźnione z rządem robią, co mogą. Jedni bronią się przed krytyką, inni w studiu telewizji rządowej w likwidacji wygłaszają tyrady tak groteskowe, że przypominają samokrytykę z czasów minionych epok. Ale władza i jej zaplecze nie widzą w tym niczego dziwnego – wystarczy jeszcze kilka konferencji, parę patetycznych zdań i może uda się przykryć fakt, że obietnice sprzed wyborów rozchodzą się w powietrzu jak dym z fajerwerków.

A gdy brakuje realnych działań, zawsze można zagrać kartą „młodych". Kiedyś Trzaskowski zapraszał na Campus, teraz Radek Sikorski będzie organizował Zryw. Tyle że młodość nie bierze się z metryki ani modnych haseł. Młodość w polityce to świeżość idei i wiarygodność, a tych brakuje.

Dzisiejsza władza przypomina więc aktora, który zapomniał tekstu i improwizuje, byle dotrwać do końca spektaklu. Problem w tym, że publiczność coraz częściej wychodzi z sali, nie czekając na oklaski.

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl efd9ec288b

Energia zdrowego rozsądku

Marta Kaczyńska-Zielińska

Nowa amerykańska ustawa One Big Beautiful Bill Act wprowadza wygaśnięcie ulg podatkowych na pojazdy elektryczne i czystą energię dla gospodarstw domowych w 2025 r. oraz stopniowe wycofywanie dotacji do energii wiatrowej i słonecznej do 2028 r. Amerykańska sekretarz ds. rolnictwa wydała zakaz instalowania farm słonecznych i wiatrowych na gruntach rolnych. Amerykańska Agencja Ochrony Środowiska (EPA) zaproponowała zniesienie norm emisji gazów cieplarnianych dla pojazdów na mocy ustawy Clean Air Act. W uzasadnieniu EPA wskazała, iż „żadna niezbędna technologia kontroli emisji spalin pojazdów i silników nie jest w stanie rozwiązać problemów związanych z globalnymi zmianami klimatu bez ryzyka poważniejszych szkód dla zdrowia i dobrobytu publicznego". Jeśli propozycja EPA zostanie przyjęta, zniesione zostaną federalne normy emisji gazów cieplarnianych dla znacznej części sektora transportu, który odpowiada za 28 proc. całkowitej emisji gazów cieplarnianych w USA.

Wymienione regulacje prawne wzmacniają amerykański przemysł i bezpieczeństwo narodowe, gwarantując, że USA będą polegać na własnych zasobach energetycznych. W Europie *casus* Hiszpanii powinien być punktem zwrotnym dla zwolenników OZE. 28 kwietnia br., dysponując połową swojej sieci zasilanej energią odnawialną, kraj ten doświadczył 12-godzinnej przerwy w dostawie prądu. Okazało się, że awarii uległy zaledwie dwa panele słoneczne w południowo-zachodniej Hiszpanii, a sieć nie miała wystarczającej rezerwy, aby kontynuować działanie. Przemysł europejski ulega erozji pod ciężarem nakazów zerowej emisji netto. Niemcy, niegdyś potęga przemysłowa, tracą miejsca pracy, ponieważ regulacje klimatyczne i import tanich chińskich pojazdów elektrycznych osłabiają ich sektor motoryzacyjny. 2 lipca br. Komisja Europejska ogłosiła nowy cel klimatyczny na 2040 r., który zakłada redukcję CO_2 o 90 proc. Ortodoksyjna polityka klimatyczna, która podnosi koszty i wzmacnia chiński przemysł, jest nie tylko nieuzasadniona ekonomicznie, lecz także niebezpieczna strategicznie.

Zaprezentowany w lipcu br. roku obszerny „Raport z oceny klimatu" sporządzony przez Departament Energii USA przedstawia naukowe uzasadnienie wycofania się z dotacji do energii wiatrowej i słonecznej. „Zmiana klimatu jest faktem i zasługuje na uwagę – wskazuje sekretarz ds. energii Chris Wright. – Jednak nie jest to największe zagrożenie, przed którym stoi ludzkość. To wyróżnienie należy do globalnego ubóstwa energetycznego". Zdaniem autorów raportu przypisanie zmian klimatu lub ekstremalnych zjawisk pogodowych emisjom CO_2 powodowanym przez człowieka jest dyskusyjne ze względu na naturalną zmienność klimatu, ograniczenia danych i braki modeli klimatycznych. Stwierdzono również, że pod względem ekonomicznym nadmiernie agresywna polityka łagodzenia zmian klimatu może przynieść więcej szkody niż pożytku. Sekretarz ds. energii zaznaczył, że nie jest to negacja zmian klimatycznych, ale przejaw realizmu.

Ustawa One Big Beautiful Bill Act sygnalizuje kolejną istotną zmianę w polityce energetycznej USA. Wśród jej postanowień znajduje się przyspieszenie wycofywania ulg podatkowych dla nowych projektów wiatrowych i słonecznych oraz zniesienie dotacji dla inwestorów OZE. Wycofanie dotacji powinno zmniejszyć presję na wykorzystywanie cennych gruntów pod farmy słoneczne i wiatrowe. Projekty wiatrowe zajmują ok. 12 tys. ha, aby wyprodukować taką samą ilość energii elektrycznej, co elektrownia węglowa o powierzchni 1 tys. ha. Energia słoneczna wymaga ok. 20 tys. ha do uzyskania równoważnej mocy. Gdy w Niemczech, Estonii i Danii wycofano wsparcie, okazało się, że zabrakło chętnych na budowę tego typu farm.

Projekty wiatrowe i słoneczne ogólnie nie przynoszą oszczędności, wiążą się za to z kosztami dla środowiska i społeczeństwa. Węgiel, ropa naftowa, gaz to najbardziej wydajne i stabilne źródła energii. Czy to zatem jedynie ideologia i interesy producentów paneli i wiatraków oraz beneficjentów dotacji zmuszają obywateli państw UE do ograniczania korzystania z kopalin?

REKLAMA

14/0725/F

eprasa.pl efd9ec288b

Walizka Doroty Dziadkowiec-Michoń

długodystansowej biegaczki narciarskiej, trenerki, delegatki technicznej PZN

Bakcyla biegów narciarskich złapałam w szóstej klasie szkoły podstawowej w Karpaczu dzięki nauczycielce wychowania fizycznego Ewie Draheim-Włodydze. To ona zaproponowała mi udział w zawodach, a po zwycięstwie rozpoczęcie regularnych treningów. Wtedy też poznałam Staszka Michonia – nie tylko wybitnego sportowca, lecz także doskonałego trenera. To właśnie dzięki niemu sięgnęłam po najwyższe światowe laury w tak wymagającej dyscyplinie, jaką są maratony narciarskie. Po latach Staszek został moim mężem. Dodatkowym utrudnieniem, które sprawiało, że nasze sukcesy były jeszcze większym wyczynem, pozostawała rzeczywistość tamtych czasów – brak sponsorów, internetu i ograniczone możliwości podróżowania. Sam wyjazd, np. do USA czy Australii, zasługiwał na puchar zaradności. Ponieważ kadra narodowa nie była zainteresowana moim dołączeniem do zespołu, musiałam udowadniać swoją wartość na trasach Worldloppet. Z czasem, gdy moja aktywność sportowa zaczęła wygasać, zajęłam się szkoleniem dzieci i młodzieży. Podjęłam szkolenie na sędziego biegów narciarskich. Później, podnosząc swoje kwalifikacje, zostałam delegatem technicznym Polskiego Związku Narciarskiego.

BUTY

Fischer i Alpina – to najlepsze buty, w jakich biegałam. Najwięcej sukcesów osiągałam jednak w „fiszerach", co miało też związek ze sponsoringiem. Kiedyś buty często obcierały, dlatego odpowiedni wybór obuwia na dystanse 50 czy 90 km miał ogromne znaczenie.

eprasa.pl efd9ec288b

WORLDLOPPET MASTER

Razem ze Staszkiem byliśmy pierwszymi Polakami, którzy zdobyli tytuł Worldloppet Masters. Aby to osiągnąć w tamtych czasach, trzeba było zaliczyć 10 z 11 biegów w tej światowej lidze narciarskiej.

PUCHARY

W latach 1990, 1991 i 1992 wygrałam klasyfikację generalną Worldloppet CUP. Do rankingu liczyło się siedem biegów, które trzeba było zaliczyć na trzech kontynentach.

SYN MARIUSZ Z RODZINĄ

Biegom narciarskim poświęciłam dużo czasu i wyrzeczeń, ale rodzina jest dla mnie bardzo ważna. Sport towarzyszy nam od zawsze i mam nadzieję, że będzie tak jeszcze długo, bo jest on stylem naszego życia.

NARTY I SMAROWANIE

W tym sporcie ogromną rolę odgrywa wydolność organizmu, ale nawet najlepszego zawodnika może pogrążyć zły dobór nart i smarów niedostosowanych do śniegu w dniu startu. Mój mąż Staszek był mistrzem w przygotowywaniu nart – i to w czasach, gdy nie mieliśmy dostępu do dokładnych prognoz, nie mówiąc już o satelitarnych danych pogodowych.

BIEG PIASTÓW – JAKUSZYCE

Jestem trzykrotną zwyciężczynią Biegu Piastów na dystansie 50 km, który w przyszłym roku będzie obchodził 50-lecie istnienia. Już w 1995 r. impreza weszła do Europejskiej Ligi Narciarskich Biegów Długodystansowych – Euroloppet, a w kolejnej dekadzie stała się częścią prestiżowego cyklu Worldloppet. Co roku biorą w niej udział zawodnicy z ok. 30 krajów z trzech kontynentów.

MEDALE Z LIVIGNO

W Livigno zdobyłam złoty, srebrny i brązowy medal. Trafiliśmy tam w 1991 r. przypadkiem, będąc wcześniej na innych zawodach we Włoszech. To była dopiero druga edycja tego biegu – nie spodziewaliśmy się zwycięstwa. Od tamtej pory coroczny start w Livigno, które pokochaliśmy, stał się tradycją.

SAPPORO

Sapporo było moim pierwszym startem w cyklu Worldloppet. Śmieję się, że gdyby amerykańska kadra olimpijska nie zorganizowała tam zgrupowania, to bym wygrała – a tak zajęłam drugie miejsce. Co ciekawe, przez cały tydzień trenowaliśmy na mrozie, a w dniu zawodów temperatura była dodatnia.

ROLKI

Do sezonu zimowego przygotowywaliśmy się również latem. Ponieważ nie miałam wtedy możliwości trenowania na lodowcach, intensywnie jeździliśmy na nartorolkach. Odnosiłam sukcesy także w tej rozwijającej się dyscyplinie – m.in. zdobyłam mistrzostwo Europy na Hungaroringu na Węgrzech w 1989 r.

PASZPORT WORLDLOPPET

Dostałam go w prezencie w Sapporo. Byliśmy z mężem pierwszymi Polakami startującymi w cyklu Worldloppet. Każdy ukończony bieg to pieczątka w paszporcie. Ta niepozorna czarna książeczka znacznie ułatwiała wyjazdy za granicę. Otrzymanie wizy do każdego kraju było dużo łatwiejsze.

SZKOŁA SPECJALNA

Obecnie pracuję w Zespole Szkół przy DPS Junior w Miłkowie. Placówka ta jest przeznaczona dla dzieci i młodzieży z niepełnosprawnością intelektualną.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Podziękowania dla Grzegorza Łoniewskiego za pomoc przy realizacji wywiadu.

Fot. Michał Korsun, Marcin Oliva Soto, archiwum prywatne Doroty Dziadkowiec-Michoń

eprasa.pl efd9ec288b

Zbrojenia warte miliardy

Rakiety sprzedają się jak świeże bułeczki, armaty idą jak woda, po nasze Pioruny ustawia się kolejka... Branża zbrojeniowa pędzi z prędkością polskiego Husarza

Husarz to oficjalna nazwa myśliwca V generacji F-35, które w liczbie 32 przylecą do nas z USA. Na supernowoczesny samolot wydaliśmy ok. 4,6 mld dol.

Cena jest wysoka, ale w tej branży wszystko jest drogie. Jedna bateria Patriot w wersji podstawowej kosztuje ok. 1 mld dol., za wyrzutnię HIMARS z zestawem rakiet trzeba zapłacić ponad 20 mln dol. W ciągu ostatnich dwóch lat ten supernowoczesny sprzęt podrożał o 10–15 proc.

GWAŁTOWNE PRZEBUDZENIE

Ceny w tej branży rosną, bo czasy są niespokojne. „W Europie rozpoczęła się era zbrojeń – mówił Armin Papperger, prezes Rheinmetall, największego koncernu militarnego w Niemczech, zapowiadając zwiększenie zatrudnienia z 32 do 40 tys. osób. Rheinmetall, przymierzający się do przejęcia fabryki volkswagena w Osnabrück, by produkować tam czołgi, dwa lata temu miał problem z dostarczeniem Ukrainie kilku leopardów, które przez 10 lat stały w zakładzie z otwartymi włazami i w środku były... spleśniałe.

Pogrążony we śnie europejski przemysł zbrojeniowy zbudził Donald Trump i wojna na Ukrainie. Ameryka zażądała od Europy, by wzięła na siebie większą odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo, a wojna za naszą wschodnią granicą okazała się dłuższa i kosztowniejsza, niż sądzono. W zeszłym roku ponad 100 krajów zwiększyło swoje wydatki wojskowe. W sumie sięgnęły one 2,7 bln dol.

POTĘŻNA PGZ

W zestawieniu z unijną ligą Polska wypada całkiem nieźle. Nasze ubiegłoroczne wydatki na zbrojenia mieściły

Huta Stalowa Wola (Grupa Kapitałowa)

Właściciel: PGZ
Specjalizacja: artyleria i pojazdy opancerzone
Przychody (w mln zł): 2 503,40
Co produkuje: samobieżna haubica Krab, moździerze samobieżne M120K, wyrzutnia rakiet Langusta

WSK PZL Świdnik

Właściciel: Leonardo Helicopters (Włochy)
Specjalizacja: śmigłowce bojowe
Przychody (w mln zł): 2 418,70
Co produkuje: śmigłowce wielozadaniowe SW-4, W-3PL, SW-4 Solo, AW101, AW109 TrekkerM, AW139M

Mesko (Grupa Kapitałowa)

Właściciel: PGZ
Specjalizacja: amunicja
Przychody (w mln zł): 1 851,50
Co produkuje: amunicja, rakiety i pociski rakietowe – Grom, Piorun, Spike-LR, Feniks

się w granicach średniej europejskiej i sięgnęły 38 mld dol., a pod względem dynamiki znaleźliśmy się w ścisłej czołówce – 31-proc. wzrost wydatków i 4,2-proc. udział w PKB plasuje nas w absolutnej ekstraklasie.

W polskiej branży niepodzielnie rządzi Polska Grupa Zbrojeniowa, skupiająca kilkadziesiąt zakładów przemysłowych i ośrodków badawczych. Do PGZ należą m.in. Huta Stalowa Wola, zakłady Bumar-Łabędy, Jelcz, H. Cegielski, Fabryka Broni „Łucznik", stocznie.

Ten zmilitaryzowany gigant ma w swoim portfelu takie skarby, jak bojowe wozy piechoty Borsuk i armatohaubice Krab, ale bryluje również – i to na światowych salonach – w radioelektronice i radarach. W Zakładach Metalowych Mesko wytwarza się też Pioruny – przenośne przeciwlotnicze zestawy rakietowe, których produkcja potroiła się w ciągu trzech lat. Huta Stalowa Wola składa raki, czyli moździerze samobieżne. W konsorcjum PGE realizowane są m.in. takie sztandarowe programy obrony przeciwlotniczej – artyleryjskiej i rakietowej, krótkiego i średniego zasięgu – jak Pilica, Wisła, Narew.

W zeszłym roku PGZ zwiększyła przychody oraz zyski i najprawdopodobniej awansowała do pierwszej pięćdziesiątki największych firm zbrojeniowych na świecie. Wyniki w stosunku do 2023 r. poprawiła Huta Stalowa Wola, a także Mesko. Należący do dwóch prywatnych właścicieli i Polskiego Funduszu Rozwoju WB Electronics zarobił w 2024 r. 623 mln zł, prawie trzy razy więcej niż rok wcześniej.

AKCJE WYSTRZELIŁY

Branżę zbrojeniową docenili inwestorzy. Kiedy w 2020 r. główny akcjonariusz Lubawy – notowanej na giełdzie spółki produkującej m.in. hełmy i kamizelki kuloodporne – chciał sprzedać ponad 22 mln akcji po 86 gr za sztukę, nie zgłosił się nikt. Teraz jedna kosztuje 8,6 zł, a notowania spółki wzrosły w ciągu roku o prawie 130 proc.

W górę wystrzeliły praktycznie wszystkie giełdowe firmy, które cokolwiek mają wspólnego z armią: akcje Zrembu, producenta kontenerów m.in. dla wojska, wzrosły w ciągu roku o ponad 80 proc., Creotech Instruments (produkuje systemy do zarządzania dronami) – o 37 proc., a Scanway (systemy obserwacyjne dla satelitów) – o ponad 190 proc.

Biznes zbrojeniowy trzyma się mocno na całym świecie. Jak pisze Lorenzo Scarazzato ze Stockholm International Peace Research Institute (SIPRI), Europa weszła w okres wysokich i rosnących wydatków wojskowych, który szybko się nie skończy.

Stanisław Koczot

Polskie Zakłady Lotnicze (Mielec)

Właściciel: Lockheed Martin (USA)

Specjalizacja: śmigłowce bojowe i samoloty

Przychody (w mln zł): 1 483,00

Co produkuje: śmigłowce Bryza, Black Hawk

WB Electronics

Właściciel: Piotr Wojciechowski, Adam Bartosiewicz, PFR Fundusz Inwestycyjny

Specjalizacja: elektronika, drony, systemy łączności

Przychody (w mln zł): 1 432,60*

Co produkuje: System GLADIUS, amunicja krążąca WARMATE

** W 2024 r. przychody WB Electronics wyniosły 3 mld zł*

PCO

Właściciel: PGZ

Specjalizacja: sprzęt optyczny, m.in. celowniki

Przychody (w mln zł): 1 375,40

Co produkuje: gogle i lornetki noktowizyjne i termowizyjne, celowniki strzeleckie, kamery, moduły optoelektroniczne, głowice optoelektroniczne

Źródło: tek.info.pl, Forbes. Dane za 2023 r.

eprasa.pl/ed9ec288b

Jan Pietrzak

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Co z memorandum budapeszteńskim?

Aby uczcić 105. rocznicę zwycięstwa Polski nad ruską bolszewią amerykański prezydent urządził 15 sierpnia na Alasce spotkanie ze spadkobiercą przegranych – Putinem. Wybór miejsca nie był przypadkowy. Ten największy amerykański stan należał kiedyś do Rosji. Został sprzedany Stanom Zjednoczonym przez carskiego wysłannika barona Stoeckla, znanego w kręgach polskiej arystokracji w Petersburgu. Ze strony amerykańskiej w transakcji ważną rolę odegrał delegowany przez amerykański Kongres gen. Włodzimierz Bonawentura Krzyżanowski. Jakby się uprzeć, można zaryzykować tezę, że przesunięcie Alaski z Rosji do Ameryki było polską intrygą. Niedowiarki mogą pytać, co ma piernik do wiatraka. Otóż ma, bo od tamtej transakcji Rosja ma bzika na punkcie swego terytorium. Przecież Kalifornia mogła być ich, gdyby z Anchorage ruszyli w dół globusa brzegiem Pacyfiku. Rosja Sowiecka nie mogła wybaczyć carowi utraty przyczółka na tamtym kontynencie. Ona lubi być „wielka". Ponieważ o wielkości gospodarczej, cywilizacyjnej czy kulturowej nie ma co marzyć, nadrabia swe małości wielkością terytorialną. Ale, ale... miewa słabości.

Bodajże w 1991 r. w Puszczy Białowieskiej trzech przywódców republik sowieckich po wypiciu odpowiedniej porcji środków oszałamiających podpisało rozpad CCCP, kontynuatora carskiego imperium. Bałagan, jaki wtedy zapanował od przesmyku suwalskiego po Cieśninę Beringa, był nieopisany! Ten „bardak" zapamiętał młody kagiebista Putin. W 1994 r. do akcji pierestrojki włączył się Zachód, by uregulować status zasobów broni atomowej. Odbyła się konferencja w Budapeszcie, gdzie w zamian za oddanie swoich tysięcy atomówek Ukraina otrzymała gwarancję ochrony przed ewentualnym napastnikiem (w domyśle – Kremlem?). Gwarancji udzieliły USA, UK i Rosja (!!!). W zamian za decyzję rozbrojeniową „Zachód" obiecał Ukrainie przyłączenie do UE i do NATO – po spełnieniu warunków suwerenności. Był to historyczny, horrendalny błąd Ukraińców, podobny w skutkach do umowy perejasławskiej Bohdana Chmielnickiego z carem Aleksym.

Dlaczego to wszystko przypominam i zanudzam czytelników? Ponieważ mordercza horda już trzeci rok unicestwia tamte gwarancje zwane memorandum budapeszteńskim. Po latach złudzeń, że Rosja stanie się państwem przewidywalnym, racjonalnym, należy przyjąć do wiadomości, że to się może nie udać!

Z pełnym zaangażowaniem wspierając pokojową misję prezydenta Trumpa, nie zapominajmy o polskich doświadczeniach w tej materii. Są one bezcenne, choć nieco odmienne od projektów „koalicji chętnych". Ich chęci powinny zostać precyzyjnie zdefiniowane, jeżeli mają się przysłużyć dobrej sprawie.

Panie Tusk, co robicie z kasą?

Mamy sierpień, a stan budżetu państwa już dawno wykroczył poza bezpieczne ramy. To, co powinno być w budżecie w grudniu, dziś jest już niemal przejedzone. Dochody nie nadążają, kasa się nie spina, a obietnice wyborcze – te, które miały być sztandarem nowej władzy – lądują w koszu.

Polska to dziś rozchwiany statek, którego sternik zajmuje się propagandą, a nie sterowaniem. Zamiast planu – brak pomysłu i wojenki w koalicji. Zamiast odpowiedzialności – wymówki. Zamiast realizacji obietnic – puste frazesy i kolejne konferencje prasowe rzecznika Szłapki, któremu już policzono, że częściej kłamie, niż mówi prawdę.

Czy jest jakakolwiek dziedzina funkcjonowania państwa, w której ten rząd daje sobie radę? Budżet wywraca się na naszych oczach, stosunki międzynarodowe są fatalne, inwestycje wstrzymane, obietnice wyborcze zapomniane, pacjentom onkologicznym odmawia się leczenia, a zamiast reformy sądownictwa mamy destrukcję systemu sprawiedliwości. Chaos panuje absolutnie wszędzie. A kiedy na polskim niebie pojawia się i wybucha rosyjski dron, premier ani myśli wracać z urlopu. Czy ktoś jeszcze panuje nad tym wszystkim?

Warto przypomnieć, jak wyglądały nasze rządy. Premier Beata Szydło potrafiła wprowadzić wielkie programy społeczne – 500+, wsparcie dla seniorów, inwestycje lokalne – i jednocześnie utrzymać kontrolę nad finansami. Premier Mateusz Morawiecki, choć musiał się mierzyć z kryzysem pandemicznym i wojną na Ukrainie, trzymał budżet w ryzach, jednocześnie realizując wiele tarcz ochronnych i ogromne wsparcie dla poszkodowanych przez kryzysy. Trudne czasy wymagały trudnych decyzji, ale nigdy nie brakowało odpowiedzialności i planu.

Dziś mamy rząd, który roztrwania pieniądze szybciej, niż je pozyskuje, a później tłumaczy, że „jakoś to będzie". Panie Tusk, nie będzie! Budżetu nie da się oszukać, liczb nie da się zaklinać. Państwo już w połowie roku stoi na krawędzi nowelizacji finansów, a obywatele coraz wyraźniej czują, że zostali oszukani.

Dlatego pytam wprost: panie Tusk, co robicie z kasą?

Tusk był znany z polityki ciepłej wody w kranie, ale jeśli te rządy nie skończą się jak najszybciej, to i tego wkrótce zabraknie.

Arkadiusz Mularczyk

eprasa.pl efd9ec288b

TRENDY I OWĘDY

Coś jest nie tak!

Ryszard Makowski

Oburzenie wywołał transparent wywieszony przez żydowskich kibiców na meczu Maccabi Haifa z Rakowem Częstochowa: „Murderers since 1939". Nie chodziło wyłącznie o piłkarzy częstochowskiej drużyny, z których wielu jest obcokrajowcami. To był pozasportowy komunikat do wszystkich Polaków. Do tego nieobyczajnie potraktowali kukłę owiniętą we flagą Polski. Mecz odbywał się na Węgrzech, w Debreczynie. Ze względu na toczone przez Żydów wojny z sąsiadami i akcje wojskowe wymierzone w Palestyńczyków, spotkania na terenie Izraela byłyby zbyt niebezpieczne. Przy okazji odżył stary temat, dlaczego Izrael uczestniczy w rozgrywkach europejskich, skoro geograficznie nie ma to sensu.

Raków Częstochowa wystosował protest do UEFA: „Wnioskujemy m.in. o wykluczenie klubu z Izraela z rozgrywek europejskich w kolejnym sezonie [...]. Nie zgadzamy się na fałszowanie prawdy historycznej. Polacy często ryzykowali życie, ukrywając Żydów". UEFA rozpoczęła postępowanie, ale konsekwencje grożą obu klubom. Protest wobec treści transparentu wyrazili m.in. prezydent Karol Nawrocki czy wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz.

Trzeba jednak zauważyć, że narracja, jakoby Polacy mordowali Żydów, jest popierana przez państwo polskie. Co więcej, ci, którzy ją głoszą, jak choćby Michał Bilewicz czy Barbara Engelking oraz wielu innych, są zatrudnieni w instytucjach naukowych i dostają milionowe granty na zakłamywanie historii. Mamy słuszne pretensje, że zindoktrynowani kibice z Izraela nas obrażają, a jednocześnie dotujemy tych, którzy przyczyniają się do ich ogłupienia. Chyba coś tu jest nie tak.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAWEŁ SUPERNIAK/PAP, LIUDMYLA SKWARCZYŃSKA, ANDRZEJ WIKTOR, REX FEATURES/EAST NEWS, LIU ZISHAN/SHUTTERSTOCK

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl efd9ec288b

Zmierzch Tuska

Fot. Wojciech Olkusnik/East News

Obrazki towarzyszące upokorzeniu Donalda Tuska w pałacu prezydenckim przejdą do historii polskiej polityki i mediów. Czy premier może się jeszcze uratować przed ostateczną klęską?

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

Sala Biała pałacu prezydenckiego, miejsce, w którym głowa państwa najczęściej przyjmuje znanych gości. Drezdeńskie wazy, pozłacane sztukaterie, obrazy. W tym ten najważniejszy – wiszący nad miejscem rozmów portret prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Jest 14 sierpnia 2025 r., dzień, w którym ma się odbyć pierwsze spotkanie prezydenta Karola Nawrockiego i premiera Donalda Tuska.

Panowie się szczerze nie znoszą. W kampanii wyborczej Nawrocki nazywał szefa rządu „szkodnikiem", przekonywał, że to „najgroźniejszy polityk po 1989 r.". Tusk, jak to Tusk – odpowiadał insynuacjami i pozwalał, żeby jego ludzie i media obrzucali kandydata na prezydenta błotem, zarzucając mu złodziejstwo i stręczycielstwo. Potem jako pierwszy premier w historii III RP nie pogratulował prezydentowi elektowi zwycięstwa wyborczego.

Tusk pojawia się krótko przed godz. 12.00. I choć do budynku wchodzi z rzecznikiem rządu Adamem Szłapką, do Sali Białej wkracza sam. Słychać tylko strzelające migawki aparatów fotograficznych. Premier rozgląda się, splata dłonie, omiata wzrokiem ściany,

eprasa.pl efd9ec288b

nie patrząc jednak nawet przez sekundę na portret swojego dawnego rywala. „Nie może spojrzeć prezydentowi Kaczyńskiemu w oczy, wyrzuty sumienia" – komentują na żywo prawicowi internauci.

Tusk zerka na zegarek, krąży wokół stolika, w końcu przysiada na fotelu. Zdenerwowany, wymięty, jakby czymś przestraszony. Nie ma wątpliwości, że źle dla niego to wygląda. „Prowokacja! Operator TVP Info, który pokazuje jak premier czeka, do natychmiastowego zwolnienia" – domagali się internetowi fani Tuska.

Wreszcie wchodzi prezydent. Sprężysty krok, silny uścisk dłoni. Wola mocy – powiedziałby Nietzsche. „Aura" – komentowali interesujący się polityką młodociani użytkownicy TikToka.

Symboliczna potęga obrazków powala. Ten, który miał być królem królów, stoi upokorzony pod portretem człowieka, którego zdradził i niszczył. Ten, którego wyzywano od alfonsów i który miał prędzej trafić do więzienia niż do pałacu prezydenckiego, w niezaprzeczalny sposób dominuje, narzuca ton. Polacy zapamiętają to na lata.

Czy jednak historia zapamięta południe 14 sierpnia jako moment, gdy na zawsze zaszło Słońce Peru? Czy przywołując to spotkanie, będzie się rozpoczynać opowieść o upadku króla Europy? Czy Tusk naprawdę się kończy? Wypadałoby odpowiedzieć: nie wiadomo, polityka to kapryśna pani, potrafi bardzo szybko zabrać to, co dała i oddać, co zabrała. Ale uczciwa, wynikająca z analizy faktów odpowiedź musi jednak brzmieć: tak, to koniec. Tusk znalazł się na deskach, uratować może go tylko cud. A on nie wierzy w cuda.

OPERACJA „PAŁAC"

Wyjątkowość sceny w pałacu prezydenckim wynika z odwrócenia dotychczasowych ról. To Tusk był tym, który upokarza innych za pomocą rozmaitych trików, pokazując ich gorszymi niż są w rzeczywistości. Teraz sam został bezlitośnie upokorzony, z namysłem wystawiony na urągowisko. Myśliwy zamienił się w zwierzynę.

Prawdziwa jest bowiem snuta w mediach opowieść o precyzyjnym zaplanowaniu przez otoczenie prezydenta Karola Nawrockiego operacji „Pałac". Najpierw konsekwentnie podkreślano, że spotkanie odbywa się „na prośbę premiera Tuska". Potem wprowadzono go do sali nieco przed czasem, a Nawrockiego sprowadzono do niej nieco po czasie. Zadbano, żeby było dużo zdjęć premiera skulonego pod portretem Lecha Kaczyńskiego i o to, by uzyskały one odpowiednie zasięgi w sieci. Nieprzypadkowo też najpierw oficjalnie zapewniano, że nie ma mowy o żadnym celowym spóźnieniu, by po chwili off the record podrzucać dziennikarzom informacje o trikach, które pogrążyły Tuska i pysznej zabawie, jaką mieli z tego ludzie prezydenta.

> Premier wyszedł sam wprost na ścianę aparatów i kamer, a jego rzecznik, zamiast pilnować obrazków i zabawiać szefa rozmową, popijał kawę i jadł ciastka u Leśkiewicza

„Ta historia ma drugą warstwę. Otóż Donaldowi Tuskowi towarzyszył podczas tej wizyty rzecznik prasowy rządu Adam Szłapka, ale tuż przed wejściem do sali recepcyjnej podszedł do niego Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta, i zaprosił do siebie na czas rozmowy prezydenta z premierem" – podały w swoim podcaście Joanna Miziołek i Eliza Olczyk. W efekcie Tusk wyszedł sam wprost na ścianę aparatów i kamer, a jego rzecznik, zamiast pilnować obrazków i zabawiać szefa rozmową, popijał kawę i jadł ciastka u Leśkiewicza.

„Zrobiliśmy to specjalnie. I specjalnie umieściliśmy premiera pod portretem Lecha Kaczyńskiego. Zasłużył sobie" – mówił dziennikarkom jeden ze współpracowników Karola Nawrockiego.

Kolejnym afrontem wobec premiera miała być odmowa odpowiedzi na pytanie, na kiedy prezydent zaplanował zwołanie pierwszej Rady Gabinetowej (termin podano tydzień później). Tusk wybierał się na urlop, chciał go tak zaplanować, żeby nie trzeba było wracać przed czasem.

Nasi rozmówcy z PiS potwierdzają ten przebieg wydarzeń. – A nawet, gdyby było inaczej, to i tak będziemy mówić, że zrobiono to specjalnie. Trzeba pokazać naszym zwolennikom, że jesteśmy w ofensywie i będziemy tamtym oddawać pięknym za nadobne – mówi nam jeden z posłów partii Jarosława Kaczyńskiego.

Trwająca właśnie runda pojedynku Karola Nawrockiego z Donaldem Tuskiem rozpoczęła się więc dla tego drugiego od przyjęcia potężnego ciosu i długiego liczenia. Premier zaliczył knockdown i jest o kilka sekund od knockoutu.

ŹLE BYŁO OD POCZĄTKU

W tarapatach był jednak od pierwszych dni urzędowania. Nieprawdziwa jest bowiem lansowana przez część komentatorów teza, że do 1 czerwca wszystko szło w sumie nieźle. Głosi ona, iż Tusk wspaniałym manewrem wygrał wybory parlamentarne (przegrał ze zużytym po ośmiu latach u władzy, poobijanym ciągłymi atakami z kraju i zagranicy PiS), wykorzystując swój strategiczny geniusz stworzył spójną koalicję (od początku była ona oczywista i na pewno nie jest spójna), a następnie pewnym krokiem szedł po domknięcie systemu za pomocą umieszczenia Rafała Trzaskowskiego w pałacu, co się nie udało ze względu nieudolności kandydata i jego otoczenia oraz, ewentualnie, kilku błędów samego premiera.

Prawda jest zaś taka, że od pierwszego dnia urzędowania Tusk miał znacznie więcej porażek niż sukcesów. Beznadziejne, łączące sadyzm z indolencją rozegranie przejęcia instytucji państwa i „rozliczeń PiS", przegrane wybory samorządowe, a po chwili wygrane żałosną różnicą wybory do europarlamentu (przypomnijmy, że Tusk

eprasa.pl efd9ec288b

nie rządził jeszcze wówczas nawet pół roku, a PiS zajmowało się przede wszystkim tym, by nie dać się zlikwidować), wreszcie bezczelne odmawianie realizacji jakichkolwiek istotnych obietnic wyborczych.

To dołowało notowania uśmiechniętej ekipy. W maju br. zdecydowanie więcej Polaków oceniało rząd negatywnie niż pozytywnie. W historii III RP taka sytuacja była zawsze preludium klęski rządowego kandydata w wyborach prezydenckich. Próbę z Trzaskowskim należy więc rozpatrywać w kategoriach poszukiwania „lucky punch", brzydkiego, wadliwego technicznie uderzenia, które ma dać zwycięstwo przed czasem bokserowi wyraźnie przegrywającemu do tego momentu na punkty. Nie udało się.

NAJGORZEJ

Dziś sondaże wyglądają jeszcze gorzej. W sumie: najgorzej.

„W kwietniu 2024 r. tuż przed wyborami samorządowymi, rząd był u nas na -4 (więcej przeciwników niż zwolenników), dziś jest na -32!" – komentował sierpniowe wyniki sondażu oceniającego władzę szef Ogólnopolskiej Grupy Badawczej Łukasz Pawłowski. Według badania gabinet Tuska jest obecnie negatywnie oceniany przez 55,6 proc. Polaków. Wśród nich jest wielu wyborców dawnej Trzeciej Drogi, Lewicy, a nawet garść głosujących na PO. Pozytywne oceny wystawiło 23,5 proc. respondentów, w tym tylko 24 proc. wyborców Polski 2050 i 28 proc. Polaków głosujących na Lewicę.

Jak zauważa Pawłowski, wśród coraz mniej licznych zwolenników rządu nie ma bynajmniej entuzjazmu dla premiera i spółki.

„Nawet jeśli te 25–30 proc. wyborców popiera rząd, to takich, którzy odpowiadają »zdecydowanie tak« jest kilka procent. Nie ma pozytywnej emocji wokół rządu i premiera" – mówił w rozmowie z Interią.

Nie jest więc jeszcze tak, że wszyscy nie cierpią Tuska, ale też prawie nikogo już on nie podnieca. A dla polityka chłód wyborczej bazy to grób.

Równie złe, co sondaże, są nastroje w obozie III RP. „Gazeta Wyborcza" robi reportaż o marazmie i chaosie w kancelarii premiera, zuchwale cytując anonimowych informatorów, którzy „z ulgą przyjęliby zmianę premiera". Mariusz Janicki w „Polityce" przyznaje, że Tusk nie potrafi się odnaleźć w nowoczesnej polityce i kreśli równie rozpaczliwe, co nieprawdopodobne scenariusze działań mogących jeszcze uratować jego władzę i karierę. Inny gigant, Jacek Żakowski, nie ma już wątpliwości: to czas, by liderzy obozu liberalno-lewicowego z Tuskiem na czele szykowali się do pobytu za kratkami, gdzie wsadzą ich wracający do władzy pisowcy.

GIERTYCH, KONTEK I AFERA KPO

Czy trend może się odwrócić? Zdaniem Łukasza Pawłowskiego z OGB – nie może. Jeśli coś się zmieni, to tylko na gorsze dla premiera i jego ekipy. Tu zresztą nie trzeba eksperta od sondaży, wystarczy przeanalizować, co od 1 czerwca zrobił Tusk i porównać to z tym, co właśnie robi Nawrocki.

Premier pozwolił ośmieszyć państwo, a (co z politycznego punktu widzenia gorsze) także siebie – opowieściami Romana Giertycha i słynnego dr. Krzysztofa Kontka o ukradzionych wyborach. Ich brednie żyrował Adam Bodnar, nakazując ponowne przeliczanie głosów w niektórych komisjach. Skończyło się kompromitacją, bo nie tylko nie udowodniono masowych nieprawidłowości, lecz także okazało się, że to prokuratorzy się mylili, licząc karty do głosowania.

Bodnar musiał więc odejść. Na osobiste życzenie premiera zastąpił go Waldemar Żurek. Jemu nie tylko nic się nie udaje (sprzeciw niektórych sądów wobec Żurkowych czystek, komediowe „wejście do KRS" ludzi ministra itd.), lecz także wygląda i mówi jak przemądrzały wujo perorujący na imieninach, jaki to on mądry i jak wszystkich załatwi. Nie dziwi więc, że, według medialnych przecieków „Tusk się wściekł i jest rozczarowany Żurkiem". A przecież mija dopiero miesiąc od nominacji.

Klęską rządu z pewnością jest afera KPO. Nie tylko potwierdza ona obiegową opinię o liberałach aferałach, drobnych cwaniaczkach dbających wyłącznie o własne kieszenie, lecz także uderza w fundamentalną opowieść PO o Tusku zbawcy z brukselskich salonów, który jako jedyny potrafi odmienić życie przeciętnych Polaków, sięgając po „miliardy z Unii". Bo może i sięgnął, ale co z tego?

Podobnie rzecz się ma z narracją o Tusku polityku, którego „w Europie nikt nie ogra". W wyniku nieistniejącej polskiej dyplomacji premiera ogrywają wszyscy, wydaje się, że nikt już nawet nie udaje, że należy się z nim liczyć. Ostatnie potwierdzenie – premier małej Finlandii na szczycie z Donaldem Trumpem w Waszyngtonie, a premier Polski na urlopie, nie wiadomo z kim i nie wiadomo gdzie.

Tymczasem Karol Nawrocki złożył obiecywane w kampanii wyborczej projekty ustaw dotyczące powrotu do pierwotnego, sensownego kształtu Centralnego Portu Komunikacyjnego, ochrony polskiej wsi oraz zerowego PIT dla rodzin z co najmniej dwójką dzieci, objechał pół Polski, rozmawiał z prezydentem Trumpem i przyjął jego zaproszenie do Waszyngtonu. Różnica nie mogłaby być bardziej wyraźna.

MŁODY KONTRA STARY

Istnieje kilka zasadniczych powodów, dla których w najbliższych miesiącach Tusk nie ma szans na odrobienie strat.

Po pierwsze, Karol Nawrocki jest młody, silny i dopiero startuje, Donald Tusk zaś jest stary, chory (opisywaliśmy na łamach naszego tygodnika jego problemy wynikające prawdopodobnie z przewlekłej choroby neurologicznej) i na finiszu politycznego wyścigu.

Po drugie, Nawrockiemu sprzyja globalna koniunktura. Uzgodniona z Kaczyńskim strategia na kampanię wyborczą polegała na wykorzystaniu idącej z Ameryki fali, czyli odrzuceniu politycznej poprawności i umizgów do legendarnego „elektoratu centrum". Kandydat popierany przez PiS wyraziście obstawił konserwatywny przekaz i wygrał. Teraz zaś idzie za ciosem. Z nieskrywaną dumą (patrz: wejście na sektor najbardziej zagorzałych kibiców Lechii Gdańsk albo pogaduszki z przechodniami prowadzone z okien

eprasa.pl efd9ec288b

Belwederu) reprezentuje lud, a ten jest w ofensywie, szturmując zbudowaną w ostatnich dekadach przez globalistyczne elity poprawnościową Bastylię.

Dziś znowu – być może chwilowo, bo nic nie jest dane raz na zawsze – bardziej się liczą patriotyzm, zdrowy rozsądek i ładne dziewczyny w niebieskich dżinsach niż mocowanie się z własną tożsamością narodową, klimatyczny katastrofizm czy marszowe wrzaski domagających się wolnej aborcji „wściekłych wagin". Historia się nie skończyła – przeciwnie, rozpędza się jak szalona. A w tym pędzie jest coraz mniej czasu na zajmowanie się bzdurami.

„Ludowy" Nawrocki może być więc mniej więcej sobą, „elitarny" Tusk musi udawać. Wychodzi mu to słabo.

Rzecz ma też wymiar czysto partyjny, networkingowy. Prezydent i PiS są częścią zdobywającej kolejne przyczółki konserwatywnej międzynarodówki Trumpa. Tusk z kolei, nie dość, że przyklejony na stałe do znajdującej się w głębokiej defensywie międzynarodówki liberalno-lewicowej George'a Sorosa, Baracka Obamy i Ursuli von der Leyen, to jeszcze coraz bardziej marginalizowany przez swoich partnerów. Świadczy o tym np. brak reakcji na lekceważące potraktowanie szefa rządu przez aspirującego do elity Wołodymyra Zełenskiego (nie chciał polskiego premiera na rozmowach w Waszyngtonie) czy coraz częstsze głosy rozczarowania Polakiem dobiegające z redakcji niemieckich gazet.

KADROWA PRZEPAŚĆ

Trzeci powód prawdopodobnego upadku Tuska: otoczenie. Wokół premiera są ludzie albo wyeksploatowani, albo po prostu słabi. Posiwiały piarowiec Igor Ostachowicz od blisko 15 lat nie miał ani jednego naprawdę dobrego pomysłu komunikacyjnego. Agnieszka Rucińska, kiedyś przeciętna dziennikarka radiowa, dziś minister od propagandy w kancelarii premiera, nie miała takich pomysłów nigdy.

– Po odejściu z dziennikarstwa bez jakichkolwiek sukcesów pracowała w Platformie. Z jakiegoś powodu wkradła się w łaski Tuska po jego powrocie do Polski. Po co ona przy nim jest? Pewnie po to, by przytakiwać. I OK, ale mógłby mieć też kogoś, kto potrafi coś zrobić – mówi nam człowiek z biznesu, w przeszłości współpracujący z Rucińską.

O tym, że u Tuska leży nawet propaganda, niech zaświadczy przykład z ostatnich tygodni. Gdy wybuchła afera KPO – chodzi w niej m.in. o kupowanie przez proplatformerski biznes wypasionych jachtów za pieniądze z dotacji – premier odwiedził budowę farmy wiatrowej ORLENU (inwestycję zaplanował Daniel Obajtek), a sieć zalały zdjęcia, jak samotnie stoi na pokładzie statku i obserwuje przez lornetkę morską toń. Jakby wypatrywał łódek nabytych przez kumpli dzięki unijnemu funduszowi. Komunikacyjny koszmar.

> Kolejny powód prawdopodobnego upadku Tuska: otoczenie. Wokół premiera są ludzie albo wyeksploatowani, albo po prostu słabi

Jest jeszcze Paweł Graś. Człowiek, którego życiowym sukcesem było zbliżenie się do Tuska dzięki wykonaniu kilku brudnych robótek, a potem utrzymywanie jego przychylności ślepym posłuszeństwem i brutalnością wobec rywali. Dworzanin psychologicznie przydatny władcy, owszem, ale czy wymyśli proch? Nie.

Drugi krąg wygląda jeszcze gorzej: ślamazarny Jan Grabiec jako szef KPRM, zmagający się z pogłosem Marcin Kierwiński, jeszcze niedawno zwany „Bobasem" i wysyłany po wino do Żabki, a dziś mianowany na komandosa do zadań specjalnych czy Maciej Berek, człowiek, o którym właściwie nie sposób nic powiedzieć. A już na pewno nic dobrego.

O słabości kadrowej obozu Tuska najlepiej mówi to, że ratunku szukano, podejmując „przełomową decyzję" o mianowaniu Adama Szłapki, postaci wszak mocno kabaretowej, rzecznikiem rządu. A w roli wewnętrznych przeciwników premiera, z którym kiedyś zmagały się tuzy, takie jak Maciej Płażyński, Jan Rokita, Zyta Gilowska czy Grzegorz Schetyna, obsadzany jest dziś spiskujący rzekomo z Radosławem Sikorskim Roman Giertych.

Na tym tle team Karola Nawrockiego wygląda jak Barcelona przy Izolatorze Boguchwała. Szefem Gabinetu Prezydenta RP została młoda gwiazda PiS, sprawny i zapewniający doskonałą łączność z Nowogrodzką Paweł Szefernaker. Kancelarią dowodzi zaprawiony w legislacyjnych bojach prawnik Zbigniew Bogucki. Szefa BBN prof. Sławomira Cenckiewicza nawet nie wypada porównywać z jego platformerskim odpowiednikiem, wiceministrem obrony Cezarym Tomczykiem. Jest znający się na marketingu politycznym, sprawdzony w ostatniej kampanii Adam Andruszkiewicz, są zaufani, świetnie wykształceni współpracownicy Nawrockiego z IPN, wśród nich chwalony nawet przez pracowników TVN rzecznik Rafał Leśkiewicz, prezydentowi służą radą wybitni doradcy społeczni z prof. Andrzejem Nowakiem i Jackiem Saryuszem-Wolskim na czele.

I wreszcie na koniec – jest nieubłagana dynamika polityczna. Karol Nawrocki i ludzie, którzy za nim stoją, są zwycięzcami. Wygrali wbrew wszystkim przeciwnościom, mołojecka sława będzie jeszcze długo opromieniać ich lica. Napędza ich też jasno sprecyzowane zadanie: obalić Tuska, doprowadzić do rządów konserwatywnej prawicy, a potem wspólnie z nowym rządem zbudować wielką Polskę i przejść do historii.

Donald Tusk zaś odpowiada za wyborczą katastrofę Rafała Trzaskowskiego. I dlatego jest dziś politykiem bez agendy, bez celu i bez krzty seksapilu, zarażającym wszystkich dookoła poczuciem klęski. Aby przetrwać, obóz liberalny musi się go jak najszybciej pozbyć. Czy będzie do tego zdolny? Oby nie.

eprasa.pl efd9ec288b

Ile waży Kosiniak-Kamysz?

To od prezesa PSL zależy, czy Donald Tusk i wspierająca go większość nadal będą rządzić

STANISŁAW JANECKI

W pytaniu, ile waży Władysław Kosiniak-Kamysz, nie chodzi oczywiście o fizyczny ciężar wicepremiera, ministra obrony i prezesa Polskiego Stronnictwa Ludowego. Idzie o to, że obecnie to od niego zależy, czy koalicja 13 grudnia dotrwa do planowanego terminu wyborów parlamentarnych i czy Donald Tusk nadal będzie szefem rządu.

Już co najmniej trzykrotnie prowadzono rozmowy z samym Kosiniakiem-Kamyszem oraz jego reprezentantami, żeby zerwał koalicję z Tuskiem i Czarzastym, aby współtworzyć nowy układ rządzący z Prawem i Sprawiedliwością oraz Konfederacją. Ale prezes PSL (od 2015 r.) nigdy się na to nie zdecydował, mimo że proponowano mu nawet funkcję premiera. Kiedy po 15 października 2023 r. układ z Koalicją Obywatelską, Trzecią Drogą (PSL i Polska 2050) oraz Nową Lewicą zdobył większość parlamentarną i był gotów do stworzenia rządu, prezydent Andrzej Duda m.in. po to powierzył misję tworzenia nowej Rady Ministrów Mateuszowi Morawieckiemu, żeby był czas na rozmowy z PSL i Kosiniakiem-Kamyszem w sprawie odwrócenia sojuszy. Nic z tego nie wyszło.

Po 13 grudnia 2023 r. to PSL wydawało się ugrupowaniem możliwym do „odwrócenia", a zupełnie nie byli uwzględniani w takiej roli Polska 2050 i Szymon Hołownia. Dopiero po II turze wyborów prezydenckich okazało się, że Hołownia jest gotów do zmiany układu rządzącego, lecz popierało go tylko 12 posłów, a to było za mało, żeby zawiązać nową większość.

Sytuacja polityczna się zmieniła, gdy powszechna stała się wiedza, że Szymon Hołownia jest gotów na zmiany, a do tego doszła bardzo szybko postępująca delegitymizacja rządu Donalda Tuska. W lipcu 2025 r. w europejskim badaniu CRIF aż 57 proc. Polaków stwierdziło, że sytuacja Polski zmierza

eprasa.pl efd9ec288b

w złym kierunku, a jedynie 24 proc., że w dobrym. W badaniach IBRIS i Pollster (w lipcu i w pierwszej połowie sierpnia 2025 r.) 53–59 proc. Polaków źle oceniało rząd Donalda Tuska, a samego premiera – 55–59 proc. Po tych badaniach w PSL rozpoczęła się debata o przyszłości partii i jej współpracy z Koalicją Obywatelską oraz Tuskiem. Złe opinie o tym, w jakim kierunku zmierza Polska, a także o rządzie i premierze, uderzyły w PSL. W sondażach partia Kosiniaka-Kamysza trwale znalazła się pod progiem wyborczym, a jej najgorsze notowanie to 1,5 proc.

Trwanie PSL w układzie z Donaldem Tuskiem w decydującym stopniu zależy od prezesa Kosiniaka-Kamysza, a w mniejszym od szefa Rady Naczelnej, byłego premiera Waldemara Pawlaka. Gdyby porozumieli się oni w sprawie odwrócenia sojuszy, byłoby to przesądzone. Tyle że obaj są koniunkturalistami. PSL to partia klientystyczna, szczególnie w tzw. terenie, więc liczą się dla niej posady i wpływy. Dotychczas istniejący sojusz z Tuskiem zapewniał ich więcej niż ewentualna koalicja z Kaczyńskim (proporcje mniej więcej 7:3).

NOWA TRZECIA DROGA

Gdy po przegraniu wyborów prezydenckich 1 czerwca 2025 r. w partiach koalicji rządzącej zaczęło się szukanie winnych i pojawił się niepokój o przyszłość, prezes Kosiniak-Kamysz stwierdził: „Uspokajam sytuację, że w ramach czterech formacji ta współpraca jest w porządku. Oczywiście są pewne różnice w podejściu do spotkań, ale myślę, że najważniejsza jest stabilność czterech formacji tworzących dzisiaj koalicję". W PSL nie ma dramatu, gdy chodzi o sondaże, bo partia zawsze była w nich niedoszacowana, ale już przegranie prezydentury Polski oraz złe nastroje w tzw. dołach partyjnych i coraz niższe poparcie dla rządu robią wrażenie. Dlatego część członków Rady Naczelnej zaczęła stawiać sprawę terminu wyjścia z koalicji, żeby zdążyć odbudować się przed wyborami parlamentarnymi jesienią 2027 r. Nie samego faktu wyjścia, ale daty.

Kosiniak-Kamysz uważał dotychczas, że bardzo mu się opłaca odgrywanie roli prawicy w koalicji 13 grudnia. Nie ma tu żadnej konkurencji, a zmiana układu władzy powodowałaby, że PSL znalazłoby się w cieniu prawicowych PiS i Konfederacji, przez co straciłoby swój główny atut. Historycznie było tak, że po 1989 r. PSL nigdy nie weszło w koalicję z ugrupowaniami prawicowymi (przez krótki okres nieformalnie wspierało rząd Jana Olszewskiego), zawsze natomiast były to alianse mniej lub bardziej lewicowe. PSL funkcjonowało w nich jako prawica bądź udawało, że nią jest.

Prezes Władysław Kosiniak-Kamysz to krew z krwi typowego lidera PSL: koniunkturalisty zawsze mającego na względzie rachunek zysków. Dlatego premier Tusk nie obawia się, że jego zastępca z czysto ideowych powodów wywróci rządzącą obecnie koalicję. Jedynym argumentem za rewolucyjnym dla ludowej partii posunięciem, jakim byłoby odwrócenie sojuszy, jest obawa o nieprzekroczenie progu (dość powszechnie bagatelizowana przez ludowców). To stanowiłoby dla PSL katastrofę. Sondaże dające mu 3–4,5 proc. poparcia nie alarmują, gdyż raczej wystarczą, by przekroczyć próg w wyborach. Ale wyniki poniżej 2 proc. mogą przesądzić o marginalizacji i utracie udziału we władzy.

Rozpad Trzeciej Drogi i rozejście się Władysława Kosiniaka-Kamysza z Szymonem Hołownią sprawiły, że w obu partiach dominuje przekonanie, iż podobny wariant koalicyjny jest nie do powtórzenia w związku z wyborami parlamentarnymi w 2027 r. W grę nie wchodzi też wspólna lista z KO, bo PSL zostałoby zjedzone. Istnieje natomiast możliwość stworzenia nowej Trzeciej Drogi z udziałem ludowców, tylko zbudowanej na znacznie szerszej politycznej podstawie niż ta poprzednia. I ta nowa Trzecia Droga mogłaby się stać częścią koalicji z PiS oraz Konfederacją. Na razie Kosiniak-Kamysz nie dopuszcza takiego wariantu, ale może nie mieć wyjścia.

OPOZYCJA W KOALICJI

Od 2015 r., gdy przejął władzę w PSL, Władysław Kosiniak-Kamysz nie robił nic nadzwyczajnego, obrał bowiem taktykę stosowaną już przez wcześniejszych prezesów partii i wicepremierów: Waldemara Pawlaka, Jarosława Kalinowskiego oraz Janusza Piechocińskiego. Oni też udawali, że nie są w rządzącej koalicji z Sojuszem Lewicy Demokratycznej bądź Platformą Obywatelską, jeśli rządzący łamali prawo, podejmowali fatalne decyzje lub robili idiotyczne rzeczy. PSL było wtedy opozycją w koalicji, a nawet potrafiło ją zerwać (formalnie to PSL się pozbyto), jak w 2003 r. za prezesury Jarosława Kalinowskiego.

Gdy było już całkiem źle, czyli notowania rządu szorowały po dnie, prezes PSL zwykle znikał z debaty publicznej, żeby nie odpowiadać na kłopotliwe pytania, nie brać odpowiedzialności za wspólne rządzenie. Albo ponawiano apele, by nie skupiać się na wewnętrznym życiu partii koalicyjnych i kłótniach w koalicji, tylko pokazać determinację i skuteczność. Nie inaczej zachowuje się prezes Kosiniak-Kamysz: „Jak nie będzie grania wszystkich [koalicjantów] jako drużyny do jednej bramki, nie będzie sukcesu żadnej z naszych formacji, przegramy kolejne wybory. Mówię o tym już bardzo wprost". I przed rekonstrukcją rządu zapewniał, że „90 proc. rzeczy jest uzgodnione, w 10 proc. mamy różnicę. 90 proc. czasu zajmujemy się dziesięcioma nieuzgodnionymi. To jest ta aberracja, to jest to pomieszanie, które trzeba wyprostować, bo inaczej będą słabe wyniki".

Na zarzuty, że PSL traci podmiotowość i premier Tusk może z tą partią robić, co chce, Kosiniak-Kamysz odpowiadał (np. 20 lipca 2024 r. na posiedzeniu Rady Naczelnej): „PSL nie było, nie jest i nie będzie niczyim wasalem". Formalnie prezes stwierdził, że formacja nie chce być skazana na bezwzględne podporządkowanie się Donaldowi Tuskowi. Ale zapowiedzi buntu to żadna nowość w historii PSL po 1990 r. (wtedy formalnie partia zaczęła działać jako Polskie Stronnictwo

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efd9ec288b

Ludowe), choć rzadko skutkująca rozpadem koalicji rządzącej. Ale biorąc pod uwagę obecne nastroje oraz np. to, że 3 marca 2003 r. ministrowie z PSL w rządzie Leszka Millera zostali odwołani „za wywoływanie konfliktów" i gabinet stał się mniejszościowy, a potem lewica poniosła klęskę, wśród ludowców, może, a nawet powinna być brana pod uwagę ewentualna zmiana układu rządzącego Polską po 13 grudnia 2023 r. Ale trzeba realnie oceniać tę partię i jej różne „wisty", ćwiczone przez ponad 30 lat.

Praktycznie pod każdym przywództwem PSL było najbardziej obrotową formacją po 1990 r. Jej liderzy lubią pozować na konserwatyzm i programową odrębność, a nawet opozycyjność, tyle że Polskie Stronnictwo Ludowe było partią czysto establishmentową, pozostającą u władzy najdłużej ze wszystkich, które dotychczas rządziły (przez prawie 16 lat). Współrządziło albo z lewicą (w latach 1993–1997 oraz 2001–2003), albo z liberałami (w latach 2007–2015), albo w wielkiej koalicji liberałów i lewicy (po 13 grudnia 2023 r.).

PARTIA PIWOTALNA

W większości przypadków manewry Polskiego Stronnictwa Ludowego, gdy współrządzi, to tylko teatr, bo najważniejsze dla tej partii jest utrzymanie się u władzy. Teatrem był także ten „numer" partii Władysława Kosiniaka-Kamysza, gdy pomogła ona w utrąceniu w Sejmie ustawy dekryminalizującej aborcję. Jednak przez większą część swego istnienia w III RP na co dzień PSL było partią lewicową. Jego działacze przypominali sobie o swoim konserwatyzmie i dziedzictwie Wincentego Witosa w ważne święta narodowe i rocznice oraz wtedy, gdy chcieli na tym coś ugrać. Nie inaczej jest w sprawie aborcji i związków partnerskich. Popieranie lewicowych rozwiązań w tych sprawach po 13 grudnia 2023 r. po prostu się nie opłacało, gdyż PSL było i jest na etapie podkreślania swojego konserwatyzmu. A to wynika z czystej kalkulacji: korzystne jest granie takiej roli w koalicji, w której pozostałe ugrupowania (Koalicja Obywatelska, Nowa Lewica, Polska 2050) są lewicowo-liberalne. A sondaże pokazują, że przesuwanie się w lewo powoduje wymierne straty. Ale nawet mimo tego koniunkturalizmu PSL jest – obok Polski 2050 – „słabym" ogniwem koalicji 13 grudnia, czyli takim, które nie będzie „ginąć za Tuska", nie będzie przy nim stać „do końca". „Pozwólcie mi działać, pozwólcie pokazać, że konserwatyści też mogą mieć w tym rządzie reprezentację, a stworzymy stabilny rząd, który przez lata będzie mógł rządzić Polską" – apelował prezes PSL podczas posiedzenia Rady Naczelnej 20 lipca 2024 r.

> Prezes Władysław Kosiniak-Kamysz to krew z krwi typowego lidera PSL: koniunkturalisty zawsze mającego na względzie rachunek zysków. Dlatego premier Tusk nie obawia się, że jego zastępca z czysto ideowych powodów wywróci rządzącą obecnie koalicję

Paradoksalnie establishmentowość PSL, w tym przywiązanie do władzy, można wykorzystać przeciw Donaldowi Tuskowi. Jego trzeci rząd traci najwięcej i w najkrótszym czasie, co widzą także politycy PSL. To może być podstawą negocjacji w sprawie zmiany układu rządzącego. Oczywiście każde „spiskowanie" z PSL jest ryzykowne, ale jeśli jest to jedyna możliwość przerwania rządów Tuska, gra wydaje się warta podjęcia. To także może być teatr w wydaniu polityków Polskiego Stronnictwa Ludowego, ale w 2003 r. podobny teatr doprowadził do przesilenia, a dwa lata później – zasadniczej zmiany układu rządzącego Polską.

Wiedza o tym, jakie jest PSL i jak trudno polegać na tej partii, nie powinna jednak odstręczać od prób wciągnięcia jej do rozgrywki o odsunięcie od władzy Donalda Tuska. Realnie jest to bowiem jedyna możliwość dla obecnej opozycji, czyli PiS i Konfederacji.

Pod rządami Władysława Kosiniaka-Kamysza ludowa partia na jakiś czas przestała być piwotalna (określenie byłego premiera Marka Belki), czyli ograniczyła swoje możliwości trwania u władzy. A przecież w III RP „piwotalność" była właściwie istotą programu PSL. Chodziło o to, by rządzić choćby z diabłem, byleby mieć wpływy i dysponować różnymi zasobami, w tym posadami. Bez tego zawsze trudno było utrzymać w partii mobilizację i motywację do działania. Obecnie prezes Władysław Kosiniak-Kamysz zaklina się, że nie zdradzi koalicji 13 grudnia, ale to samo robili poprzedni prezesi ludowej formacji, gdy pojawiały się kłopoty w koalicji rządzącej. A rodzinna tradycja Kosiniaków-Kamyszów jest taka, że zawsze potrafili się ustawić. Jak ojciec Władysława Andrzej Kosiniak-Kamysz, wiceminister zdrowia w rządzie Mieczysława Rakowskiego (1989–1991) oraz minister zdrowia w rządzie Tadeusza Mazowieckiego. Albo jak stryj Zenon Kosiniak-Kamysz, wiceminister spraw wewnętrznych w latach 2001–2003 i wiceminister obrony w latach 2008–2009, a potem dyplomata. W przypadku Władysława Kosiniaka-Kamysza tym razem decydująca może nie być „piwotalność", lecz obawa, że po raz pierwszy w III RP partia nie przekroczy progu i nie dostanie się do Sejmu. Dlatego tak ważne jest „ustawienie" się pod większość mającą realne szanse przejąć władzę po wyborach w 2027 r. lub wcześniej, gdyby obecna koalicja rządząca się rozpadła. A PSL jest w stanie doprowadzić do takiego rozpadu. To zaś oznacza, że Władysław Kosiniak-Kamysz waży całkiem sporo.

eprasa.pl efd9ec288b

Fot. PAP/EPA

Katastrofa polskiej dyplomacji

Po półtora roku rządów obecnej koalicji właściwie nie mamy polityki zagranicznej, a jeśli już, to jest ona obciążeniem i bardziej nam szkodzi, niż buduje relacje ze światem

DARIUSZ MATUSZAK

Do oceny polskiej polityki zagranicznej bardziej przydatne są narzędzia psychiatrii i psychologii, niż te służące do analiz politologicznych, wojskowych, ekonomicznych czy socjologicznych. A w opisie trafniejszy będzie jakiś styl literacki niż chłodny, rzeczowy raport. Nawet tytuł tego tekstu może być mylący, bo w polskiej polityce zagranicznej nie mamy do czynienia z katastrofą – zdarzeniem nagłym i niespodziewanym. To nawet nie jest kryzys, bo ten oznaczałby czasowe odstępstwo od pożądanej normy. W przypadku polskiej dyplomacji od półtora roku normą jest trwanie w stanie permanentnej klęski, pośród zapowiadanych i łatwych do przewidzenia kataklizmów. Najpierw uderza wielki meteor, wybija w przestrzeń gazy i pyły, a dopiero potem wszystko się dusi i umiera. Porównanie, owszem, przesadne, bo naszym dyplomatom

eprasa.pl efd9ec288b

i rządowi nie spadł na głowy żaden obiekt kosmiczny, tylko cegły i bele, które same na siebie zrzucili.

PAS TRANSMISYJNY

To, co się będzie działo z polską polityką zagraniczną pod panowaniem obecnie rządzących, było łatwe do przewidzenia, bo to żniwa 16 lat ciężkiej, jednokierunkowej pracy, ślepego zawierzenia Unii Europejskiej i Niemcom, postawienia wszystkiego na jedną kartę i zaniedbania każdego kierunku w relacjach zagranicznych oprócz jednego – jakby z Brukseli przez Berlin wprost do Warszawy przez terytorium Polski prowadziła eksterytorialna autostrada. Pas transmisyjny.

Tak było za pierwszych rządów Donalda Tuska, podobnie w czasach, gdy PO wraz obecnymi koalicjantami była w opozycji i tak jest teraz. Jeszcze za prezydentury Baracka Obamy spychano na margines nasze stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Wraz z wybuchem wojny na Ukrainie wszelkie kalkulacje dzisiejszych rządców Polski runęły, nietrafność wszystkich diagnoz została obnażona. Polska polityka zagraniczna w wykonaniu rządu dziś nie istnieje. Bogu i wyborcom dziękować, że Rafał Trzaskowski nie został prezydentem, jest więc szansa, że przynajmniej jeden ośrodek władzy będzie utrzymywał nasze relacje ze światem na jakimś poziomie rozsądku i przyzwoitości.

Niemal wszystko wymyka się racjonalnym ocenom i wytłumaczenia pewnie należałoby szukać pośród teorii spiskowych, bo nijak nie da się zrozumieć, iż po tym, jak Niemcy sprowadziły na Europę kryzys gospodarczy, energetyczny, migracyjny i polityczno-militarny poprzez finansowanie zbrodniczej Rosji, wciąż są traktowane jako wiarygodny, najbardziej solidny partner, lider na kontynencie, gwarant bezpieczeństwa, wyrocznia w sprawach wszelakich. Kiedy w 2018 r. Donald Trump w ONZ ostrzegał Niemcy przed całkowitym uzależnianiem się od rosyjskich dostaw surowców energetycznych, berlińska delegacja rechotała z amerykańskiego głupka. Ta postawa wyznaczyła kurs dla polityków obecnej koalicji rządzącej z Donaldem Tuskiem na czele, który jak żaden z polityków na świecie pomawiał publicznie Trumpa o bycie ruskim agentem. Ten ówczesny festiwal rechotu i pogardy trwa do dziś, bo żona polskiego wicepremiera i szefa dyplomacji, pani swego męża Radosława Sikorskiego po spotkaniu z Putinem na Alasce – jakby jej jeszcze było mało porównywania Trumpa do Hitlera – pisze, iż prezydent Stanów Zjednoczonych zachowywał się jak szczeniak łaszący się do swego pana – kremlowskiego zbrodniarza.

No więc kiedy Tusk, Sikorski, Applebaum i wszyscy ich pomniejsi naśladowcy, jak Bosacki czy Szczerba, szydzili z amerykańskiego przywódcy, obrażali go, wiadomo było, że trzęsą posadami polskiej polityki zagranicznej, a gdy ten znów został prezydentem, to stało się pewne, że te belki i cegły zwalą się na łeb. To nie żaden przypadek, że na spotkaniu Zełenskiego i europejskich liderów z Trumpem w Waszyngtonie nie było przedstawicieli polskiego rządu. Jest tak, jakbyśmy mieli nie mieć już żadnego udziału, żadnych zasług w ewentualnym zakończeniu wojny na Ukrainie, mimo iż byliśmy pierwszym, najwierniejszym i najodważniejszym sojusznikiem Kijowa. Trump nie chce nas na bankiecie, a i przywódcy Europy nie będą zabierać trędowatego na imprezy z nim. Także Zełenski, który był upokarzany nawet z powodu stroju, tym bardziej nie zaryzykuje pokazywania się w towarzystwie pariasów.

Marek Budzisz, publicysta „Sieci" i ekspert Strategy & Futer, wskazuje, że nie będzie nas nie tylko przy ewentualnym zawieraniu pokoju, lecz także – z tą ekipą rządzącą – nie będziemy uczestniczyć w odbudowie Ukrainy. „Jesteśmy całkowicie na marginesie – twierdzi. – Nie jesteśmy trochę na marginesie, tylko całkowicie". Jego zdaniem będziemy jedynie realizatorem ewentualnych unijnych projektów, co oznacza rezygnację z promowania własnych. „Europejscy partnerzy angażują własne środki, finansując projekty w Ukrainie, ale jednocześnie warunkują ich wykorzystanie udziałem swoich firm. To zupełnie inna postawa" – mówi w rozmowie z „Faktem".

Wspomniałem już, że to kompletnie ślepe podporządkowanie się polityce Berlina i Brukseli, to mentalne samoubezwłasnowolnienie całkowicie wymyka się racjonalnej ocenie. Na nic zdadzą się analityczne narzędzia politologii. Tu trzeba psychiatrii, psychologii i literatury do opisu polskiej polityki zagranicznej, jej przyczyn i skutków. Pobawmy się więc w literaturę, by objąć umysłem świat polskiej dyplomacji.

Z PAMIĘTNIKA KIEROWNIKA

„Kochany pamiętniczku, powierniku mój ty sekretny – to ja, Twój Jedyny i Najdroższy Kierownik Ambasady (a może tylko jej budynku)" – może wieczorami pisać Bogdan Klich. „Każdy wielki dyplomata prowadzi memuary, więc i ja ci się zwierzam, by dla pamięci przyszłych pokoleń zachować wielkie historyczne wydarzenia. Siedzę tu sobie, w rezydencji w Waszyngtonie przy 3041 Whitehaven Street, skąd mam blisko, prawie przez płot, do Clintonów, jeszcze się z nimi nie widziałem – i jest mi bardzo dobrze. Chałupa to blisko 800 m² powierzchni, całkiem niezła, kupiona jeszcze za Schnepfa i Wysockiej i remontowana specjalnie dla nich. Na samą łazienkę poszło 300 tys. dolarów, więc czepiali się w NIK i nasłali tutaj tę kontrolerkę, co to Radek mówił o niej per pi...da. Służba wytresowana, ogrodnik znakomity, do dyspozycji świetni kucharze, na wypadek, gdybym urządził jakieś przyjęcie dyplomatyczne albo chociaż popijawę. I jedynym, co mnie boli psychicznie jako psychiatrę, jest to, że nikt mnie tu nie chce i nie mam nic do roboty. Na ambasadora już nie awansuję, bo Duda nie dał mi listów uwierzytelniających, a kibol Nawrocki zapowiedział, że też tego nie zrobi. Oni i ci dyplomaci z krajów NATO myślą, że to w najlepszym przypadku jestem jakimś Jonaszem, bo hurtowo likwidowałem jednostki wojskowe i za mojej kadencji jako ministra obrony wydarzyły się dwie największe katastrofy lotów o statusie wojskowym. Źli ludzie się mnie czepiają, bo zginęli w nich prezydent i jego małżonka, posłowie, ministrowie, szefowie najważniejszych instytucji państwowych, a także 26 dowódców wojskowych, w tym najwyżsi rangą. Fakt, licho znam angielski, bo dopiero w 64. roku życia, tuż przed wy-

eprasa.pl efd9ec288b

jazdem do Waszyngtonu, byłem w stanie zdać resortowy egzamin z języka na poziomie B2 i nie mam najmniejszego doświadczenia dyplomatycznego, ale od czego są tłumacze i Wikipedia. I nie szkodzi, że choć Ameryka to nasz największy sojusznik, a placówka w tym kraju, zwłaszcza w czasach wojny na Ukrainie, ma kapitalne znaczenie – ja tu sobie tylko tkwię. Nic z tym nie zrobicie. Publicznie obrażałem Trumpa, posłali mnie tu ci, którzy mówili, że to ruski szpieg i będzie siedział na złotym sedesie w willi pod Moskwą, a nie w Białym Domu, więc ten mnie nie przyjmie i nie przyjmie też tych listów, których nie dostanę od wykidajły Nawrockiego. Jedyne spotkanie, jakie miałem, to z emerytką Condoleezzą Rice, która 16 lat temu, za prezydentury Busha, była sekretarzem stanu. Nie mogę tu zrobić nic pożytecznego, nie reprezentuję Rzeczypospolitej, tylko siebie i Sikorskiego z Tuskiem, którzy moją nominacją udowodniają, że nie muszą się liczyć z żadnymi racjami, że dla kaprysu, jak Kaligula z konia, tak oni z każdego mogą zrobić personę. Ale ani myślę zrezygnować, bo fajnie mi tu w rezydencji, bo wikt i opierunek mam za darmo, a i zarobki kierownika są niezłe, i nie po to oddałem mandat senatora, by teraz przesiadywać w knajpach na Rynku Głównym w Krakowie".

Po co ten długi, całkiem zmyślony, ale zawierający niejedną prawdę wpis z pamiętnika kierownika Klicha? By boleśnie uświadomić, z jakim poziomem kompetencji, motywacji, wyobraźni i klasy mamy do czynienia w polskim MSZ. Ta postać uosabia całą lichotę polskiej dyplomacji z jej ambicjami, obsesjami i prywatami.

PRYWATYZACJA POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Po półtora roku rządów obecnej koalicji właściwie nie mamy polityki zagranicznej, a jeśli już, to jest ona obciążeniem i bardziej nam szkodzi, niż buduje relacje ze światem. Nawet z tym najbliższym, jak z naszymi sąsiadami. Minister Sikorski skłócił nas z Litwinami, zrównując ich stosunek do Polonii z działaniami reżimu Łukaszenki. 13 sierpnia w odpowiedzi na propozycję Białorusi wznowienia kontaktów na linii Warszawa–Mińsk MSZ oznajmił, że „w obecnej sytuacji Polska kategorycznie odrzuca przywrócenie dialogu z Białorusią" z powodu jej udziału w agresji Rosji na Ukrainę oraz represji wobec opozycji.

Dokładnie dwa dni później prezydent Trump odbył rozmowę z prezydentem Łukaszenką, podziękował za uwolnienie 16 więźniów politycznych, co sam potwierdził. Jak informuje strona białoruska, prezydent Ameryki przyjął też zaproszenie do Mińska. Trump napisał w Social Truth: „Miałem wspaniałą rozmowę z szanownym prezydentem Białorusi Aleksandrem Łukaszenką".

> Polska polityka zagraniczna została sprywatyzowana przez duet Sikorski–Applebaum, by służyć ich jaśniepańskim rojeniom i ambicjom

Nasz MSZ pod dowództwem Sikorskiego ma niezłe wyczucie czasu, rytmu i okoliczności.

Papież Leon XIV i Donald Trump mówią, iż rozmowy pokojowe między Ukrainą a Rosją mogłyby się odbywać w Watykanie, a zaraz potem minister Sikorski śle obraźliwe noty dyplomatyczne do Stolicy Apostolskiej, bo mu się nie spodobały kazania polskich biskupów Wiesława Meringa i Antoniego Długosza. Wicepremier Sikorski domaga się, by papież Leon XIV uciszył swych podwładnych.

Być może takie pokojowe rozmowy będą się toczyć w Budapeszcie, ale Sikorski właśnie odwołał z Węgier polskiego ambasadora z zemsty za niewydanie w kajdany byłego wiceministra Romanowskiego. O obelgach pod adresem węgierskiego rządu i Orbána nawet nie ma co wspominać. Po tym, jak pojawiła się propozycja Budapesztu, Donald Tusk niemal od razu publicznie ją podważył, jakby jego opinia w tej sprawie miała jakiekolwiek znaczenie. Trzeba było pokazać polskim wyznawcom, że i jego głos jest jako cymbał grzmiący.

A relacje z samą Ukrainą? Jest jeden wątek, wstrząsający, a cały czas pomijany i lekceważony. Taki, który powinien całkowicie wyeliminować Sikorskiego z polskiego życia politycznego. Chodzi o publicznie sformułowaną nikczemną insynuację, jakoby rząd Rzeczypospolitej po wybuchu wojny rozważał rozbiór Ukrainy do spółki z Rosją. Ta podła sugestia wisi w przestrzeni publicznej od trzech lat i pozwalamy na to, by prezydent Zelenski, ukraińscy dowódcy, a nawet sami Ukraińcy zastanawiali się, czy Sikorski tak sobie zmyślał, bezwstydnie łgał, czy rzeczywiście coś było na rzeczy i Lachy były gotowe zdradzić, zadać cios w plecy.

Obecna ekipa rządząca w Warszawie skłóca nas nawet z tą do cna zepsutą Brukselą, bo ośmieszyła całe to KPO.

Nie mamy polityki zagranicznej. Mamy jakieś chaotyczne, propagandowe ruchy wykonywane na potrzeby polityki wewnętrznej, ku zaspokojeniu własnych obsesji i fobii czy egoistycznych, indywidualnych ambicji, jak u Klicha czy kierownika Schnepfa we Włoszech, przy których interes Rzeczypospolitej się nie liczy. Polska polityka zagraniczna została sprywatyzowana przez duet Sikorski–Applebaum, by służyć ich jaśniepańskim rojeniom i ambicjom, sprowadzona przez kierowników placówek dyplomatycznych do roli narzędzia w walce z wewnętrznym przeciwnikiem politycznym. Pal diabli jakieś relacje z Budapesztem czy Watykanem – i co z tego, że papież jest z Ameryki i ma specjalne układy z Białym Domem. Pisiora trzeba wsadzić za kraty, a klechów uciszyć.

Wyciąganie nas z tego bagna powinno być jedną z pierwszych i najważniejszych prac prezydenta Karola Nawrockiego. I nie może to być zadanie realizowane na potrzeby walki z rządem. Szamotanina z tymi przegrywami będzie oznaczać ryzyko, że oni prezydenta tylko wciągną w swoje błoto.

eprasa.pl efd9ec288b

Głupcy czy prowokatorzy?

Izraela nie można krytykować. A już w szczególności nie wolno tego robić Polakom. Doskonale widać, jak łatwo jest w Izraelu zagrać na emocjach. Cokolwiek krytycznego usłyszą na swój temat, w odpowiedzi wyskakują z wyzwiskami od nazistów i morderców

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Mecz Rakowa Częstochowa z izraelskim klubem Maccabi Haifa nie był wyłącznie wydarzeniem sportowym. Bo choć Raków zasłużenie wygrał 2:0 i zakwalifikował się do kolejnej rundy eliminacji Ligi Konferencji, to jego zwycięski mecz będziemy pamiętać z zupełnie innego powodu.

Podczas rozgrywanego w węgierskim Debreczynie spotkania izraelscy kibice wywiesili obrzydliwy transparent oskarżający Polaków o zbrodnie podczas II wojny światowej. „Murderers since 1939" („Mordercy od 1939 r."). – głosił napis umieszczony na trybunach.

Jakby tego było mało, kamery uchwyciły również mężczyznę, który symulował gwałt na manekinie owiniętym polską flagą. Zgromadzeni na widowni izraelscy kibice pogardliwie pluli na Polaków (to chyba ulubiona forma wyrażania emocji w tym kraju) i wyzywali piłkarzy Rakowa od nazistów. Tak wulgarne i prostackie zachowanie doprowadziło w końcu do wywołania międzynarodowego skandalu.

Całe szczęście, że Polacy powstrzymali się od gwałtownych reakcji, choć – jak informowały media – niektórzy nie zdzierżyli obelg i po meczu próbowali zatrzymać autobus z izraelskimi kibicami. Przedstawiciele klubu z Hajfy także nie wykazali się po meczu odwagą cywilną i zamiast przeprosić za zachowanie swojej widowni, odwołali konferencję prasową i po cichu uciekli. Maccabi zostanie najpewniej ukarane finansowo.

Główne pytanie, które nasuwa się po tym incydencie, brzmi: czy mieliśmy tu do czynienia jedynie z głupotą prymitywnych ludzi? Czy też przeciwnie – była to z góry zaplanowana akcja mająca sprowokować drugą stronę do rozróby na stadionie i doprowadzić tym samym do eskalacji sporu?

eprasa.pl efd9ec288b

Mając w pamięci 2018 r., gdy w Izraelu rozpętano obłąkaną nagonkę na Polskę w związku z naszą ustawą antydyfamacyjną, niczego nie można wykluczyć.

ERUPCJA NIENAWIŚCI

Dlaczego jednak ktoś w Izraelu mógłby dziś chcieć kolejnego zatargu z Polską? Po wojnie w Gazie państwo żydowskie znalazło się przecież w izolacji i teoretycznie powinno mu zależeć na poprawie wizerunku.

Zwrócił na to uwagę Tom Rose, nominowany na nowego ambasadora USA w Warszawie. Dyplomata, który sam określa się jako „dumny, amerykański Żyd", jest zarazem człowiekiem bardzo przyzwoitym oraz – co trzeba podkreślić – przychylnym Polsce.

„To nie było zwykłe chuligaństwo – napisał o wyczynach kibiców z Hajfy. – To było coś więcej. Znacznie więcej. To był nikczemny, wyrachowany akt jadowitego oszczerstwa: mordercze pomówienie o mord rytualny przeciwko dobremu i porządnemu narodowi. Ci bandyci nie są zwykłymi wrogami Polski – są zdrajcami własnego narodu. W świecie, w którym roi się od prawdziwych wrogów Izraela, ci nikczemni tchórze pracują nad stworzeniem kolejnych. Musimy ich wyrzucić z naszego grona" – zaapelował Rose. Bardzo mocne słowa, które w Polsce przyjęto z wdzięcznością i które pomogły rozładować napiętą atmosferę, jaka wytworzyła się po incydencie.

Tom Rose potrafił bowiem spojrzeć na sytuację z szerszej, amerykańskiej perspektywy. Po zwycięstwie Karola Nawrockiego w wyborach prezydenckich, Polska może znów się stać istotnym elementem w polityce Donalda Trumpa. Podobną rolę w strategii Białego Domu odgrywa Izrael. Ostry konflikt na linii Warszawa–Tel Awiw mógłby zatem, podobnie jak w 2018 r., naruszać globalne interesy obecnej administracji amerykańskiej. Nie chodzi tutaj o to, żeby Polacy kochali Izrael (i *vice versa*), ale aby oba te państwa – postrzegane w Ameryce jako sojusznicy – nie zwalczały się wzajemnie.

Większość sił politycznych w Polsce to rozumie. Nikt nie postuluje przyjaźni z Izraelem, bo o takim zjawisku nie może być mowy, ale zachowanie chłodnego dystansu we wzajemnych relacjach jest zasadniczo przestrzegane.

Zupełnie inaczej wygląda to w Izraelu, gdzie nacjonalistyczne wzmożenie podsycane nieustanną wojną ze światem muzułmańskim wywołuje kolejne, coraz bardziej niebezpieczne erupcje nienawiści wobec wrogów. A Polacy i Polska – zgodnie z wieloletnią polityką edukacyjną Izraela – są przedstawiani w tym kraju jako odwieczni wrogowie, coś na kształt podludzi, krwiożerczej kohorty, która od wieków czyhała na życie swoich żydowskich sąsiadów. I gdy tylko Hitler dał jej taką możliwość, ochoczo rzuciła się do urządzania pogromów.

Dziś Izrael bardzo cierpi, ponieważ w świecie nagłaśniane są zbrodnie popełnione podczas wojny w Gazie. Zawsze przecież uchodził za naród ofiar i dzięki temu miał zagwarantowaną nietykalność. Teraz się to jednak zmieniło.

> Prawdopodobnie mieliśmy do czynienia z wulgarnymi, nacjonalistycznymi głupcami, przy tym mocno przewrażliwionymi na własnym punkcie. Takich ludzi można bardzo łatwo podpuścić

INNI SZATANI

Dlatego gdy podczas pierwszego meczu Rakowa z Maccabi rozegranego na początku sierpnia w Częstochowie tamtejsi kibice, nawiązując do wydarzeń w Gazie, wywiesili transparent „Izrael morduje, a świat milczy", wśród Izraelczyków się zagotowało.

„W mieście, w którym doszło do masakry Żydów, Izrael został nazwany mordercą" – oburzał się jeden z izraelskich portali internetowych. „Podczas II wojny światowej Polska była głównym ośrodkiem nazistowskiego przemysłu zagłady, a na jej terytorium działało wszystkie sześć obozów założonych przez nazistów korzystających z szerokiego wsparcia lokalnych kolaborantów" – czytamy w innym miejscu.

Izraelskie media manipulowały też wypowiedziami polskich działaczy sportowych, pisząc, że ci jakoby byli „dumni" z treści transparentu. W rzeczywistości zniknął on po kilku minutach od wywieszenia. Bo choć nie było na nim kłamstwa (zbrodnie w Gazie są przecież faktem), chodziło o uniknięcie burd i kar finansowych za polityczne manifestacje podczas imprezy sportowej.

W Izraelu uznano to jednak za potwarz. Bo jakim prawem polska „hołota", „potomkowie oprawców" ośmielają się nazywać Żydów, „potomków ofiar",

Fot. Waldemar Deska/PAP

eprasa.pl efd9ec288b

mordercami? Iskra poszła, a jej rezultatem było obrzydliwe kłamstwo wywieszone przez kibiców z Hajfy podczas rewanżowego meczu w Debreczynie.

Izraela nie można krytykować. Z żadnego powodu. A już w szczególności nie wolno tego robić Polakom. Doskonale widać, jak łatwo jest w Izraelu zagrać na emocjach. Cokolwiek krytycznego usłyszą na swój temat, w odpowiedzi natychmiast wyskakują z wyzwiskami od nazistów i morderców. Psychologicznie da się to jakoś zrozumieć – tam ciągle panuje atmosfera oblężenia i egzystencjalnego zagrożenia, jednak politycznie – i tak zwyczajnie po ludzku – jest to przejaw nikczemności, a często zwykłej głupoty.

W tym konkretnym przypadku, jakim był mecz w Debreczynie, zapewne tak było. Prawdopodobnie mieliśmy do czynienia z wulgarnymi, nacjonalistycznymi głupcami, przy tym mocno przewrażliwionymi na własnym punkcie. Takich ludzi można bardzo łatwo podpuścić, czego dowodem była antypolska nagonka w Izraelu siedem lat temu.

Wtedy także inni szatani byli tam czynni. Zarówno liberalna opozycja wobec premiera Izraela Binjamina Netanjahu, jak i jego nacjonalistyczni koalicjanci. Ale przede wszystkim, na co należy zwrócić uwagę, środowiska sponsorowane przez Kreml, w tym ówczesny szef Europejskiego Kongresu Żydów Wiaczesław Kantor oraz diaspora sowieckich Żydów, bardzo aktywna w Izraelu i wówczas wprost wspierająca politykę Putina. Można przypuszczać, że m.in. te środowiska inspirowały antypolskie publikacje, w których oskarżano nas o współudział w Holokauście.

Warto też przypomnieć, że to właśnie w tym czasie w światowych mediach propagowano tezę Jana Grabowskiego o 200 tys. Żydów zamordowanych rzekomo przez Polaków.

Antypolska nawała propagandowa była bardzo na rękę Rosji. Putin przygotowywał się wówczas do wojny i chciał maksymalnie osłabić Polskę postrzeganą jako „amerykański koń trojański" i przeszkodę w realizacji imperialnych planów. „Umoczenie" naszego kraju w zbrodnie Holokaustu było bardzo ważne, bo wykluczało nas ze wspólnoty cywilizowanych narodów i pozbawiało wsparcia Ameryki oraz całego Zachodu. Z podobnych powodów korzystały na tym Niemcy, które bardzo chętnie dzieliły się z nami rzekomą „współodpowiedzialnością" za Holokaust.

Jaką mamy gwarancję, że dziś ktoś z naszych przeciwników nie zechce wrócić do tej samej polityki wobec Polski? Pod rządami Donalda Tuska jesteśmy słabym państwem i ciągle toczy się gra, aby utrwalić ten stan. Nie twierdzę przy tym, że incydent w Debreczynie jest elementem tej gry, bo tego nie wiem. Wiem natomiast, jak łatwo jest wywołać taki incydent, czy to przy okazji meczu, czy gdziekolwiek indziej. Wystarczy jakikolwiek pretekst i emocje szybko sięgną zenitu, bo – jak widać po zachowaniu izraelskich kibiców – po tamtej stronie na pewno nie będzie żadnej refleksji.

> Skandal na meczu w Debreczynie został spacyfikowany. Polska nie eskalowała sporu, a Izrael – być może za sprawą Amerykanów – najwyraźniej postanowił odciąć się od kibiców z Hajfy

IM MNIEJ, TYM LEPIEJ

Nie oznacza to jednak, że tego rodzaju prowokacje zawsze muszą się udać. Skandal na meczu w Debreczynie, choć pozostawi po sobie niesmak, został przecież spacyfikowany. Było to możliwe m.in. dzięki wstrzemięźliwej reakcji Polski.

Radosław Sikorski, którego na co dzień trudno chwalić, zachował się właściwie, choć jego oświadczenie, w którym zrównał obrzydliwy transparent izraelskich kibiców ze stadionowymi przyśpiewkami o „Żydach", było dużym nadużyciem. To trochę tak, jakby zestawił na jednym poziomie gangstera zarabiającego miliony na handlu narkotykami z babcią nielegalnie sprzedającą na ulicy poziomki.

Reakcja Karola Nawrockiego wybrzmiała znacznie lepiej. Prezydent nie bawił się w głupie niuanse i po prostu przypominał, że „skandaliczny transparent wywieszony przez kibiców Maccabi Haifa obraża pamięć o obywatelach polskich – ofiarach II wojny światowej, wśród których było 3 mln Żydów. Głupota, której nie tłumaczą żadne słowa".

Polskie władze nie eskalowały sporu, a Izrael, być może za sprawą Amerykanów, najwyraźniej postanowił odciąć się od zachowania kibiców z Hajfy. Izraelska ambasada w Warszawie nazwała ich zachowanie „ohydnym". „Na takie słowa i czyny, żadnej ze stron, nie ma miejsca ani na stadionie, ani nigdzie indziej. Nigdy!" – czytamy we wpisie ambasady na platformie X.

Ta reakcja oznacza, że w Izraelu – przynajmniej po stronie rządu tego państwa – nie ma dziś przyzwolenia na kolejną antypolską akcję. Być może uznano, że warunkach powszechnej izolacji nie warto, jak radził Tom Rose, robić sobie wszędzie wrogów. Może też być tak, że dotychczasowa polityka szantażu moralnego przestaje być skuteczna oraz że po wojnie w Gazie rzucanie oskarżeniami o antysemityzm i nazizm stało się w ustach Izraela mało wiarygodne.

Nie zmienia to jednak faktu, że Izrael pozostaje jedną z głównych twierdz nacjonalizmu i szowinizmu w cywilizowanym świecie. Jego obecna dyplomatyczna słabość prawdopodobnie uchroniła nas przed kolejną eskalacją kłamstw i pomówień. W przyszłości może być jednak inaczej. Zwłaszcza że, jak wcześniej wspomniałem, także inni szatani są tam czynni.

Warto więc zachować ostrożność, bezpieczny dystans i ograniczyć wzajemne kontakty z tym państwem do niezbędnego minimum. W przypadku meczów będzie to jednak trudne, bo Izrael jest członkiem UEFA. Niestety.

Autopromocja

eprasa.pl efd9ec288b

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1 Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2 Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-efd9ec288b

10 lat w pałacu

Takie coś zdarza się tylko raz na 5 albo 10 lat. Były prezydent opisuje dzieje swojej kadencji. Tak postąpił Andrzej Duda, wydając obszerną książkę – ponad 600 stron – pod tytułem „To ja". Czy jest to propagandowa autopromocja, której nie warto czytać, czy jednak ważne świadectwo? Szczera spowiedź człowieka, od którego zależały losy nas wszystkich?

PIOTR GURSZTYN

Najpierw kilka słów dla czytelnika, który szuka ciekawej lektury, a nie fachowej wiedzy potrzebnej mu w pracy. Czyli dla kogoś kto nie jest dziennikarzem, historykiem albo czynnym politykiem. Na pytanie, czy warto poświęcić czas na przeczytanie tej książki, odpowiedź brzmi jednoznacznie: tak, naprawdę warto sięgnąć po pracę byłego już prezydenta!

Jest to żwawa opowieść, w niej masa ciekawostek i anegdot, a na dodatek sporo nieznanych do tej pory fotografii. Styl jest klarowny, nie ma zawiłych i nieciekawych dla ogółu dłużyzn. W odróżnieniu od niektórych autorów Andrzej Duda nie załatwia w tej książce swych osobistych spraw, pełnych żalu porachunków z politycznymi wrogami. Po prostu opisuje – subiektywnie, bo to jego opowieść – czas jego prezydentury oraz dodaje do tego dygresje na temat innych epizodów z jego życia.

Takie tematy jak relacje z żoną, córką czy w ogóle innymi ludźmi zawsze są ciekawe dla wścibskich czytelników. Pewnie też zainteresują ukazane tam prywatne sprawy, np. opis walk prezydenta z nadwagą czy strach przed psami (dobrze, że Andrzej Duda nie musiał się spotykać z Władimirem Putinem, który na oficjalne spotkanie z Angelą Merkel przyszedł z wielkim psem, wiedząc, że niemiecka kanclerz od dzieciństwa ma uraz do tych zwierząt).

W rozdziale „Gdzie jest mój dom" opisano np. dylematy świeżo wybranego prezydenta, gdzie zamieszkać – czy w Belwederze, czy w głównej siedzibie przy Krakowskim Przedmieściu. To także opis rewolucji, która dokonała się w życiu rodziny Dudów. Rozdziały „Po godzinach", „Tylko we dwoje", „Czy w dżinsach i smokingu" to też obszerne fragmenty, które zaciekawią

Fot. Andrzej Duda/x.com

eprasa.pl efd9ec288b

czytelników mało zainteresowanych polityką. Skądinąd widać w nich, jakim ciężarem jest hejt, który musiały znosić osoby najbliższe głowy państwa – czyli żona Agata i córka Kinga. To przykre fragmenty, choć trzeba je przeczytać, aby mieć świadomość, w jakim świecie przyszło nam żyć.

BEZ UPIĘKSZEŃ I CENZURY

Andrzej Duda reklamuje swoją książkę jako „szczerą opowieść o życiu i prezydenturze, bez upiększeń i cenzury". To oczywiście autoreklama, ale trzeba przyznać, że uczciwa. Jest zrozumiałe, że każdy autor, pisząc o sobie, będzie się próbował przedstawić od najlepszej strony, a kontrowersyjne sprawy zinterpretować na swoją korzyść. To natura takich książek, ale w „To ja" nie jest to natarczywe. Prezydent zachował umiar. Dzięki temu jego opowieść nie brzmi fałszywie ani nie męczy przechwałkami. Tego nie ma. I to jest mocna strona tego dzieła, które możemy uznać za swoiste sprawozdanie z prezydentury.

Drugi wymiar książki dotyczy jej wartości informacyjnej. Tego rodzaju dzieła nabierają smaku po kilku latach. Zmieniają się bowiem sojusze, priorytety, masa spraw jest już zweryfikowana przez upływ czasu. Wtedy książka taka jak „To ja" staje się cennym źródłem dla historyka i dziennikarza. Często jako kij na autora, który wcześniej gorąco o czymś zapewniał, a potem zmienił zdanie w danym temacie.

PRZYJAZNA SUKCESJA

10 lat prezydentury to prawie epoka. Andrzej Duda znajdzie miejsce w podręcznikach historii. Zdaniem piszącego te słowa upływ czasu będzie pracował na korzyść historycznej oceny Dudy. Prezydentura jego poprzednika Bronisława Komorowskiego to okres bierny, jałowy, bez zauważalnych osiągnięć. Sam Komorowski nie zabłysnął formatem ani nie pozostawił po sobie spuścizny. Nie miał swojego Tbilisi jak Lech Kaczyński, na co dzisiaj powołują się nawet dawni wrogowie świętej pamięci prezydenta. Na tle Komorowskiego Duda błyszczy. Może być też tak, że jego następca Karol Nawrocki będzie miał tak wielkie dokonania, że przyćmi prezydenturę Dudy. Nie wiemy, co przyniesie przyszłość, ale nawet przy największych sukcesach Nawrockiego pamięć o osiągnięciach Dudy wcale nie musi przepaść. A to za sprawą tego, że były prezydent przekazał następcy swoją spuściznę z wielką życzliwością. Mamy do czynienia z nadzwyczajnym zjawiskiem w dziejach Polski, czyli bardzo przyjazną sukcesją. Wtedy Duda będzie się prezentował jako ten, który utorował drogę sukcesom Nawrockiego.

> Andrzej Duda nie ma złudzeń co do środowiska prawników, z którego sam się wywodzi. Źle je ocenia. Niektórymi wręcz gardzi, a ma do tego osobiste powody. I potrafił to uzasadnić, czemu poświęcone są spore fragmenty jego książki

I tu dygresja związana z książką, a właściwie jedyną ważną rzeczą, którą prezydent w niej zmarginalizował. To temat licznych kłopotów ze współpracownikami, zwłaszcza w pierwszej kadencji. Trochę zapomnieliśmy, że kilka osób odeszło z kancelarii w nie najlepszej atmosferze, a niektóre do końca wpędzały głowę państwa w kłopotliwe sytuacje. Andrzej Duda nie zawsze miał dobrą rękę do współpracowników. Na jego usprawiedliwienie trzeba dodać, że również bardziej doświadczony politycznie Lech Kaczyński miał z tym sporo kłopotów. A patrząc za granicę, mamy też przykład Donalda Trumpa, który co rusz się z kimś żegnał. Może być więc tak, że nowy prezydent, który w przyjaznych warunkach przejął pałac wraz z częścią dawnej ekipy, uniknie tych kłopotów. Wtedy będzie to jeszcze jeden plus na koncie Dudy.

SŁUCHANY W WASZYNGTONIE

Wracając do książki: proporcje pokazują, co prezydent Duda uważał za najważniejsze w swojej działalności. To sprawy międzynarodowe. Punkt pierwszy – rzecz jasna relacje z USA. Udała mu się duża sztuka: coś jakby zjadł ciastko i nadal je miał. A konkretniej – potrafił utrzymywać dobre relacje z takimi różnymi prezydentami USA jak Donald Trump i Joe Biden. Ten drugi przecież wiedział, że Dudzie jest blisko do Trumpa, a nie do niego. Teoretycznie po wyborach w 2023 r. Biden miał lepszego partnera pod względem poglądów do rozmowy, czyli Donalda Tuska. A wolał rozmawiać z Dudą. Widać to było gołym okiem w czasie nadzwyczajnej wizyty w Waszyngtonie wiosną 2024 r., gdy jednocześnie zaprosił Dudę i Tuska. „Biden koncentrował swoją uwagę na mnie, żartował, utrzymywał kontakt wzrokowy i fizyczny. Tusk z drugiego planu próbował na siłę przypodobać się amerykańskiemu prezydentowi – a to powołując się na słowa Jana Pawła II, a to mówiąc, że zwycięstwo Bidena w wyborach prezydenckich sprzed czterech lat zainspirowało jego i wielu Polaków do walki i że obecnie Polska jest »stabilną demokracją«. Prezydent niespecjalnie to podchwycił".

Andrzej Duda był słuchany w Waszyngtonie, o czym wiadomo nawet nie z jego książki, lecz źródeł niezależnych od niego. Wspominał o tym np. Bob Woodward w swoim dziele „Wojna", w którym opisał, że to właśnie Duda przekonał Trumpa i republikanów, aby odblokowali pomoc dla Ukrainy.

Z tym przeplata się kwestia niebezpieczeństwa grożącego nam ze strony Rosji, czyli temat agresji na Ukrainę. Sprawa relacji z tym krajem i prezydentem Wołodymyrem

eprasa.pl efd9ec288b

Zełenskim jest omówiona szeroko. W dwóch odsłonach. Pierwszej, gdy relacje były dobre, a na płaszczyźnie osobistej między obydwoma prezydentami wręcz serdeczne. I druga odsłona, która dzisiaj tak rozgrzewa opinię publiczną w Polsce, czyli okres po proniemieckim zwrocie władz ukraińskich. Duda opisuje to szeroko i szczegółowo. Dał temu rozdziałowi znaczący tytuł – „Rysy". I nie chodzi bynajmniej o szczyt w Tatrach.

Przedstawił także kontrowersje dotyczące tragicznego incydentu w Przewodowie. „Tamten dzień, 15 listopada [2022 r.], był z punktu widzenia NATO najgroźniejszy od momentu wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie. Po raz pierwszy bowiem doszło do sytuacji, że jeden z sojuszników mógł zostać wciągnięty w konflikt. Mam poczucie, że tamtego dnia zadaliśmy kłam stereotypom suflowanym przez rosyjską propagandę – o Polakach-rusofobach, Polakach-wariatach machających szabelką. Działaliśmy rozważnie...". Ale był to też moment pierwszego konfliktu państwa polskiego ze stroną ukraińską: „Tymczasem Zełenski był kompletnie zamknięty na fakty. [...] Stawiali [Ukraińcy] swoją wersję przeciwko faktom, przeciwko dowodom zebranym niezależnie przez Polskę, USA, dowódcę strategicznego NATO i szefa pionu wywiadu NATO".

Wiele wskazuje na to, że cała aktywność międzynarodowa prezydenta Dudy – nie tylko w kontekście relacji z USA, bezpieczeństwa Polski i wojny na Ukrainie – będzie oceniana coraz bardziej pozytywnie. Wraz z tym, gdy czas będzie wyciszał emocje i zweryfikuje bieżące oceny oraz komentarze. Żadna z wizyt i kontaktów międzypaństwowych nie była oceniana jako skandal, kompromitacja czy niepotrzebna turystyka w stylu „Słońca Peru". Jedyny problem Andrzeja Dudy był taki, że nie był mistrzem PR i nie potrafił w odpowiednim momencie zrobić dosyć szumu wokół swoich działań. A mapa jego wizyt jest bardzo ciekawa. Układa się w logiczną całość. Oprócz częstych wypraw za Wielką Wodę jest sporo, co zrozumiałe, wizyt w stolicach państw UE. Widać, że priorytetem był nasz region, czyli Trójmorze. Inicjatywa, która budziła – co ciekawe – duże zaniepokojenie w Niemczech. „Kiedy kończę urzędowanie, na liście priorytetowych projektów Trójmorza jest aż 140 inicjatyw transportowych, energetycznych i cyfrowych. Część z nich została już w całości wdrożona" – pisał z zadowoleniem ustępujący prezydent.

Ważnym punktem na tej mapie były Chiny. Dudzie udało się nawiązać dobre relacje z przywódcą Państwa Środka. Przynajmniej raz mocno nam się to opłaciło. Duda nakłonił Xi Jinpinga, aby ten nacisnął władze Białorusi w sprawie presji migracyjnej na naszą granicę. Użył dobrego argumentu, bo przez nasze Małaszewicze wjeżdża spora część chińskiego eksportu do Unii Europejskiej. Zadziałało – liczba nasyłanych migrantów zauważalnie spadła.

KONTROWERSYJNE DECYZJE

Oczywiście ciekawe są tematy krajowe. Tu Andrzej Duda budzi ogromne emocje. Anty-PiS go nienawidzi, cokolwiek by zrobił. Liczba zawetowanych ustaw w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości wskazuje jednak na to, że starał się uwzględniać oczekiwania także tych obywateli, którzy na niego nie głosowali. Nie zadowolił jednak przeciwników, a wielu swoich zwolenników rozczarował. Szczególnie w przypadku weta dotyczącego reformy wymiaru sprawiedliwości. Andrzej Duda tłumaczy swoje racje. Tu znów ujawnia się to, że nie jest mistrzem autopromocji i politycznego PR. Owszem, nie miał takich wpadek jak wąsaty wuj, czyli Bronisław Komorowski czy podpity Aleksander Kwaśniewski. Nauczony doświadczeniem był znacznie bardziej odporny na liberalny przemysł pogardy niż jego mentor, czyli Lech Kaczyński. Ale to zalety obronne, bierne. Natomiast jak nie potrafił zrobić propagandowego szumu wokół swojej udanej aktywności dyplomatycznej, tak nie przekonał zwolenników prawicy do budzących kontrowersje decyzji.

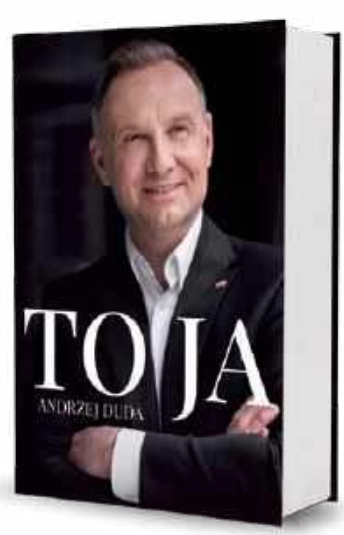

Sam tego nie pisze, ale po lekturze jego słów rodzi się pytanie: co by było, gdyby podpisał projekt autorstwa Zbigniewa Ziobry? Czy po utracie władzy przez prawicę w 2023 r. beneficjentem zmiany nie byłby minister Bodnar lub Żurek? Wtedy sędzia Manowska najprawdopodobniej nie byłaby już prezesem Sądu Najwyższego. A to może oznaczać, że wynik ostatnich wyborów prezydenckich „praworządnie" obsadzony SN uznałby za nieważny, np. na podstawie „ekspertyzy" dr. Kontka lub protestu mecenasa Giertycha.

Ciekawy jest wątek 500+ i polityki społecznej. Także w związku ze sporem o Trybunał Konstytucyjny. Prezydent pisze, że było jasne, iż próba opanowania przez Platformę TK w 2015 r. wiązała się z chęcią zablokowania 500+. Wtedy – jak twierdzi Andrzej Duda – ci sami sędziowie, którzy uznali za konstytucyjną ustawę podnoszącą wiek emerytalny, orzekliby, że 500+ jest wbrew konstytucji: „Sędziowie Trybunału Konstytucyjnego bardzo często podejmowali orzeczenia zgodne z interesem ówczesnej władzy. Łączyły ich światopogląd i powiązania towarzyskie".

Duda nie ma złudzeń co do środowiska prawników, z którego sam się wywodzi. Źle je ocenia. Niektórymi wręcz gardzi, a ma do tego osobiste powody. I potrafił to uzasadnić, czemu są poświęcone spore fragmenty jego książki.

Z jego opisami polskiej i światowej rzeczywistości można się nie zgadzać, ale nie da się zignorować jego diagnoz i opinii. W postaci książki „To ja" zostawił po sobie ważne świadectwo. Powtórzmy: naprawdę warto po nią sięgnąć. To spora porcja ważnych informacji o otaczającej nas rzeczywistości.

eprasa.pl efd9ec288b

SIECI

ROZMOWY
O ZAKOŃCZENIU WOJNY

Fot. The White House/x.com

eprasa.pl efd9ec288b

Gra na zwłokę

Każdy dobrze wie, że czas jest kluczową kategorią polityki. A polityczne zegary na Kremlu idą dziś bardzo wolno, nieporównanie wolniej nie tylko niźli w Kijowie, lecz także na całym Zachodzie

JAN ROKITA

Wbrew temu, co próbuje nam tłumaczyć większość analityków, sytuacja wokół konfliktu na Ukrainie jest jasna, choć przyszłość – co oczywiste, zresztą nie tylko w polityce – nie jest łatwo przewidywalna. Po amerykańsko-rosyjskim szczycie w Anchorage i towarzyszącym mu niezliczonym międzynarodowym naradom – zarówno wirtualnym, jak i w realu – tę sytuację można klarownie streścić w trzech prostych tezach:

1. Za sprawą nieustępliwości prezydenta USA w końcu rozpoczął się sformalizowany proces mediacyjny z udziałem przywódców obu walczących stron.
2. Nie wiadomo, w jakim czasie ów proces doprowadzi do tak pożądanego przerwania działań wojennych, choć wcześniej czy później zapewne to nastąpi.
3. Po Anchorage stanowiska Moskwy i Kijowa w sprawie warunków przerwania ognia nadal są odległe, choć dyplomacja amerykańska uporczywie pracuje nad ich zbliżeniem, nie bez pewnych efektów.

Z perspektywy tych, którzy sądzą, iż zarówno dla interesu Ukrainy, jak

Fot. Drew Angerer/AFP/East News

eprasa.pl efd9ec288b

i całego Zachodu lepiej by było tę wojnę skończyć, niźli ją kontynuować przez kilka najbliższych lat, po Anchorage sprawy mają się zatem odrobinę lepiej niż poprzednio.

Gdy idzie o interes Ukrainy widziany z zewnątrz – na chłodno i bez patriotycznych emocji, tak naturalnych i szlachetnych wśród obywateli napadniętego kraju – rzecz wydaje się oczywista. W czwartym roku wojny armii ukraińskiej nadal udaje się bronić tzw. pasma twierdz w obwodzie donieckim bazującego na przekształconych w nowoczesne twierdze trzech miastach: Słowiańsku, Kramatorsku i Konstantynówce. Ukraina (co niedawno opisywano w reportażu w „The Economist") zbudowała tam ciągnące się na kilkadziesiąt kilometrów – i to w gęsto zaludnionym terenie – okopy, bunkry, pola minowe oraz pułapki przeciwpancerne, czyniąc niezwykle trudnym przełamanie tej współczesnej linii Maginota i wyjście Moskali nad środkowy Dniepr. Jednak wcześniej czy później kosztem kolejnej hekatomby ofiar Moskale osiągną ten swój kluczowy militarny cel. A kiedy to nastąpi, sytuacja Kijowa w jakichkolwiek przetargach pokojowych będzie, co tu dużo mówić, parszywa.

KWESTIA CZASU

Oczywiście Władimir Putin chciałby negocjować z Ukraińcami w takiej właśnie sytuacji. Dlatego z premedytacją gra na zwłokę, robi kolejne zwody, raz sugerując, że już, już... będzie gotów rozmawiać bezpośrednio z prezydentem Zełenskim, a po chwili znów zapowiadając (za pośrednictwem ministra Ławrowa), że to jeszcze nie teraz, bo trzeba „postępować krok po kroku" i wcześniej poczynić rozliczne ustalenia oraz przygotowania.

I nawet jeśli do takiego spotkania dojdzie (jak twierdzi ostatnio Biały Dom), to ta moskiewska gra będzie co najmniej przez jakiś czas kontynuowana, a to ze względu na polityczną rolę, jaką w obecnej fazie wojny odgrywa upływ czasu. O tym, że czas jest kluczową kategorią polityki, każdy dobrze wie. A polityczne zegary na Kremlu idą dziś bardzo wolno, nieporównanie wolniej nie tylko niźli w Kijowie, lecz także na całym Zachodzie.

Sam władca Kremla pytany o kwestię czasu już kilkakrotnie posłużył się celnym i chyba przekonującym dla mieszkańców Rosji porównaniem z III wojną północną, którą car Piotr Wielki prowadził przez 21 lat – aż do zdobycia Ingrii oraz Inflant i uzyskania dostępu do Morza Bałtyckiego. W Polsce kpiarsko pisano wtedy (na łamach pewnego szacownego tygodnika) o „kabarecie Putina", który zestawia siebie z postacią XVIII-wiecznego cara, ale to władca Kremla, a nie polscy publicystyczni kpiarze najzupełniej dorzecznie opisywał tą metaforą swoje prawdziwe imperialne cele i zamiary.

> Trump podjął ryzyko i jak na razie nie znalazł sposobu na zatrzymanie wojny. Ale podjęcie takiego ryzyka przez przywódcę globalnego mocarstwa budzi – przynajmniej we mnie – coś w rodzaju politycznego respektu, gdyż współcześni demokratyczni liderzy zbyt często bywają oportunistami

Każdy, kto przysłuchiwał się transmitowanym na świat oświadczeniom Trumpa i Putina w Anchorage, po ich rozmowie musiał zauważyć, jak władca Kremla robił tam wszystko, aby przymilać się do Ameryki i jej prezydenta, ale przy tym unikać wypowiedzenia jakiegokolwiek zdania, które mogłoby sugerować realny krok naprzód w stronę zakończenia wojny. Choć – trzeba przyznać – nie do końca mu się to udało.

W tej nudnej jak flaki z olejem pseudokonferencji prasowej moją uwagę zwróciło tylko jedno zdanie Putina, w którym wyraził on zgodę na żądanie Trumpa objęcia Ukrainy jakimiś gwarancjami bezpieczeństwa. Amerykański prezydent mówił potem przywódcom Europy, którzy przybiegli doń z polityczną pielgrzymką, iż przekonał władcę Rosji do idei takich gwarancji. W Europie zapanowało w związku z tym spore podniecenie, znów zaczęto mówić o wysyłaniu na Ukrainę wojsk NATO itp. Ale krótko potem przygasił to wszystko Ławrow, tłumacząc, iż Putinowi szło o gwarancje z udziałem Moskwy, bo inaczej wszelkie gwarancje to „droga donikąd".

I w tym właśnie rzecz, że nie sposób rozpocząć z Moskalami negocjacji pokojowych czy choćby rozejmowych, nie natykając się na problem owej moskiewskiej gry na zwłokę. Dziś tę kluczową kwestię wolnego tykania politycznych kremlowskich zegarów można traktować na dwa sposoby.

DWA SPOSOBY

Sposób pierwszy to dać Kremlowi ów czas, cisnąc zarazem Moskwę rozmaitymi restrykcjami, spośród których tzw. sankcje wtórne (czyli praktyczna blokada przez USA handlu z krajami handlującymi z Moskwą), właśnie wypróbowywane przez Trumpa na Indiach, są dziś chyba najostrzejszą bronią. Kłopot polega na tym, że oznacza to wojnę handlową Ameryki z połową świata, której nikt w zasadzie nie chce. A nadto wcale nie usuwa istotnej wątpliwości, czy jakiekolwiek restrykcje ekonomiczne nakładane bezpośrednio lub czy pośrednio na Moskwę są w stanie przeszkodzić Kremlowi w ślimaczym, choć nieustannym posuwaniu się w głąb Ukrainy. Oczywistym rozwiązaniem byłoby jakieś cząstkowe zaangażowanie amerykańskich sił zbrojnych w obronę terytorium Ukrainy, np. przez proklamowanie „strefy zakazu lotów" albo zestrzeliwanie pocisków lecących w kierunku zachodnim nad terytorium tego kraju. Tyle że, jak dobrze wiemy, takie projekty, swego czasu postulowane przez Zełenskiego i niektórych zachodnich wojskowych,

eprasa.pl efd9ec288b

zostały na razie porzucone i dziś nikt już o nich nawet nie wspomina. Co bynajmniej nie znaczy, iż nie powrócą, jeśliby „pasmo twierdz" zostało w końcu przełamane, a Moskale na powrót bezpośrednio zagrozili stolicy Ukrainy.

Sposób drugi to napierać dyplomatycznie na przyspieszenie czasu kremlowskiego. Czyli próbować wymusić na Moskwie zgodę na przerwanie wojny, póki ukraińskie „pasmo twierdz" skutecznie uniemożliwia przeniesienie walk do obwodu dniepropietrowskiego, w sercu kraju, nad środkowym Dnieprem. Ten sposób wymaga jednak umiejętnego wciągania rosyjskiego tyrana w dyplomatyczną grę, tak by obawiając się ostrego amerykańskiego odwetu, na którymś etapie owej gry został zmuszony do ustępstw. A praktycznie rzecz biorąc do jednego ustępstwa: zatrzymania powolnego, ale konsekwentnego parcia jego armii w głąb Ukrainy.

Ostatnio przeczytałem analizę poważnego i bardzo pewnego siebie komentatora, który z jednej strony boleje, a z drugiej narzeka na Amerykę, jak naiwnie kupuje ona ponoć stary i sprytny rosyjski trick polegający na tym, iżby najpierw napaść na jakiś kraj, a potem zatrzymanie inwazji przedstawić jakie swoje ustępstwo. Prawdę mówiąc, trudno o bardziej charakterystyczny przykład myślowego „odlotu" od rzeczywistej polityki. Miałbym ochotę zapytać owego analityka, jakiegoż to innego ustępstwa oczekuje od Moskwy cały świat z Ukrainą i Ameryką na czele. Czy aby nie chodzi tylko o to, aby powstrzymała swoją armię?

Ów drugi sposób – nazwijmy go sposobem Trumpa – jest jednak wyjątkowo niewdzięczny politycznie. Najpierw dlatego, że wymaga ustawicznego przeplatania przysłowiowego kija i marchewki wobec kremlowskiego tyrana, co rodzi estetyczno-moralny opór wśród wielu ludzi. Jak można – perorują owi oburzeni – nie tylko podawać rękę zbrodniarzowi wojennemu, lecz także prawić mu jeszcze jakieś uprzejmości, konferować z nim, rozścielać przed nim czerwony dywan, a potem jeszcze słuchać jego kłamstw?! Rozumiem to pryncypialne oburzenie. Ale ilekroć się z nim spotykam, korci mnie, aby zapytać oburzonych o to, z kim chcieliby zatem zawrzeć rozejm zatrzymujący dalszą wojnę na Ukrainie.

Słyszę też zewsząd w Polsce i w Europie, iż Trump poniósł klęskę w Anchorage, a Putin go ograł niczym naiwne dziecko, gdyż władca Kremla został wpuszczony do Ameryki i stąpał po czerwonym dywanie, a rozejmu na Ukrainie jak nie było, tak nie ma. Putin osiągnął zatem wszystko, co chciał, a Trump został na lodzie. Zastanawiam się, skąd u rozsądnych ludzi biorą się tak niedorzeczne opinie na temat polityki. I w tym przypadku mam podejrzenie, że są tego dwa źródła.

Jednym jest antyamerykanizm, od zawsze rozpowszechniony w Europie, a ostatnio modny również w Polsce, np. w kręgach nacjonalistycznych. Drugim – dobrze znana ideologiczna wrogość liberałów i lewicy wobec Trumpa oraz ruchu MAGA. W mojej ocenie tylko tego rodzaju uprzedzenia mogą skłaniać do tak pozbawionych podstaw ocen amerykańskiej polityki na Ukrainie.

Jeśli bowiem spojrzeć na całą rzecz z pewnym chłodem obiektywizmu, to przecież natychmiast się rozumie, iż początek procesu mediacji, której celem ma być zatrzymanie wojny, jest nieuchronnie obarczony owym estetyczno-moralnym kłopotem, wynikającym z uznania tyrana za partnera do negocjacji. I na dodatek jeszcze politycznym ryzykiem, iż na krótką metę mediacja się nie uda, więc trzeba będzie ją albo porzucić, albo zaostrzyć środki nacisku. Także środki natury militarnej.

NATURA MEDIACJI

Donald Trump podjął to ryzyko i jak na razie nie znalazł sposobu na zatrzymanie wojny. Będzie politycznie przegrany, jeśli nie uda mu się tego osiągnąć w ciągu swej prezydentury. Ale podjęcie takiego ryzyka przez przywódcę globalnego mocarstwa budzi – przynajmniej we mnie – coś w rodzaju politycznego respektu, gdyż zdaje mi się, iż współcześni demokratyczni liderzy zbyt często bywają oportunistami niezdolnymi do podjęcia jakiegokolwiek ryzyka. Szczęście, że Trump jest osobowością, która nie przeżywa rozterek w rozmowach, targach albo w sojuszach z tyranami nierespektującymi liberalnego konceptu politycznej wolności. Prawdopodobnie nawet zbyt beztrosko podejmuje wobec nich różne misje dobrej woli, z których czasem niewiele wychodzi, bo wyjść nie może. Przypomina mi się tu szybko zapomniany spektakl (jaki otrzymaliśmy za pierwszej kadencji Trumpa) umizgów do Kim Dzong Una, z których nie wynikł żaden pożytek, gdy idzie o mniej awanturniczą politykę północnokoreańskiego komunistycznego reżimu.

Niepewność rezultatów jest wpisana w naturę mediacji na rzecz pokoju. A uznanie agresora i ofiary agresji za równoprawnych partnerów w dochodzeniu do rozejmu czy traktatu pokojowego stanowi warunek *sine qua non* samej możliwości mediacji. Jeśli amerykańska dyplomacja chce osiągnąć sukces na Ukrainie, musi okazywać jednakowy respekt zarówno Załenskiemu, jak i Putinowi, a także być gotowa wywierać polityczną presję na Moskwę i na Kijów. To my, obserwatorzy i analitycy tego procesu, mamy obowiązek przypominać opinii publicznej, kto tu jest agresorem, a kto ofiarą.

Dla perspektywy pokoju istotny jest tylko aktualny układ sił, który pozostaje względnie korzystny dla państwa ukraińskiego. Rozsądna prognoza przyszłości każe się spodziewać, iż ów rachunek sił z czasem będzie się przechylać na korzyść Moskwy. Jak szybko – tego nikt nie wie. Podobnie jak tego, w jaki sposób zapisze się w historii szczyt w Anchorage. Z pewnością nadużyciem myślowym są modne teraz porównania Anchorage do Jałty w 1945 r. albo Monachium w 1938 r. W Jałcie alianci zachodni nie mieli już wiele do zrobienia, nie byli bowiem w stanie wyrzucić armii sowieckiej z Europy Środkowej, więc mogli tylko ocalić twarz, czego nie zrobili. Z kolei w Monachium nikt nawet nie zapytał Czechów, czy chcą faktycznej likwidacji własnego państwa. Anchorage nie jest ani jednym, ani drugim. Dziś nie możemy jednak wiedzieć, czy okaże się przełomową konferencją prowadzącą do ocalenia Ukrainy i pokoju, czy być może tylko pomijalnym w historii spotkaniem bez istotniejszych konsekwencji dla świata.

eprasa.pl efd9ec288b

Fot. The White House/x.com

Kwadratura koła, czyli gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy

Problem polega na tym, że łatwiej jest mówić o gwarancjach pokojowych dla Ukrainy, niż je wdrażać, a Rosja rozumie pod tym terminem coś zupełnie innego niż zachodni sojusznicy Kijowa

MAREK BUDZISZ

Po rozmowach na Alasce i spotkaniu w Białym Domu powraca kwestia gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Są one tym istotniejsze, jeśli myśleć – na co nalega Trump – o zawarciu traktatu pokojowego. Powód jest oczywisty. Zawieszenie broni, o którym publicznie mówi Zełenski i popierający go liderzy państw europejskich, nie oznacza ani faktycznego, ani prawnego uznania rosyjskich aneksji terytorialnych. Działania wojenne zostają zamrożone, tak jak w czasie wojny koreańskiej. Nie ma formalnego pokoju, a państwa wspierające każdą ze stron dokładają starań, aby wojna nie wybuchła na nowo. To z tego powodu w Korei Południowej nadal stacjonuje znaczący kontyngent wojskowy armii Stanów Zjednoczonych, a Ameryka objęła swoim parasolem nuklearnym również ten kraj.

Zawieszenie broni zdejmuje też z ramion polityków ciężar przekonywania wyborców, iż muszą oni zaakceptować utratę własnego terytorium. W przypadku Ukrainy, którą w razie zakończenia wojny czekają wybory prezydenckie i parlamentarne, ta kwestia jest szczególnie istotna, tym bardziej że w świetle ostatnich badań opinii publicznej niemal 80 proc. ankietowanych jest przeciwna „wymianie terytoriów", jak

eprasa.pl efd9ec288b

utratę Donbasu eufemistycznie określa Donald Trump.

Traktat pokojowy, który jest dokumentem o zupełnie innym ciężarze gatunkowym, sygnowanym przez strony uczestniczące w wojnie, musi rozstrzygać – odmiennie niż porozumienie o zawieszeniu broni – również kwestie nowego przebiegu granicy. To dlatego jeśli Zełenski ma przekonać Ukraińców, musi im zaproponować wizję stabilnego pokoju, a nie jedynie krótkotrwałego porozumienia, które Rosjanie wykorzystają po to, aby za jakiś czas uderzyć znowu. Stąd koncepcja „gwarancji pokojowych" mających służyć zarówno przekonaniu Ukraińców, że co prawda Ukraina traci 20 proc. terytorium, ale utrzymuje suwerenność i wygrywa przyszłość, otrzymując w zamian stabilny pokój i perspektywy rozwoju. Problem wszakże polega na tym, że łatwiej jest mówić o gwarancjach, niż je wdrażać, a Rosja rozumie pod tym terminem coś zupełnie innego niż zachodni sojusznicy Kijowa.

INTENCJE ROSJI

Siergiej Ławrow, rosyjski minister spraw zagranicznych, już po spotkaniu w Białym Domu zażądał, aby również Rosja i Chiny były gwarantami ukraińskiego bezpieczeństwa w przyszłości. Jego zdaniem propozycje z 2022 r. przewidujące jednomyślną decyzję państw gwarantów – z udziałem Rosji i Chin – o udzieleniu pomocy wojskowej dla Ukrainy są najlepszym rozwiązaniem. Gdyby ktokolwiek chciał przyjąć tę konstrukcję, zgoda na pomoc wojskową dla Kijowa w razie ponownego ataku ze strony Rosji byłaby uzależniona od akceptacji Moskwy.

Komentator brytyjskiego „The Telegraph" określił te sugestie mianem „wrzucenia granatu" do pokoju, w którym są prowadzone negocjacje. Koncepcję, aby o bezpieczeństwie Ukrainy rozmawiać bez udziału Rosji, Ławrow określił mianem „utopii" i „drogi donikąd". „To nie będzie działało" – zaznaczył.

W tym przypadku mamy do czynienia nie tylko z taktyką negocjacyjną – słowa rosyjskiego ministra spraw zagranicznych odsłaniają też rzeczywiste intencje Rosji. Kreml chce nie tylko podyktować twarde warunki, aby nie było wątpliwości, kto wygrywa wojnę, lecz także nie jest zdeterminowany, nie dąży do krótkich negocjacji, może rozmawiać miesiącami i torpedować rozmowy.

Tak się dzieje również z tego powodu, że cele Rosji nie są związane wyłącznie z zakończeniem wojny na Ukrainie, ale dotyczą też tego, w jaki sposób zostanie przeorganizowany system bezpieczeństwa europejskiego, w tym przede wszystkim Europy Środkowej. Putin otwarcie mówił o tym na konferencji prasowej kończącej rozmowy w Anchorage. W opinii większości komentatorów jego uwagi są bezpośrednim odwołaniem do tzw. propozycji pokojowych, a w istocie ultimatum pod adresem państw NATO i Stanów Zjednoczonych, które Rosja sformułowała w grudniu 2021 r.

Przed wybuchem wojny – ale już po tym, jak amerykański wywiad i prezydent Joe Biden publicznie ostrzegali, że konflikt jest nieuchronny – Putin zażądał wycofania wojsk NATO i likwidacji instalacji militarnych z państw Europy Środkowej, które przystąpiły do Sojuszu po 1997 r. Drugim, równie istotnym postulatem Kremla było wycofanie z Europy amerykańskiej broni jądrowej. Nasz kontynent miałby zostać znacznie osłabiony i pozbawiony amerykańskiego parasola nuklearnego, a „gwarantem bezpieczeństwa" w nowych realiach miała się stać Moskwa.

Teraz Ławrow w innej formule wraca do starego stanowiska, a kwestie nuklearne też były tematem rozmów na Alasce. Wypowiedź rosyjskiego ministra, zwłaszcza odwołanie się do propozycji porozumienia z 2022 r., wskazuje również na to, że Rosja nie zrezygnowała ze swych ówczesnych żądań, w świetle których ceną za pokój miałaby być neutralizacja Ukrainy i ograniczenie wielkości jej sił wojskowych. Na to z pewnością nie zgodzi się Kijów. „Mamy swoje czerwone linie" – powiedział dziennikarzom „The Financial Times" Jehor Czerniew, poseł partii Zełenskiego i wiceprzewodniczący parlamentarnej komisji obrony i wywiadu. „Są to brak ograniczeń naszej suwerenności, brak uznania jakiegokolwiek terytorium Ukrainy za część Rosji i odmowa oddania terytorium, które nie jest obecnie okupowane przez Rosję".

KONTYNGENT STABILIZACYJNY

Stanowisko Ławrowa skłoniło niektórych komentatorów do sformułowania tezy, że Steve Witkoff, który nie jest zawodowym dyplomatą, „nie zrozumiał" deklaracji Putina w czasie spotkanie na Kremlu poprzedzającego rozmowy na Alasce i jego stwierdzenia, iż Rosja jest gotowa zaakceptować gwarancje bezpieczeństwa Zachodu dla Ukrainy, to w gruncie rzeczy nieporozumienie i świadectwo braku profesjonalizmu.

Tak może być, ale Zachód, rozmawiając o gwarancjach dla Kijowa, ma jeszcze jeden problem – jest wielu dyskutujących, ale znacznie mniejsza liczba państw jest gotowa się zaangażować, nie mówiąc już o wysłaniu żołnierzy na Ukrainę.

Giorgia Meloni w wywiadzie dla „Corriere della Sera" odrzuciła pomysł udziału Włoch w wojskowym kontyngencie stabilizacyjnym w ramach misji pokojowej. „W Rosji jest 1,3 mln żołnierzy. Ilu powinniśmy wysłać, aby byli w stanie wykonać zadanie?" – pytała retorycznie. I postawiła dodatkową kwestię: jak powinni zareagować żołnierze państw NATO na Ukrainie, jeśli w czasie ich misji zaczęliby ginąć ukraińscy żołnierze? „Czy zamknęlibyśmy oczy, czy powinniśmy zareagować?".

Hiszpania w ogóle nie uczestniczy w ostatnich grach dyplomatycznych związanych z pokojem na Ukrainie, jej władze nie deklarują też gotowości wysłania kontyngentu wojskowego.

Niemcy, kreujący się na głównego europejskiego sojusznika Kijowa, są również bardzo w tej kwestii ostrożni. „Wszystko trzeba dokładnie omówić. I te rozmowy właśnie trwają" – powiedział szef niemieckiego MSZ Johann Wadephul pytany przez „Deutsche Welle", czy Berlin przyłączy się do tych państw, które deklarują gotowość wejścia w skład kontyngentu pokojowego. Niemcy, które mają wielkie problemy z ukompletowaniem stacjonującej na Litwie brygady – do tej pory udało się obsadzić jedną siódmą jej stanu – unikają szczegółów, jak miałaby wyglądać ich pomoc dla Kijowa.

eprasa.pl efd9ec288b

Główny wkład mieliby zatem wnieść Francuzi i Brytyjczycy, ale i tu trzeba się liczyć z dramatycznymi problemami. Z pierwotnych planów – wiosną tego roku w Paryżu i w Londynie mówiło się o wysłaniu na Ukrainę 50 tys. żołnierzy, co ze względu na rotację oznaczało konieczność wystawienia 250 tys. kontyngentu wojskowego – niewiele zostało. Powód jest prosty – te europejskie państwa, które są gotowe uczestniczyć w misji stabilizacyjnej, nie mają zdolności wojskowych. Dziś mówi się o patrolowaniu przestrzeni powietrznej i Morza Czarnego oraz niewielkiej misji szkoleniowej oraz wojsk inżynieryjnych uczestniczących w odbudowie ukraińskiej infrastruktury.

Ostatnie deklaracje Donalda Trumpa, który powiedział, iż Ameryka może się stać jednym z gwarantów ukraińskiego pokoju, zwiększają szanse zbudowania kontyngentu stabilizacyjnego. Co prawda amerykański prezydent powiedział również: „No boots on the ground", co oznacza, że nie wyśle żołnierzy na Ukrainę, ale nie wykluczył wsparcia w zakresie łączności, zwiadu elektronicznego czy logistyki lotniczej. To dużo, bo Europejczycy, nie mając takich możliwości, zastanawiali się, czy w ogóle są w stanie z wojskowego punktu widzenia zbudować siły mogące odegrać w realiach powojennej Ukrainy jakąkolwiek rolę prócz symbolicznej.

Nie będzie to wielkie zaangażowanie, ale europejska misja na Ukrainie będzie odgrywała rolę głównie polityczną. Amerykanie mówią o tego rodzaju kontyngencie „tripwire forces". Chodzi o to, że wysłanie żołnierzy, którzy mogą zostać zaatakowani, jest uznawane za lepszą gwarancję zaangażowania w przyszły konflikt niż zapisy – nawet najdalej idące – traktatów i umów międzynarodowych. W Stanach Zjednoczonych uważa się, że jeśli „nasi chłopcy" znajdą się pod ogniem przeciwnika i padną ofiary, to Ameryka będzie musiała odpowiedzieć zbrojnie. Dlatego kontyngent wojskowy w Berlinie Zachodnim, który Amerykanie utrzymywali przez całą zimną wojnę, nie miał za zadanie powstrzymać sowieckiej nawały, ale „pięknie ginąc", gwarantować wojskową odpowiedź Waszyngtonu, co miało uspokoić zachodnich Niemców. Teraz Amerykanie nie chcą w ten sposób gwarantować pokoju na Ukrainie, pozostawiając tę rolę Europejczykom. Tyle że w przypadku państw naszego kontynentu mamy do czynienia z inną tradycją. Niemcy, których kontyngent został zaatakowany w Afganistanie i poniósł znaczne straty, podjęli decyzję o wycofaniu się, a Holendrzy w bośniackiej Srebrenicy nie rozpoczęli walki mimo masowych mordów dokonywanych przez Serbów na muzułmanach.

> Nawet jeśli w Warszawie podejmiemy decyzję o niewysłaniu żołnierzy na Ukrainę, to i tak w świetle prawa międzynarodowego wejdziemy do wojny z Rosją, udostępniając sojusznikom nasze terytorium

Zrozumiałe, że w tej sytuacji w Kijowie nie mają pewności, czy nawet wysłanie przez Europejczyków wojska na Ukrainę będzie instrumentem odstraszania Rosji.

GWARANCJE JAK W ART. 5

W kwestii gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy mamy do czynienia z jeszcze jednym problemem. Jeśli zostanie przyjęta formuła zaproponowana przez Giorgię Meloni, czyli „gwarancje w stylu art. 5 bez formalnego członkostwa w NATO", to zakłada ona, iż rządy każdego państwa gwaranta w sytuacji ponownej rosyjskiej agresji będą decydowały, w jaki sposób i czy w ogóle wojskowo przyjdą Ukrainie z pomocą. Wsparcie sprzętowe, finansowe czy dyplomatyczne też wchodzi w grę, a zaangażowanie wojskowe ani nie jest automatyczne, ani nie musi mieć miejsca. Tym bardziej że będzie oznaczać wejście państwa wysyłającego swych żołnierzy bezpośrednio do wojny z Rosją. W praktyce oznacza to, iż rządy państw gwarancyjnych będą ważyć racje i oceniać ryzyko, ale nie w momencie złożenia deklaracji, tylko wtedy, kiedy zobowiązania trzeba będzie zrealizować.

W tym obrazie jest jeden wyjątek – Polska. Żadna misja pokojowa, stabilizacyjna czy choćby tylko wsparcie sprzętowe nie dotrze na Ukrainę, jeśli nasz kraj nie udostępni swej infrastruktury i terytorium. Teoretycznie możliwe są transporty przez Słowację i Rumunię, ale w tym ostatnim przypadku granica jest zbyt blisko linii ewentualnych walk, a w obydwu sieć komunikacyjna uniemożliwia transporty na większą skalę. Misje patrolowe – jeśli mówimy o ochronie ukraińskiej przestrzeni powietrznej – też będą musiały startować z polskich lotnisk albo przynajmniej wykorzystywać nasze zaplecze logistyczne.

Co będzie to oznaczało w praktyce? Sprawa jest oczywista – wywiązanie się państw Zachodu z gwarancji pokojowych dla Ukrainy okaże się niemożliwe albo bardzo trudne, jeśli władze Polski nie udostępnią naszego terytorium. Nawet jeśli w Warszawie podejmiemy decyzję o nieangażowaniu się wojskowym i nie wyślemy żołnierzy na Ukrainę, to i tak w świetle prawa międzynarodowego wejdziemy do wojny z Rosją, udostępniając sojusznikom nasze terytorium. Znajdziemy się w analogicznej sytuacji, co dziś Białoruś, stając się automatycznie uczestnikiem konfliktu, nawet jeśli nie wysyła się własnych żołnierzy na front.

Jeśli zatem analizujemy ryzyko związane z udzieleniem gwarancji Ukrainie, to w wypadku Polski wygląda ono zupełnie inaczej, niż jeśli chodzi o państwa Europy Zachodniej. Te ostatnie będą miały swobodę decyzji, której *de facto* zostanie pozbawiona Warszawa. Już choćby z tego powodu trzeba rozmawiać z naszymi sojusznikami o dodatkowych gwarancjach bezpieczeństwa, ale nie dla Ukrainy, tylko dla Polski i państw naszego regionu.

eprasa.pl efd9ec288b

Mniej Roberta, więcej Piotra

Minęło 100 dni pontyfikatu Leona XIV. W tym czasie w Watykanie nie zapadła żadna kluczowa decyzja. Wszyscy zadają sobie pytanie, w którą stronę podąży papież

GRZEGORZ GÓRNY

Co 100 dni po zakończeniu konklawe można powiedzieć o Leonie XIV? Ubiera się jak papież. Zachowuje się jak papież. Nie stara się skupiać na sobie uwagi. Nie żywi się rozgłosem, nie szuka poklasku, lecz raczej głębi. Nie udziela wywiadów na prawo i lewo, ale dba o to, by postać papieża nie przesłoniła urzędu papieskiego. Nie narzuca się ze swoim zdaniem na każdy temat. Nie opowiada, co mu ślina przyniesie na język, ale starannie waży każde słowo. Po żadnej z jego wypowiedzi nie było skandali medialnych ani oświadczeń Biura Prasowego Stolicy Apostolskiej wyjaśniających, co tak naprawdę papież miał na myśli. Nikogo nie obraża ani nie poniża. Mówi więcej o wierze niż o polityce, klimacie czy imigrantach.

W homilii inauguracyjnej Leon XIV powiedział, że rozumie swą posługę na tronie Piotrowym następująco: „Zniknąć, aby pozostał Chrystus, stać się małym, aby on był poznany i uwielbiony, poświęcić się do końca, aby nikomu nie zabrakło możliwości poznania go i kochania". Z perspektywy 100 dni pontyfikatu możemy stwierdzić, że słowa dotrzymał: w centrum pontyfikatu znalazła się postać Chrystusa, a nie papieża.

Analizując wystąpienia Leona XIV, komentatorzy często zauważają, że główną cechą jego wypowiedzi jest chrystocentryzm. Robert Prevost w centrum swego nauczania nieustannie stawia Jezusa, ale nie jako mędrca, proroka czy wielkiego nauczyciela ludzkości, lecz jako samego Boga.

Inne elementy jego przepowiadania, na które zwracają uwagę watykaniści, to: duchowość (ważniejsza od aktywizmu społecznego, opcji na rzecz ubogich czy zaangażowania na rzecz klimatu i środowiska), wertykalność (stawiająca osobistą relację z Bogiem ponad horyzontalnym wymiarem katolicyzmu), normalizacja (pielęgnowanie tradycji, norm i obyczajów kościelnych, a nie ich odrzucanie i niszczenie)

eprasa.pl efd9ec288b

oraz pojednanie (czyli koncyliacyjność i budowanie porozumienia zamiast zarządzenia przez konflikt, tworzenia podziałów i polaryzowania własnej wspólnoty).

LEON XIV TO NIE FRANCISZEK II

Opisując pontyfikat Leona XIV, oczywiście nie sposób uciec od porównań z Franciszkiem. Jak zauważył rosyjski teolog prawosławny, diakon Andriej Kurajew z patriarchatu Konstantynopola: „W przeciwieństwie do swojego bezpośredniego poprzednika Leon XIV podporządkował swoją indywidualność służbie papieskiej. Nie jest niszczycielem ani siewcą chaosu, jak Franciszek mówił o sobie, ale podąża zadeklarowaną drogą powrotu do pokoju, jedności i harmonii. Pozwala sobie na okazywanie indywidualności w służbie w pewnych granicach".

Co znamienne, sam Leon XIV często wspomina swego poprzednika w ciepłych słowach. Było jednak wiele jego publicznych wypowiedzi, które można potraktować jako polemikę z poglądami Franciszka, choć bez wymieniania jego imienia.

Swą pierwszą homilię podczas mszy sprawowanej dla kardynałów Leon XIV zaczął od stwierdzenia, że Jezus jest „Mesjaszem, Synem Boga żywego, czyli jedynym Zbawicielem i objawiającym oblicze Ojca". Trudno nie odebrać tych słów w kontekście głośnej wypowiedzi Franciszka, który w trakcie spotkania z młodzieżą w 2024 r. w Singapurze oznajmił, że wszystkie religie są różnymi drogami prowadzącymi do jednego Boga.

Podczas niedawnego Jubileuszu Rodzin Leon XIV powiedział, że „małżeństwo nie jest ideałem, ale kanonem prawdziwej miłości między mężczyzną a kobietą: miłości całkowitej, wiernej, płodnej". To zdanie papieża zostało odczytane jako wyraźne odejście od linii jego poprzednika, określającego małżeństwo jako ideał, do którego należy dążyć. W takiej perspektywie (obecnej choćby w adhortacji Franciszka „Amoris laetitia") pary prowadzące pożycie intymne w związkach niesakramentalnych nie osiągnęły co prawda ideału, ale znajdują się – jak małżeństwa sakramentalne – na tej samej drodze do wspólnego celu. Różnica między nimi nie polega więc na tym, że jedni żyją w grzechu, a drudzy w cnocie, ale na przebywaniu na różnym etapie prowadzącym do doskonałości.

W trakcie spotkania z osobami kierującymi obecnym synodem Leon XIV stwierdził, że „synodalność jest stylem, postawą pomagającą nam być Kościołem, wspierając prawdziwe doświadczenie uczestnictwa i komunii". To także odbiega od wypowiedzi Franciszka, który utrzymywał, że synodalność jest konstytutywną cechą Kościoła. Na tym tle styl jawi się jako coś, co ma przygodny charakter i czego nie można ani narzucać, ani wymagać od wszystkich.

Podczas jednego z niedawnych wystąpień Leon XIV powiedział, że Judasz sam wybrał wykluczenie ze zbawienia. Kontrastuje to z wypowiedziami jego poprzednika, przyznającego, iż nie wie, czy apostoł, który zdradził Chrystusa i popełnił samobójstwo, jest w piekle, ale wie na pewno, że Jezus nazwał go swoim przyjacielem. Koresponduje zaś z relacjami Eugenia Scalfariego, byłego redaktora naczelnego „L'Espresso" i „La Repubblica", który wspominał, iż podczas jednego ze spotkań Franciszek przekonywał go, że piekło jest puste, a więc nie istnieje kara wiecznego potępienia.

ODWRÓCENIE PRIORYTETÓW

Najnowszy przykład wpisujący się w ów ciąg wystąpień to telegram wysłany w imieniu Leona XIV do biskupów Konferencji Kościelnej Amazonii (CEAMA), którzy obradowali w Bogocie 17–20 sierpnia. We wspomnianym piśmie papież odwrócił perspektywę dominującą na synodzie ds. Amazonii w 2019 r. oraz w późniejszej adhortacji Franciszka „Querida Amazonia". Według niego hierarchia priorytetów powinna wyglądać następująco: najpierw „misja Kościoła polegająca na głoszeniu Ewangelii wszystkim ludziom", potem „równe traktowanie ludów tam żyjących", w końcu „troska o nasz wspólny dom".

W narracji panującej podczas poprzedniego pontyfikatu Amazonia jawiła się jako szczęśliwa kraina zamieszkana przez ludy żyjące w harmonii z naturą i niezepsute przez cywilizację zachodnią. W tej optyce Kościół nie powinien narzucać im swej nauki, lecz raczej uczyć się od nich, pokornie prosząc o zgodę na przedstawienie własnych propozycji. Leon XIV odszedł od tej idealizacji indiańskich ludów, przypominającej wizję „dobrego dzikusa" z pism Jeana-Jacquesa Rousseau, i nakazał głoszenie Jezusa Chrystusa z wielką mocą. Podstawowym warunkiem budowania sprawiedliwości społecznej uznał też przyjęcie Ewangelii, pisząc, że „gdziekolwiek głoszone jest imię Chrystusa, niesprawiedliwość proporcjonalnie ustępuje".

Leon XIV poruszył także kwestię ochrony środowiska, przestrzegając zarazem przed pułapką ubóstwienia natury. Stwierdził, że „nie mniej oczywiste jest prawo i obowiązek troski o »dom«, który Bóg Ojciec powierzył nam jako troskliwym zarządcom, aby nikt nie niósł nieodpowiedzialnie dóbr naturalnych, które świadczą o dobroci i pięknie Stwórcy, ani tym bardziej nie poddawał się im jako niewolnik lub czciciel natury, ponieważ rzeczy zostały nam dane, aby osiągnąć nasz cel, jakim jest chwalenie Boga i tym samym uzyskanie

> Analizując wystąpienia Leona XIV, komentatorzy często zauważają, że główną cechą jego wypowiedzi jest chrystocentryzm. Robert Prevost w centrum swego nauczania nieustannie stawia Jezusa, ale nie jako mędrca, proroka czy wielkiego nauczyciela ludzkości, lecz jako samego Boga

Fot. Marco Iacobucci Epp/Shutterstock.com

eprasa.pl efd9ec288b

zbawienia naszych dusz". Komentując powyższe słowa, watykaniści wyrazili przekonanie, że za tego pontyfikatu nie będzie już w Watykanie powrotu do kultu Pachamamy.

Podobnych wypowiedzi Leona XIV można wskazać znacznie więcej. Nigdy nie mają one zabarwienia konfrontacyjnego. Papież ani razu nie zaznacza, że dystansuje się od poglądów swego poprzednika. Po prostu spokojnym tonem przedstawia nauczanie Kościoła. Jego słowa nie są jednak nagłaśniane przez media głównego nurtu, ponieważ nie mają rewolucyjnego, burzycielskiego potencjału, lecz są powtórzeniem prawd katechizmowych.

BRAK KONTROWERSJI, BO BRAK DECYZJI

Przytoczone powyżej przykłady dotyczą głównie wypowiedzi Leona XIV podczas jego wystąpień publicznych. Nie powstał jednak żaden oficjalny dokument papieski, który zawierałby tego typu twierdzenia. Nawet wspomniane pismo do członków CEAMA nie jest żadnym aktem Magisterium, lecz telegramem, na dodatek niepodpisanym osobiście przez papieża, lecz przez sekretarza stanu kard. Pietra Parolina. W porównaniu z dokumentem końcowym synodu ds. Amazonii czy adhortacją Franciszka „Querida Amazonia" autorytet doktrynalny takiego pisma jest znikomy. Mimo to cytowane wyżej wypowiedzi Leona XIV mogą stanowić prognostyk, w jakim kierunku podąży jego pontyfikat, jeśli za słowami pójdą czyny.

Przez pierwsze 100 dni swego panowania papież unikał podejmowania ważnych decyzji, na które wielu oczekuje z niecierpliwością. Za Spiżową Bramą nie doszło do żadnych ważnych nominacji personalnych na kluczowych stanowiskach. Nie został mianowany nawet nowy prefekt Dykasterii ds. Biskupów, którym wcześniej był Robert Prevost. Kilku kardynałów stojących na czele watykańskich instytucji przekroczyło już wiek emerytalny, a ich następcy nie zostali jeszcze wskazani. Na stanowisku pozostaje kontrowersyjny prefekt Dykasterii Nauki Wiary Viktor Manuel Fernández, nazywany „pornokardynałem". Brakuje jednoznacznej decyzji w sprawie *motu proprio* Franciszka „Traditionis custodes", które poważnie ograniczyło możliwość odprawiania mszy trydenckiej. Nie doszło też – jak spodziewali się niektórzy komentatorzy – do odwołania deklaracji „Fiducia supplicans", która otworzyła drogę do błogosławieństwa par jednopłciowych.

W związku z tym część watykanistów przewiduje, że pierwsze poważne decyzje papież podejmie dopiero po wakacjach. Na razie potrzebuje czasu, by rozeznać sytuację i skompletować drużynę. Inna grupa publicystów uważa z kolei, że „Prevost to nie jest co prawda Bergoglio, co jest naturalne, ale nie jest też anty-Bergoglio". Według nich Leon XIV będzie podążał śladami Franciszka, ale go nie naśladował. Będzie zatem kontynuował dzieło swego poprzednika, lecz bez charakterystycznych dla tego ostatniego ekstrawagancji. Swą łagodnością i umiarkowaniem zjedna sobie środowiska konserwatywne, jednak nie odwróci już procesów uruchomionych przez Bergoglia. W tym sensie prowadzona przez niego polityka będzie pewnym rodzajem kościelnego bonapartyzmu: ukróceniem ekscesów rewolucji, ale zakonserwowaniem jej zdobyczy.

> Na razie papież zadowala wszystkich – zarówno postępowców, jak i tradycjonalistów. Nawet wybór przez niego tematu pierwszej planowanej encykliki, czyli zagadnień związanych ze sztuczną inteligencją, spodobał się zarówno liberałom, jak i konserwatystom, ponieważ obie strony widzą w owym zjawisku duże zagrożenie

„WSZYSCY KOCHAJĄ LEONA"

Czas pokaże, kto miał rację, przewidując kierunek rozwoju obecnego pontyfikatu. Na razie papież zadowala wszystkich – zarówno postępowców, jak i tradycjonalistów. Nawet wybór przez niego tematu pierwszej planowanej encykliki, czyli zagadnień związanych ze sztuczną inteligencją, spodobał się zarówno liberałom, jak i konserwatystom, ponieważ obie strony widzą w owym zjawisku duże zagrożenie.

Niemiecki pisarz Michael Hesemann, autor wydanej właśnie biografii Roberta Prevosta, zauważa: „»Wszyscy kochają Leona«, co oczywiście wynika również z faktu, że jako budowniczy mostów pragnie on zjednać sobie wszystkich i dlatego traktuje każdego z szacunkiem. Jego mądre słowa, naturalna, skromna postawa i życzliwość wobec każdego także przyczyniają się do tego, że nie sposób go nie docenić. Hermann Hesse pisał, że w każdym początku kryje się magia, a szczególnie dotyczy to nowego pontyfikatu. Prowadzi to jednak również do niewiarygodnie wielu oczekiwań, którym Leon nie jest w stanie sprostać. Nie będzie miał innego wyboru, jak tylko zawieść jedną lub drugą grupę. Weźmy na przykład drogę synodalną w Niemczech, która zakłada, że papież jest po jej stronie, ponieważ używa terminu »synodalność«, nawet jeśli rozumie go inaczej. Gdyby Leon XIV zastosował się do jej żądań, byłoby to zdradą wiary i tradycji Kościoła, a zatem oczywiście jest całkowicie nie do pomyślenia".

Podobnie widzi sprawę cytowany już Andriej Kurajew, pisząc, że papież „utrzymuje jednocześnie równowagę między tradycyjnymi i progresywnymi skrzydłami w swoich strojach i insygniach, i ogólnie stara się jednoczyć wszystkich i nikogo nie alienować. Jednak pewnego dnia będzie musiał zacząć podejmować decyzje – wtedy jego poglądy i priorytety staną się jaśniejsze, a pierwsze uzasadnione rozczarowania jednego z obozów staną się nieuniknione".

eprasa.pl efd9ec288b

Wojna, która nadchodzi

Wojna w Europie już trwa, pustosząc Ukrainę od ponad trzech lat. Jest to jednak inna forma konfliktu, którą przepowiada profesor King's College London, jednego z najbardziej renomowanych uniwersytetów na świecie. Zdaniem Davida Betza Europie grozi wojna domowa „między dwiema grupami, które dążą do stworzenia niekompatybilnych światów"

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. Shutterstock

W 1993 r. ukazała się książka Hansa Magnusa Enzensbergera „Perspektywy wojny domowej" (*Aussichten auf den Bürgerkrieg*). W tym niewielkim tomie esejów niemiecki poeta, pisarz i krytyk literacki ostrzegał, że po zimnej wojnie nie nastąpią w Europie szczęśliwe dekady, lecz raczej okres zdecentralizowanej, spontanicznej i nihilistycznej przemocy – „molekularna wojna domowa".

Enzensberger przekonywał, że w metropoliach ta wojna już się rozpoczęła, a uniwersalizm „poniósł klęskę". „Zaczęło się od stert śmieci na chodnikach, potem wybijane były szyby, napadani przechodnie, podpalane samochody, rabowane sklepy. Ludzie są okradani, mordowani i gwałceni. Zniszczyli już wszystko: skrzynki pocztowe, drzwi, klatki schodowe" – cytował Enzenzberger jednego z pracowników socjalnych z przedmieść Paryża. Jego zdaniem protagoniści tej przemocy nie są oddani żadnemu światopoglądowi. „Mogą się też obejść bez przywódcy. Nienawiść wystarczy" – pisał.

Książka Enzensbergera wywołała w Niemczech ogromne kontrowersje. Dziś wydaje się niemal profetyczna. Według sondażu Ifop/Agir opublikowanego w marcu br. w dzienniku „Le Figaro" 4 na 10 Francuzów obawia się wybuchu wojny domowej. A 60 proc. respondentów wątpi, czy instytucje państwowe byłyby w stanie zapewnić stabilność polityczną w kraju. Zaś ponad dwie trzecie za ewentualny wybuch wewnętrznej przemocy wini „wielokulturowość".

KONKURENCYJNE PLEMIONA

Dla prof. Davida Betza z renomowanej uczelni King's College London nie są to „żadne mrzonki". Betz jest niemal pewien, że nadchodzi wojna domowa. Nie taka, którą nauczono nas rozpoznawać. Nie będzie uporządkowanych sił umundurowanych żołnierzy, nie będzie Edgehill ani Gettysburga. Tylko coś bardziej chaotycznego, bardziej bolesnego, jak „ropiejący ząb rozpadający się w jamie ustnej".

Betz, który w przeszłości współpracował z brytyjskim Ministerstwem Obrony, a także doradzał brytyjskim dowódcom w Afganistanie, jest autorem licznych publikacji na temat powstań i działań antypowstańczych, wojny informacyjnej oraz komunikacji strategicznej. Od kilku lat prowadzi także badania nad możliwością wojny domowej w państwach Europy Zachodniej. Stał się znany szerszej publiczności mniej więcej dwa lata temu, gdy pierwsza część jego eseju „Wojna domowa nadciąga na Zachód" ukazała się w czasopiśmie „Military Strategy Magazine". Wywiad, którego następnie udzielił dziennikarce Louise Perry, stał się w internecie wiralem. Teraz w tym samym magazynie ukazała się druga część eseju Betza, tym razem nie o przyczynach, a o konsekwencjach ewentualnego wybuchu przemocy. Bo na to, by jej zapobiec, jego zdaniem jest już za późno.

Według niego to, co dziś uchodzi za normalne w wielu krajach zachodnich – Wielkiej Brytanii czy Francji, by wymienić tylko kilka – stworzyło idealne warunki do masowej przemocy, rozpadu władzy państwowej, a nawet upadku społecznego. „Czynniki, które mają tu znaczenie, są zróżnicowane. Niepokojące jest to, że wszystkie występują jednocześnie. Używając banału – to rodzaj idealnej burzy" – pisze Betz. Jego zdaniem najbardziej niestabilne społeczeństwa to te, które są już tylko umiarkowanie jednorodne, zwłaszcza gdy tradycyjna większość dostrzega zagrożenie dla swojego statusu lub gdy rosnąca mniejszość ma środki, by samodzielnie się buntować.

Jak wyjaśnia, zaledwie pokolenie temu zachodnie narody można było opisać jako w dużej mierze zjednoczone poczuciem tożsamości i wspólnym dziedzictwem. „Dziś prezentują się jako rozproszone byty polityczne, układanka konkurujących plemion tożsamościowych, często żyjące w oddzielnych społecznościach" – zaznacza. Na poparcie swojej argumentacji Betz przytacza koncepcję „wojny kulturowej" socjologa Jamesa Davisona Huntera: „Pomiędzy dwiema grupami, które dążą do stworzenia niekompatybilnych światów, nie widzę innego lekarstwa niż siła".

KRYZYS LEGITYMACJI

Jego zdaniem do podziałów społecznych przyczynia się głębokie rozczarowanie elitami politycznymi, niepotrafiącymi zrozumieć skali wyzwań i zaproponować konkretnych rozwiązań. Podsyca to poczucie marginalizacji, a czasem wręcz narastający gniew, który powoli podważa spoiwo spójności narodowej. Jednocześnie Zachód zmaga się ze strukturalną stagnacją gospodarczą: kurczącą się klasą średnią i skupieniem bogactwa w rękach nielicznych.

Ten podwójny kryzys – polityczny i gospodarczy – tworzy niestabilny krajobraz, w którym frustracje i nierówności się przenikają. Zdaniem autora jest to środowisko szczególnie sprzyjające konfliktom wewnętrznym. A w obliczu stagnacji gospodarczej, nadmiernego zadłużenia i inflacji państwo traci również możliwość kupowania pokoju społecznego chlebem i grami.

Podział demograficzny zaostrza polaryzację. Masowe osiedlanie się imigrantów w dużych miastach kontrastuje z obszarami wiejskimi, gdzie etniczna heterogeniczność jest znacznie mniejsza. Według niego przyszłe konflikty wewnętrzne na Zachodzie przebiegałyby zatem wzdłuż linii etnicznych, a ze względu na rozkład demograficzny także między miastami i wsią. „Do tego dochodzi coraz wyraźniejsza polaryzacja polityczna. Duże miasta, bardziej zróżnicowane etnicznie i kulturowo, mają tendencję do utrzymywania niemal antagonistycznych relacji z resztą kraju" – pisze Betz. Według niego kryzys ten przejawia się w szczególności w rosnącej

utracie kontroli władz nad niektórymi obszarami, które określa mianem dzikich miast, czyli „metropolii liczących ponad milion mieszkańców, w których rząd utracił zdolność egzekwowania praworządności, pozostając jednocześnie podmiotem na arenie międzynarodowej". Jak pisze Betz, miasta te charakteryzują się wysokim poziomem korupcji, obszarami pozostającymi poza kontrolą policji, podupadłą infrastrukturą, podupadającym przemysłem, miażdżącym zadłużeniem oraz dwupoziomową policją, wspieraną przez prywatne służby bezpieczeństwa. „Wiele miast zachodnich już pasuje do tego opisu" – ostrzega.

Według Betza rosnącej „hiperróżnorodności" towarzyszy utrata „kapitału społecznego", niezbędnego społeczeństwu do integracji mniejszości, budowania spójności i pielęgnowania poczucia ciągłości kulturowej. To właśnie w tym miejscu obywatele najwyraźniej odczuwają swoją bezsilność i daremność procesu demokratycznego. Wielokulturowa transformacja państwa, ciągła masowa migracja z odmiennych kultur wydaje się czasem imperatywem ekonomicznym, czasem moralnym, a nawet historyczną stałością; a przede wszystkim: nie da się jej odrzucić przy urnach" – czytamy.

CHOROBA, KTÓRA SIĘ ROZPRZESTRZENIA

Betz wyobraża sobie scenariusz, który rozegra się przed wojną domową: utrzymanie porządku stanie się niemożliwe, przemoc między społecznościami będzie się nasilać, a legitymacja polityczna władz upadnie. Lokalna gospodarka zostanie sparaliżowana i szybko się załamie.

Ale na ile prawdopodobne jest, że do tego dojdzie? „Według najlepszych szacunków z dostępnej literatury w kraju, w którym panują takie warunki, prawdopodobieństwo wystąpienia rzeczywistej wojny domowej wynosi 4 proc. rocznie. Przyjmując to założenie, możemy stwierdzić, że prawdopodobieństwo jej wystąpienia wynosi 18,5 proc. w ciągu pięciu lat" – czytamy na łamach „Military Strategy Magazine".

Zdaniem Betza w Europie jest co najmniej 10 krajów, które stoją w obliczu groźby gwałtownego konfliktu domowego. Na pierwszym miejscu: Wielka Brytania i Francja. „Prawdopodobieństwo wystąpienia konfliktu w dowolnym z tych krajów w ciągu pięciu lat wynosi 87 proc." – twierdzi.

Ale na tym nie koniec. Według Betza jeśli konflikt wystąpi w jednym miejscu, ma potencjał do rozprzestrzenienia się w innych miejscach. „Jeśli założymy, arbitralnie, ale wiarygodnie, że prawdopodobieństwo rozprzestrzenienia się choroby wynosi pół na pół, to możemy wywnioskować, że prawdopodobieństwo wystąpienia choroby w jednym z dziesięciu państw zachodnich, a następnie jej rozprzestrzenienia na wszystkie pozostałe, wynosi około 60 proc. w ciągu pięciu lat" – dodaje. Wojna domowa we Francji oznaczałaby więc destabilizację całej Europy. A według niego Francja jest szczególnie podatna na konflikt wewnętrzny, bowiem wystąpiły tam zwiastujące go wydarzenia, jak zamachy i ogarniające cały kraj zamieszki. Gdy w 2018 r. socjalista Gérard Collomb składał dymisję z funkcji ministra spraw wewnętrznych, zauważył: „Dziś żyjemy obok siebie. Obawiam się, że jutro staniemy twarzą w twarz". We Francji trwa obecnie dyskusja nad wewnętrznym raportem MSW dotyczącym infiltracji instytucji przez radykalne Bractwo Muzułmańskie. Walki uliczne są prowadzone z użyciem granatów i karabinów szturmowych. W kwietniu ub.r. w całym kraju miały miejsce skoordynowane ataki na więzienia z użyciem kałasznikowów i materiałów wybuchowych.

> Zdaniem Betza w Europie jest co najmniej 10 krajów, które stoją w obliczu groźby gwałtownego konfliktu domowego. Na pierwszym miejscu – Wielka Brytania i Francja

NIEUCHRONNOŚĆ I IGNORANCJA

W liście otwartym z 2021 r. byli generałowie ostrzegali przed nieuchronnością wojny domowej. Większość Francuzów zgodziła się z tym stwierdzeniem. W Wielkiej Brytanii wciąż trwa śledztwo w sprawie trwających od dziesięcioleci masowych gwałtów i prostytuowania białych dziewcząt dokonywanych głównie przez pakistańskie gangi. Tzw. raport Caseya ujawnił gotowość władz państwowych – od policji i służb socjalnych po partie polityczne i media – do ochrony sprawców i poświęcania bezbronnych dzieci w obawie przed oskarżeniami o rasizm.

Ale nie tylko to ma wybuchowy potencjał. Zdaniem Betza powrót radykalnego ruchu antysemickiego, który ideologicznie jednoczy lewicę, prawicę i islamistów, także jest pewnym wskaźnikiem „nadchodzącego powstania". Niestety, jak konstatuje, liberalnym elitom politycznym i medialnym łatwiej wierzyć w klimatyczną apokalipsę niż koniec liberalizmu. W tym przypadku gwałtowny. „Sugerowanie, że wojna domowa jest nieuchronna i narasta, i to właśnie w częściach świata, które do tej pory uważano za najbogatsze i najmniej niespokojne, jest sprzeczne z oczekiwaniami – ale właśnie w takiej sytuacji się znajdujemy" – podkreśla Betz.

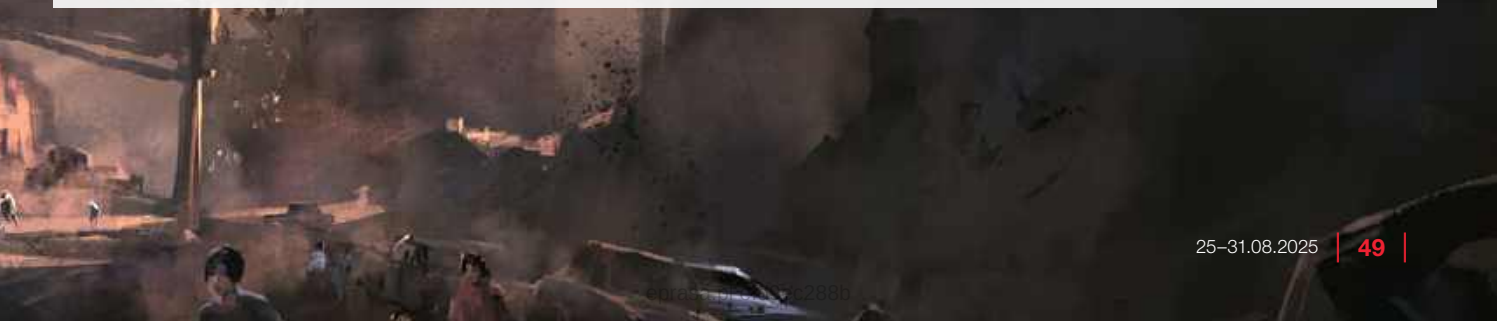

Od Bolesława Chrobrego do Kazimierza Odnowiciela.

Wzloty i upadki pierwszych Piastów

Polski władca mógł się poszczycić najważniejszymi osiągnięciami swojej epoki już w 1000 r. Dzięki Ottonowi III zdobył suwerenność polskiej dynastii i polskiego Kościoła. Zwolnienie Bolesława i jego następców od powinności trybutarnej wobec cesarstwa oznaczało, że Piastowie są uznanymi przez cesarza, a zatem także innych panujących, samodzielnymi władcami na terytorium swojego państwa

eprasa.pl efd9ec288b

Bolesław Chrobry

Fot. Polona.pl

Z Jakubem Magrianem, adiunktem Działu Naukowego Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie, rozmawia Piotr Słabek

Jakie państwo otrzymał Bolesław po Mieszku I?

Jakub Magrian: W porównaniu z pierwotnym, plemiennym państwem zwanym w tradycji państwem Polan, obejmującym Wielkopolskę i południową część Kujaw, nieporównanie bardziej rozległe i o granicach zbliżonych kształtem do obecnej Polski. Ziemie polskie stanowiły wówczas wiele samodzielnych księstw plemiennych pod rządami lokalnych władców czy rodów panujących. Ich połączenie w jednym ręku, podobnie jak w początkach kształtowania się innych państw, nie mogło się odbyć inną drogą, jak tylko przez zbrojny podbój konkurentów Mieszka i pozbawienie ich władzy. Ówczesne wojny były okrutne. Żeby wywrzeć odpowiednie wrażenie na przeciwniku, wojska niszczyły zdobyte grody, w miejscu których wznoszono potem nowe, oczywiście podległe zwierzchności zwycięskiego księcia.

Ludność zamieszkującą zdobyte osady często przesiedlano w inne rejony państwa, aby złamać jej ewentualny opór, nie dopuścić do buntów, izolując od siebie dawne wspólnoty i w pełni podporządkować je władzy zwycięzców.

Część pokonanych książąt plemiennych mogła uznać rządy Mieszka na swoim dawnym terytorium, w zamian otrzymując godność namiestników zarządzających zdobytymi terytoriami. W rezultacie powstał twór państwowy, jaki nigdy wcześniej nie istniał na obszarach położonych między Odrą a Bugiem, o dość silnych strukturach sprawowania władzy regulowanych przez obowiązujący w nim system prawa książęcego.

Wprowadzając w Polsce chrześcijaństwo w miejsce licznych pogańskich, często lokalnych kultów, Mieszko ustanowił w swoim kraju religię uniwersalną. Ale jego państwo, mimo uznania go po rozpoczęciu chrystianizacji za jeden z krajów cywilizowanych, należących do świata łacińskiego, pozostawało w zależności trybutarnej od cesarstwa, nie było więc suwerenne na równi z innymi krajami „starej" rzymskiej Europy.

W chwili śmierci swojego założyciela w 992 r. tworzyło ono liczący kilkadziesiąt lat organizm polityczny o dość płynnych granicach, skupiający kilka regionów będących wcześniej samodzielnymi państewkami. Zapewne nadal żyła w nich, zwłaszcza wśród starszych pokoleń, pamięć o niegdysiejszej samodzielności. Widoczne musiały też pozostawać różnice kulturowe.

Z kim Bolesław wchodził w sojusze? Kto był hegemonem na tym obszarze Europy?

Sojusze tamtej epoki były niezwykle zmienne, ich trwałość dyktowały aktualne interesy władców poszczególnych państw. Rzekomo odwieczny konflikt polsko-niemiecki, którego mit do dziś pokutuje w potocznej świadomości, nie dotyczy czasów pierwszych Piastów. Decyzja o przyjęciu chrztu przez Mieszka I nie była podyktowana przede wszystkim – o ile w ogóle – obawą przed podbojem jego ziem przez margrabiów. Ich głównym celem było wtedy Połabie. Pierwszy historyczny władca Polski obawiał się raczej jednego z tamtejszych silnych plemion – Wieletów, z którymi szykowała się wojna w 964 r. Stąd porozumienie z Księciem Czech Bolesławem Srogim – władcą chrześcijańskim, a jednocześnie sojusznikiem Związku Wieleckiego – które miało na celu rozbić ten sojusz i w razie wojny z Wieletami ustrzec kraj przed najazdem wojsk czeskich. Dopiero w dalszej perspektywie chrystianizacja kraju – warunek układu – miała go zabezpieczać przed zakusami niemieckich feudałów argumentujących swoje podboje hasłem nawracania pogan.

Bolesław Chrobry sprzymierzył się z margrabią miśnieńskim Guncelinem, pozostającym w opozycji wobec Henryka II, któremu pomógł uzyskać

eprasa.pl efd9ec288b

marchię po zmarłym bracie Ekkehardzie I. Sojusz był bardzo istotnym wsparciem w tej fazie wieloletnich konfliktów z cesarzem. Został zresztą ugruntowany małżeństwami: Chrobrego z Odą, córką Ekkeharda, i jej brata Hermana z córką Bolesława Regelindą. Należy także pamiętać o wspieranych przez Bolesława innych władcach, którzy zawdzięczali objęcie tronów w swoich ojczyznach (obaj krótkotrwałe) jego interwencjom militarnym: księciu Czech Bolesławie Rudym i księciu kijowskim Świętopełku, zięciu Piasta. Dzięki nim Chrobry usiłował ugruntować swoje wpływy w sąsiednich krajach, jednak w obu przypadkach bezskutecznie.

We wczesnym średniowieczu rolę hegemona odgrywało oczywiście cesarstwo jako najsilniejszy organizm państwowy tamtej epoki, zwłaszcza po zhołdowaniu Czech, a przede wszystkim dzięki prestiżowi, jaki dawał ich władcy wskrzeszony w 800 r. tytuł cesarza rzymskiego, jednego z dwóch oprócz papieża przywódców chrześcijańskich rywalizujących ze sobą o prymat w zachodnim chrześcijaństwie i raczej rzadko zgodnie współdziałających ze sobą w tej dziedzinie. Cesarz podobnie jak papież mógł udzielić zgody na koronację królewską. Za cenę trybutu mógł uznać rządy sąsiedniego władcy, którego władza gwarantowała kontrolę nad podległym mu terytorium.

Dlatego po zajęciu przez Bolesława Miśni, Milska i Łużyc, w trakcie walk o władzę w Rzeszy po śmierci Ottona III w 1002 r., Henryk II zgodził się na objęcie przez polskiego księcia dwóch ostatnich terytoriów, ale na zasadzie lenna. Miśnię natomiast przekazał jego sojusznikowi Guncelinowi, co było gestem przyjaznym wobec księcia, ale jednocześnie nie pozwalało mu zbytnio wzmocnić swego stanu posiadania. Samego Guncelina miało to zapewne życzliwie usposobić do cesarza.

Na ile trwały był organizm państwowy stworzony przez Bolesława? Co udało się osiągnąć, a czego nie?

Do zalet państwa Bolesława można z pewnością zaliczyć jego ugruntowaną pozycję w ówczesnej Europie. Polski władca mógł się poszczycić najważniejszymi osiągnięciami swojej epoki już w 1000 r. Dzięki Ottonowi III zdobył suwerenność polskiej dynastii i polskiego Kościoła. Zwolnienie Bolesława i jego następców od powinności trybutarnej wobec cesarstwa oznaczało, że Piastowie są uznanymi przez cesarza, a zatem także innych panujących, samodzielnymi władcami na terytorium swojego państwa. Z kolei utworzenie polskiej prowincji Kościoła rzymskokatolickiego – dzięki utworzeniu przez Sylwestra II w porozumieniu z Ottonem III archidiecezji gnieźnieńskiej i trzech podległych jej diecezji – oznaczało niezależność polskiego episkopatu podlegającego tylko Stolicy Apostolskiej z własnym metropolitą posiadającym pełnię uprawnień nadanych przez głowę Kościoła. Jak się później okazało, ta decyzja odsuwała wszelkie roszczenia innych metropolitów do zwierzchności nie tylko nad byłym misyjnym biskupstwem poznańskim, lecz także arcybiskupstwem gnieźnieńskim i całym polskim Kościołem. Konkretnie – roszczenia arcybiskupów magdeburskich z XII w.

> Domniemany plan Chrobrego, którego domyślają się historycy od czasów Henryka Łowmiańskiego, czyli połączenie pod swoim berłem wszystkich Słowian zachodnich, nie powiódł się. Bolesław nie opanował na stałe tronu czeskiego, nie zdobył też większych terytoriów na Połabiu

Panowanie Bolesława przyczyniło się także do ściślejszego połączenia ziem złączonych w czasach rządów jego ojca. W okresie dość długiego jak na tamte czasy władania Chrobrego terytoria te miały czas, aby połączyć się trwalszymi więzami administracyjnymi, gospodarczymi, a zwłaszcza handlowymi, przy ulepszonym, choć nadal niezwykle trudnym dla podróżnych systemie szlaków komunikacyjnych.

Inne osiągnięcia polityki Bolesława Chrobrego, zwłaszcza w postaci zdobyczy terytorialnych, w większości miały nietrwały charakter. Milsko, Łużyce czy Grody Czerwieńskie, zachowane do końca jego panowania, zostały utracone już przez jego następcę.

Domniemany plan Chrobrego, którego domyślają się historycy od czasów Henryka Łowmiańskiego, czyli połączenie pod swoim berłem wszystkich Słowian zachodnich, nie powiódł się. Bolesław nie opanował na stałe tronu czeskiego, nie zdobył większych terytoriów na Połabiu. Zbrojne konflikty zaogniły natomiast stosunki Polski z nowym królem niemieckim Konradem i księciem czeskim Udalrykiem. Nie inaczej wyglądały relacje z Jarosławem Mądrym mimo zawarcia pokoju i uznania go na tronie kijowskim.

Jakie dziedzictwo polityczne i terytorialne pozostawił po sobie Bolesław?

W dobie rodzącego się na zachodzie feudalizmu przestał się sprawdzać przestarzały już wówczas model państwa patrymonialnego, w którym wszystko zależy od władcy kierującego nim rękami ograniczonej liczby urzędników, z liczną drużyną zbrojnych pozostającą na utrzymaniu skarbu książęcego i dorabiającą zdobywaniem łupów podczas wypraw wojennych, z licznymi obciążeniami poddanych daninami na rzecz rozwijającej się struktury kościelnej i obowiązkami wobec panującego.

Dopóki państwem rządziła silna, przedsiębiorcza jednostka, trwało ono w całości. Gdy zabrakło energicznego króla, a jego syn – mimo wykształcenia i udziału od lat młodzieńczych zarówno w pokojowej, jak i wojennej polityce ojca – nie sprawdził się, system zaczął ulegać destrukcji.

Warto jednak pamiętać, że Mieszko II odziedziczył fatalną sytuację polityczną – zarówno w kraju, jak i za granicą. Skonfliktowany po wieloletnich wojnach Bolesława z cesarstwem, Rusią

eprasa.pl efd9ec288b

Mieszko II

Fot. Polona.pl

Kijowską i Czechami, z dwoma braćmi – malkontentami politycznymi, zwłaszcza pozbawionym dziedzictwa najstarszym Bezprymem, nie mógł za bardzo liczyć na realne wsparcie jakichkolwiek zagranicznych sojuszników w zdławieniu buntu krewnych ani przeciwstawienie mu poważniejszych sił w kraju. Nie przydała się współpraca z opozycją książąt Szwabii przeciw Konradowi w samej Rzeszy. Cesarz stłumił bunt, a spóźniona pomoc zbrojna z Polski ściągnęła tylko najazd niemieckiego władcy na państwo piastowskie. Jedyny sprzymierzeniec, król Węgier Stefan, dzięki umiejętnej dyplomacji w 1031 r. zawarł pokój z cesarzem, otrzymując w zamian Słowację.

Kolejne straty terytorialne budziły niezadowolenie możnych. Bezprym i Otton umiejętnie wybrali moment zaangażowania brata w walki z Konradem II o Łużyce, wszczynając bunt. Najazd Jarosława Mądrego był gwoździem do trumny wczesnego Królestwa Polskiego. Zapoczątkował bowiem wydarzenia, których skutkiem była utrata przez dynastię Piastów tytułu królewskiego na 44 lata.

Państwo, które stworzył Bolesław, było jednak na tyle żywotne, że mimo klęsk i najazdów przetrwało aż do śmierci jego następcy Mieszka II, który zapewne nie był wielkim monarchą, ale do śmierci próbował walczyć o zachowanie, czego się dało ze schedy po ojcu.

Do końca lat 30. XI w. zachowano ciągłość rządów dynastycznych i funkcjonowanie mechanizmów państwowych, jakie powstały za panowania pierwszego króla Polski. Destrukcyjne dla pozycji państwa pierwszych Piastów okazały się natomiast rządy najstarszego syna Bolesława Bezpryma, który doprowadził do wygnania Mieszka II z kraju w 1031 r. Nowy książę za cenę uznania go za prawowitego władcę ziem polskich przez cesarza znacznie obniżył w porównaniu z bratem prestiż swojej godności monarszej, rezygnując z ewentualnej koronacji królewskiej i odsyłając niemieckiemu władcy insygnia koronacyjne. Jak się można domyślić, przyjął warunki narzucone mu przez Konrada II. Przesłanki źródłowe, np. w „Roczniku hildesheimskim", wskazujące na despotyczny charakter władzy najstarszego z synów Chrobrego, mogą sugerować krwawą rozprawę z elitami wiernymi Mieszkowi II. A to one gwarantowały suwerenność państwa.

Rządy Bezpryma nie trwały jednak długo (ok. roku). Zginął w zamachu, który zapewne zorganizowały zniechęcone do księcia okrutnika elity państwowe. Szybki powrót do kraju po uwolnieniu z niewoli przez czeskiego księcia Udalryka, ugoda z cesarzem w Merseburgu jeszcze w tym samym roku, rezygnacja z tytułu królewskiego, wydzielenie dożywotniej dzielnicy Ottonowi i stryjecznemu bratu Dytrykowi – wszystkie te posunięcia pozwoliły Mieszkowi II ponownie uchwycić ster rządów, choć za cenę daleko posuniętego kompromisu. Rok przed śmiercią zdołał jeszcze na powrót zjednoczyć swoje państwo, niestety okrojone o ojcowskie zdobycze i mocno osłabione, z tymczasowymi księstwami zmarłego wówczas młodszego brata oraz prawdopodobnie wypędzonego Dytryka.

Po Mieszku II władzę objął jego syn Kazimierz. Ale zanim historia nazwała go Odnowicielem, został zmuszony do abdykacji i ucieczki. Jak to możliwe, że podniósł Polskę z niebytu?

Kolejna sukcesja polskiego tronu po śmierci Mieszka II w 1034 r. także przebiegła zgodnie z przyjętymi zasadami jego dziedziczenia. Władzę objął syn Mieszka Kazimierz, nie bez powodu nazwany przez potomnych Odnowicielem. Dopiero mający miejsce w tym samym roku w bliżej nieznanych okolicznościach bunt możnych zakończony zmuszeniem księcia do abdykacji i udania się na emigrację na Węgry, a następnie do Niemiec, zachwiał podstawami samej monarchii. Możnowładcy podzielili między siebie poszczególne obszary państwa, przyjmując rolę samozwańczych władców, nazwanych przez drugiego polskiego kronikarza Wincentego Kadłubka „poronionymi książętami".

W chwili zaniku centralnego ośrodka władzy państwowej, w sytuacji

eprasa.pl efd9ec288b

zagrożenia rozpadem kraju doszło do wystąpień ludności poddanej łączących cechy rebelii społecznej i jednocześnie religijnej. Jej przyczyną było budzące coraz większy opór chłopów obciążenie utrzymaniem aparatu władzy, zwłaszcza zbrojnych drużyn, oraz administracji kościelnej.

W 1038 r. na osłabiony i podzielony kraj spadł także dotkliwy w skutkach najazd księcia czeskiego Brzetysława połączony ze złupieniem i zniszczeniem centralnych grodów: Gniezna, Poznania, Lednicy i Giecza oraz zajęciem Małopolski i Śląska.

Gdyby taki ciąg katastrof zdarzył się w początkach panowania Mieszka I, zapewne zakończyłby się upadkiem młodego jeszcze organizmu państwowego. Ale po 33 latach rządów dynastycznych Chrobrego finał tych burzliwych wydarzeń był inny. Bezkrólewie po wygnaniu Kazimierza trwało zbyt krótko, by zatarła się pamięć o czasach monarchii. Rządy „poronionych książąt" nie wyłoniły żadnej ambitnej jednostki zdolnej opanować większy obszar ziem polskich. Może z wyjątkiem Miecława, który jednak po kilku latach prosperity musiał się zderzyć z rzeczywistością, jaką stworzył powrót do kraju Kazimierza. Za piastowskim księciem stała pamięć o czasach świetności Polski pod rządami jego dziadka i dynastii, z której się wywodził oraz jej prawo do sukcesji. Ta pamięć odegrała ważną rolę w wewnętrznych rozgrywkach lat 1034–1039/1040. Nie bez znaczenia była też spora grupa możnych stronników młodego władcy, w tym byli urzędnicy dworscy przygotowani do pełnienia obowiązków w służbie monarchii w ramach aparatu władzy rozbudowanego przez Bolesława, a funkcjonującego jeszcze za panowania Mieszka II.

Elity państwa polskiego nie mogły być na dłuższą metę zadowolone z chaosu panującego na jego ziemiach, odbijającego się na ich kondycji gospodarczej i społecznej, a w szczególności powodującego marginalizację polityczną państwa na arenie międzynarodowej i grożącego jego całkowitym rozpadem. Ci ludzie z pewnością byli gotowi udzielić poparcia energicznemu i zaradnemu następcy tronu zdolnemu przywrócić porządek.

Wsparcie przez cesarza Henryka III dążeń Odnowiciela do restytucji ziem utraconych na rzecz Brzetysława Czeskiego, którego nadmierne wzmocnienie nie leżało w interesie niemieckiego władcy, jak i pomoc udzielona przez Jarosława Mądrego przeciw Miecławowi wskazują, że obu monarchom bardziej odpowiadało sąsiedztwo zorganizowanego i sprawnie działającego państwa piastowskiego niż konglomeratu buntowniczych księstewek między Odrą i Bugiem, równie nieprzewidywalnych i niespokojnych, co nieujarzmione dotąd pogańskie Połabie czy Prusy.

Kazimierz Odnowiciel

Niebagatelną rolę w ułożeniu dyplomatycznych stosunków z cesarzem odegrały koneksje Kazimierza wynikające z jego pochodzenia. Małżeństwo jego ojca Mieszka i matki Rychezy, córki palatyna lotaryńskiego Ezzona, szwagra samego Ottona III, zawarte przy okazji pokoju Chrobrego z Henrykiem II w Merseburgu w 1013 r., a skojarzone zapewne nie bez udziału Bolesława, okazało się przemyślanym posunięciem matrymonialnym, które ułatwiło wnukowi pierwszego króla korzystne ułożenie stosunków dyplomatycznych z Niemcami. Ceną za powrót do dawnej kondycji jego państwa, zarówno w polityce międzynarodowej, jak i w wewnętrznej, była jednak rezygnacja z koronacji królewskiej. Cesarz nie wyrażał na nią zgody, a w kraju budziła ona opór obawiającego się wzmocnienia władzy księcia możnowładztwa, na którym Kazimierz musiał opierać swoje plany. Udało się do niej doprowadzić dopiero jego synowi, a imiennikowi pierwszego polskiego króla – Bolesławowi.

Monarchia pierwszych Piastów, która przeżywała swój „wiek młodzieńczy" za panowania Mieszka I, okrzepła i rozwinęła się, dochodząc do szczytowego rozwoju pod rządami Bolesława Chrobrego. Po ciężkim kryzysie czasów Mieszka II i załamaniu po jego śmierci zdołała się odrodzić oraz w dużym stopniu odzyskać status jednolitego, spójnego i stabilnego państwa w granicach z 1034 r., kierowana przez inteligentnego i energicznego władcę, jakim był Kazimierz I.

Fot. Polona.pl

Autopromocja

eprasa.pl efd9ec288b

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio

eprasa.pl efd9ec288b

Niemieccy dywersanci pod dowództwem por. Hansa-Albrechta Herznera 26 sierpnia 1939 r. zaatakowali stację kolejową Mosty koło Jabłonkowa na polsko-słowackiej granicy

Niemiecki falstart przed 1 września

W nocy z 25 na 26 sierpnia 1939 r. niemieccy dywersanci, przekonani, że wojna już się rozpoczęła, zaatakowali polską stację kolejową w Mostach na Zaolziu. Nie wiedzieli, że Hitler w ostatniej chwili przesunął datę agresji. Atak został odparty, ale padły pierwsze strzały w II wojnie światowej – choć o tydzień za wcześnie

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jak wszyscy wiemy, inwazja Niemiec na Polskę rozpoczęła się 1 września 1939 r., co było początkiem II wojny światowej. Jednak od pewnego czasu niemieccy żołnierze dokonywali ataków, prowokacji i wtargnięć na polskie terytorium. Jednym z takich przypadków było wydarzenie znane dzisiaj jako incydent jabłonkowski. Różnił się on jednak od innych. Dlaczego?

NIEMIECCY DYWERSANCI

Ataki na polskie posterunki graniczne, stacje kolejowe i obiekty przemysłowe w strefie przygranicznej trwały od lata 1939 r. W celu destabilizacji sytuacji w Polsce III Rzesza zorganizowała siatkę dywersyjną liczącą nawet 10–12 tys. osób. Tworzyła ją przede wszystkim mniejszość niemiecka mieszkająca w II RP, a także m.in. Ukraińcy. Dywersanci, najczęściej przerzucani z III Rzeszy, podkładali ładunki wybuchowe w obiektach związanych z mniejszością niemiecką, m.in. w tamtejszych szkołach.

Zamachy terrorystyczne przeprowadzano również w głębi naszego kraju. Pod koniec sierpnia członek niemieckiej mniejszości z Bielska pozostawił na dworcu kolejowym w Tarnowie dwie walizki wypełnione materiałami wybuchowymi. W wyniku eksplozji życie straciło 20 osób, a ok. jedna trzecia budynku stacyjnego uległa zniszczeniu. Liczba ofiar mogła być jednak wyższa. Tuż przed zamachem z dworca odjechał transport polskich żołnierzy, a spóźnił się pociąg z Krakowa.

Ataki terrorystyczne i wszelkiego rodzaju prowokacje miały wywoływać panikę w polskim społeczeństwie, a także

eprasa.pl efd9ec288b

Stacja kolejowa w Mostach i wjazd do tunelu Jabłonkowskiego

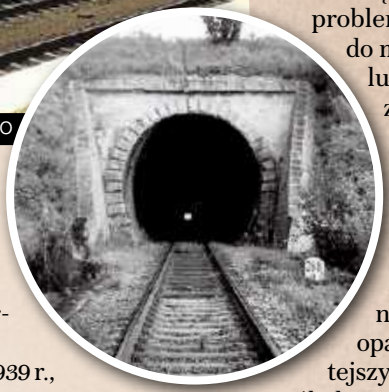

dać argumenty niemieckiej opinii publicznej, że to Polska jest agresorem w zbliżającym się konflikcie.

Adolf Hitler początkowo planował, że inwazja na Polskę w ramach planu Fall Weiss rozpocznie się 26 sierpnia 1939 r. o. 4.30. W pierwszej fazie operacji dowództwo niemieckie zamierzało przeprowadzić wiele akcji dywersyjnych wzdłuż granic niemiecko-polskiej i słowacko-polskiej. Dywersanci często przed nadejściem regularnej armii mieli przejmować mosty, obiekty kolejowe, fabryki i w ten sposób chronić je przed zniszczeniem przez wycofujące się polskie oddziały.

TUNEL JABŁONKOWSKI

Jedną z grup dywersyjnych był liczący ok. 30 osób oddział składający się głównie z Niemców zamieszkujących Śląsk Cieszyński. Grupa pod dowództwem por. Hansa-Albrechta Herznera miała zaatakować stację kolejową Mosty koło Jabłonkowa na granicy polsko-słowackiej i zająć tunel jabłonkowski. Niemcy chcieli przechwycić tunel, zanim Polacy go wysadzą i tym samym zablokują marsz kolumn Wehrmachtu. Operacja miała zostać przeprowadzona mniej więcej półtorej godziny przed wybuchem wojny, a zadaniem grupy dywersyjnej było utrzymanie tunelu do czasu nadejścia głównych sił niemieckich.

Tunel w Mostach koło Jabłonkowa był ważnym strategicznie miejscem komunikacyjnym położonym niedaleko południowej granicy Polski. Znajdował się na Przełęczy Jabłonkowskiej, która jest drugim najniższym punktem w głównym grzbiecie Beskidów. Przez tunel przebiegała najkrótsza trasa kolejowa łącząca Warszawę z Wiedniem. Opanowanie przełęczy pozwalało przejąć dogodne połączenie komunikacyjne między Słowacją i Austrią a południem Polski, co miało ogromną wartość w planowanych działaniach wojennych. Polacy doskonale zdawali sobie sprawę z wartości obiektu.

Już w czerwcu 1939 r., w odpowiedzi na rosnące napięcie między krajami, polskie wojsko zaminowało tunel i wzmocniło jego ochronę. Łącznie przeprawy pilnowało ok. 300 żołnierzy z 4. Pułku Strzelców Podhalańskich i funkcjonariuszy Straży Granicznej z placówki w Świerczynowcu. Każdego wieczora po przejechaniu ostatniego pociągu saperzy z 21. batalionu w Bielsku uzbrajali ładunki. Rozbrajali je dopiero wczesnym rankiem.

ODROCZENIE INWAZJI

25 sierpnia III Rzesza była gotowa do ataku. Podpisany dwa dni wcześniej pakt Ribbentrop–Mołotow gwarantował Niemcom spokój ze strony ZSRR. Wehrmacht zajął pozycje przygraniczne przed rozpoczęciem działań, a do dowódców zostały wysłane odpowiednie rozkazy.

Tego samego dnia po południu do Hitlera dotarła informacja o podpisaniu przez przedstawicieli Polski i Wielkiej Brytanii umowy o współpracy. Zgodnie z porozumieniem kraje te miały udzielić sobie pomocy wojskowej na wypadek niemieckiej agresji. W dodatku tego samego dnia Benito Mussolini poinformował Berlin, że Włochy nie są jeszcze gotowe do wojny. Hitler zaczął się wahać. Późnym popołudniem zdecydował się odroczyć uderzenie na Polskę. Rozkazy o wstrzymaniu ataku zostały rozesłane do wszystkich jednostek. Zanim jednak wiadomość dotarła do grupy Herznera, była ona już w okolicy Jabłonkowa i zmierzała w stronę Polski.

NIEMCY ATAKUJĄ

Pod osłoną nocy dywersanci nie bez problemów przeszli przez góry do miejscowości Mosty. Część ludzi Herznera pobłądziła zaraz po przekroczeniu granicy. Przed 4.00 Niemcy ostrzelali stację kolejową i znajdującą się obok willę kierownika szkoły, gdzie kwaterowali polscy saperzy. Stamtąd mieli ruszyć na Przełęcz Jabłonkowską, opanować i rozminować tamtejszy tunel, torując w ten sposób drogę żołnierzom Wehrmachtu z 7. Dywizji Piechoty w Żylinie.

To się jednak nie udało. Polskie wojska zaalarmowane strzałami obsadziły okolice tunelu jabłonkowskiego i nie dopuściły do niego dywersantów. Tymczasem na stacji zaczęli się pojawiać nieświadomi niczego robotnicy z pobliskiej huty w Trzyńcu. Chcieli złapać poranny pociąg, który miał ich zawieść do pracy. Zostali wzięci do niewoli przez dywersantów. Ludzie Herznera na próżno wypatrywali niemieckich wojsk, które miały nadejść od strony słowackiej Czadcy i dać sygnał do natarcia na tunel jabłonkowski. Od kilku godzin na całym froncie powinna już trwać wojna z Polską.

Niemiecki porucznik próbował nawiązać kontakt telefoniczny ze swoimi zwierzchnikami. Kiedy to nie przyniosło rezultatu, nakazał uruchomić lokomotywę i wysłać nią kuriera na słowacką stronę. Mimo ostrzału polskich żołnierzy Niemcowi udało się przebić przez tunel w pobliżu Jabłonkowa i dotrzeć do Czadcy. Tam się dowiedział, że inwazja została przełożona, a wojny na razie nie ma. Informację miał jeszcze przekazać Herznerowi. Ten jednak przed 8.00 sam zdecydował, by przez góry wycofać ludzi na Słowację. Podczas odwrotu dywersantów doszło do wymiany ognia z żołnierzami 4. Pułku Strzelców Podhalańskich. Wcześniej nie podejmowali oni interwencji. Obawiali się, że mają do czynienia z niemiecką prowokacją, poza tym nie chcieli walczyć w ciemnościach. Rano 26 sierpnia Niemcom udało się wycofać przez góry w kierunku Skałki i Wielkiego Połomu.

Fot. Vojtěch Dočkal/Wikipedia, domena publiczna

eprasa.pl efd9ec288b

KŁOPOTLIWE WYJAŚNIENIA

Kilka godzin później, jeszcze 26 sierpnia, polskie dowództwo zażądało wyjaśnień od strony niemieckiej. Na spotkanie z dowódcą 21. Dywizji Piechoty Górskiej gen. Józefem Kustroniem w celu wyjaśnienia tego incydentu Niemcy wysłali kpt. Kriesela.

Niemiec tłumaczył, że ataku dokonał nie Wehrmacht, tylko uzbrojone jednostki Grenzschutzu, czyli paramilitarna niemiecka formacja ochotnicza. Kapitan ocenił, że był to „pożałowania godny incydent spowodowany przez niepoczytalnego osobnika". Obiecał również, że przekaże polskie żądania ukarania winnych. Dowódca niemieckiej 7. Dywizji Piechoty gen. Eugen Ott oficjalnie przeprosił stronę polską za całe wydarzenie.

SŁABE PRZESZKOLENIE

Incydent jabłonkowski to jedna z co najmniej kilku niemieckich akcji dywersyjnych, które zakończyły się częściowym lub całkowitym fiaskiem. Na granicy cały czas trwały bowiem różnego rodzaju akty dywersji. W przeddzień II wojny światowej służby bezpieczeństwa III Rzeszy przeprowadziły serię prowokacji w ramach operacji „Himmler". Najbardziej znaną pośród nich była prowokacja gliwicka.

Przed wojną Gliwice należały terytorialnie do Niemiec. 31 sierpnia 1939 r. siedmioosobowa grupa niemieckich bojówkarzy przebranych za Polaków wdarła się do budynku tamtejszej radiostacji, gdzie znajdował się tzw. mikrofon burzowy o dużo mniejszym zasięgu niż aparatura, do której zamierzali dotrzeć. Jeden z napastników zaczął odczytywać przygotowany wcześniej komunikat, jednak po kilku słowach z nieznanych przyczyn radio zamilkło. Akcja okazała się kompromitacją organizatorów. Nie przeszkadzało to jednak niemieckiej propagandzie, która już po paru godzinach forsowała wersję o polskich prowokacjach na granicy.

Kilkanaście minut przed rozpoczęciem niemieckiej inwazji oddział dywersantów podjął próbę opanowania mostów na Wiśle w rejonie Tczewa, przez które przebiegała linia kolejowa łącząca III Rzeszę z Prusami Wschodnimi. Niemcy zdobyli na granicy dwa polskie parowozy i pod pozorem regularnego pociągu tranzytowego wysłali skład z grupą szturmową. Akcja zakończyła się niepowodzeniem dzięki polskim kolejarzom, którzy skierowali pociąg na boczny, ślepy tor. Wkrótce potem polscy saperzy wysadzili mosty, pozbawiając Niemców wygodnego połączenia z Prusami aż do czasu ukończenia nowej przeprawy w 1940 r.

Słabość niemieckich akcji dywersyjnych wynikała z tego, że w dużej mierze angażowano do nich słabo przeszkolonych cywilów. Trudno jednak było uniknąć takich braków, zważywszy na bezprecedensową skalę działań. Polski wywiad zdołał rozpracować i uniemożliwić część prowokacji, lecz mimo to w operacjach tzw. piątej kolumny uczestniczyło łącznie kilka tysięcy osób. Co więcej, Niemcy planowali wywołać w Polsce ukraińskie powstanie, z czego ostatecznie zrezygnowali dopiero po zapewnieniu Stalina, że Armia Czerwona udzieli im wsparcia.

PIĄTA KOLUMNA

Od pierwszego dnia wojny niektórzy przedstawiciele mniejszości niemieckiej prowadzili akcje dywersyjne wymierzone w polskie wojsko. Do sabotażu wykorzystywano również niemieckich spadochroniarzy. Na masową skalę przecinano linie telefoniczne, uszkadzano tory kolejowe i rozpowszechniano fałszywe informacje. Dywersanci często występowali w polskich mundurach. Oddziały Freikorps Ebbinghaus podejmowały próby opanowania niektórych miast na Śląsku, a tzw. piąta kolumna zbierała informacje wywiadowcze, m.in. o miejscu pobytu najwyższych władz państwowych.

por. Hans Albrecht Herzner

3 września w Bydgoszczy z wielu punktów ostrzelano wycofujące się polskie oddziały. Wywiązała się walka, a wojsko przystąpiło do wyłapywania dywersantów. Zatrzymano kilkaset osób. Zgodnie z prawem stanu wojennego uzbrojonych cywilów rozstrzeliwano na miejscu. W chaosie zdarzały się również przypadki zabijania niewinnych Niemców. 5 września miasto zajął Wehrmacht. W ciągu pierwszego tygodnia okupacji rozstrzelano kilkuset Polaków, a do końca 1939 r. w Bydgoszczy i jej powiecie życie straciło ok. 5 tys. osób. Wydarzenia z 3 i 4 września, nazwane przez niemiecką propagandę bromberger Blutsonntag („bydgoską krwawą niedzielą"), posłużyły III Rzeszy jako pretekst do brutalnych represji.

Dzięki donosom części mieszkającej w Polsce mniejszości niemieckiej wielu Polaków znalazło się na tzw. liście wrogów Rzeszy. Na jej podstawie Niemcy od pierwszych dni okupacji prowadzili planową akcję eliminacji polskiej elity – przedstawicieli władz, inteligencji, duchowieństwa, działaczy politycznych, kombatantów, a także ludzi kultury i nauki.

DALSZE LOSY TUNELU I NAPASTNIKÓW

1 września 1939 r. Niemcy ponownie uderzyli ze Słowacji na Przełęcz Jabłonkowską w celu zdobycia tunelu. Polscy saperzy byli jednak gotowi na atak i zdołali w porę wysadzić tunel. Zniszczenia okazały się na tyle duże, że był on bezużyteczny w wojnie 1939 r., a podczas okupacji Niemcy odbudowywali go przez dwa lata.

Obecnie Jabłonków leży w Czechach, a tunel istnieje, choć został przebudowany. W niezmienionym stanie pozostał natomiast dworzec. Do dziś w okolicy przetrwały też budynki, w których stacjonowali polscy żołnierze. Z kolei por. Hans-Albrecht Herzner, który dowodził atakiem z 25 sierpnia 1939 r. był jednym z pierwszych oficerów Wehrmachtu, który w czasie II wojny światowej otrzymał Krzyż Żelazny II klasy. Niedługo później został dowódcą batalionu Abwehry „Nachtigall" i kierował akcją wymordowania lwowskich profesorów oraz eksterminacją Żydów we Lwowie w lipcu 1941 r.

Fot. domena publiczna

eprasa.pl efd9ec288b

Nie tylko Lucy

Dwie dekady temu Lucy Wilska zaczęła podbijać Wilkowyje, a potem serca telewidzów. Dzięki bohaterce serialu „Ranczo" Ilona Ostrowska stała się ulubienicą Polaków. Teraz wraca m.in. w kinowych komediach

„Ranczo"

Fot. Krzysztof Wellman/TVP

eprasa.pl efd9ec288b

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Można powiedzieć, że na dobre weszła do filmu rozgadana, trajkocząc bez sensu, ale zdarzyło się to w pamiętnej scenie kultowego „Dnia świra" (2002). W przedziale pociągu paplające dziewczyny doprowadzały do szału Adasia Miauczyńskiego, jednocześnie całkowicie rozbrajając widzów. Zwłaszcza Ilona Ostrowska. Dziewczyna ze Szczecina, Kołobrzegu i Roztocza.

POCIĄG DO WILKOWYJ

Nim wsiadła do pociągu z Markiem Koterskim, skończyła – w 1998 r. – wydział aktorski we Wrocławiu. Miała też za sobą epizody w czterech spektaklach telewizyjnych, dwóch serialach (w tym „M jak miłość") i trzech filmach („Sezonie na leszcza" Bogusława Lindy, „Głośniej od bomb" Przemysława Wojcieszka i „Ciszy" Michała Rosy).

„Dzień świra" Koterskiego zdawał się potwierdzać, że młoda aktorka ma niezłą intuicję. Trafiała na plany ciekawych produkcji, realizowanych na dodatek przez nietuzinkowych twórców. Tak było też w przypadku najgłośniejszej w jej zawodowym dorobku produkcji – kultowego dziś „Rancza". Realizowanego w latach 2006–2016 r. w dziesięciu odcinkowych sezonach i kinowej wersji zatytułowanej „Ranczo Wilkowyje" (2007).

CIEPŁO I CHARYZMA

Za spektakularnym sukcesem serialu o mieszkańcach podlaskich Wilkowyj, w którym Ostrowska zagrała główną rolę, stali m.in. dwaj genialni, wyczuleni na polską frazę i mentalność scenarzyści: Robert Brutter (czyli Andrzej Mariusz Grembowicz) oraz Jerzy Niemczuk. Ale i w Ilonie Ostrowskiej musiało być coś bardzo inspirującego, a zarazem swojskiego i wyrastającego poza przaśność polskiej prowincji, że właśnie jej powierzono zagranie Lucy Wilskiej. Mimo że była już ponoć wybrana odtwórczyni kluczowej roli – młodej Amerykanki polskiego pochodzenia, którą ściąga do Polski testament napisany przez ukochaną babcię.

Przez dziesięć lat i kolejne sezony „Rancza" Ostrowska dawała swojej bohaterce wiarygodność, serce, ciepło i charyzmę. I była bardzo przekonująca w łamaniu polskiego języka i obcym akcencie, który tak się z nią zrósł, że poza planem, zwłaszcza na początku emisji, zaskakiwała czystością wypowiedzi. O swojej bohaterce mówiła: „Lucy jest powiewem innego świata, pokazuje bohaterom serialu, że można inaczej żyć".

„Ranczo"

TERAZ ZJAWIŃSKA

„Ranczo" mocno odcisnęło się na aktorskim wizerunku Ilony Ostrowskiej, a przecież od zakończenia jego emisji, a także wcześniej, szukała różnorodnych zawodowych wyzwań. Czasem w oryginalnych produkcjach reżyserów, który wracali do niej z kolejnymi propozycjami. Tak jak Marek Koterski, który w filmie „7 uczuć" (2016), po sporej przerwie od „Dnia świra", znów wciągnął ją do mikrokosmosu Adasia Miauczyńskiego, powierzając nieco większą rolę. Czy jak Juliusz Machulski, który już na fali wilkowyjskiej popularności powierzył aktorce główną kobiecą rolę w przenoszącym (widzów i bohaterów) w czasie filmie „Ile waży koń trojański?", a potem wracał do aktorki, angażując w gatunkowej „Kołysance" (2010) oraz najnowszej premierze – „Vinci 2", gdzie Ostrowska (*nomen omen*) zjawiskowo wygrała niewielką rolę kurator Zjawińskiej.

MYLĄC TROPY

Z działań mniej oczywistych, które przyjmowała Ostrowska, szukając alternatywy dla bardzo jednak określonej Lucy Wilskiej, warto wspomnieć m.in. udział w serialach: „Misja Afganistan", gdzie wcielała się w por. Justynę Winnicką, „Pod powierzchnią", głośnym „Ślepnąc od świateł" czy ostatnio w „Warszawiance". Podjęła się również zadania, które wywróciło jej ekranowy wizerunek – została (w 2018 r.) mylącym tropy, mieszającym szyki i usuwającym najambitniejszych uczestników tytułowym „Agentem" w trzeciej edycji podróżniczo-zadaniowego reality show. W tym ostatnim programie uwidoczniła się też jedna

prasa.pl/efd9ec288b

„Seks dla opornych”

„Czarna śmierć”

z pasji aktorki – do podróży. Fascynacja poznawaniem nowych miejsc, a także wędrowanie związane z życiowymi wyborami towarzyszyło jej od małego. Także za sprawą ojca marynarza, który przysyłał widokówki i egzotyczne prezenty z różnych krajów, rozbudzając marzenie o dalekich podróżach.

W jednym z nielicznych wywiadów aktorka mówiła o nim: „Jest superkolesiem, ma tatuaże, brodę, jest mądry i trzy razy opłynął świat. [...] On mi zawsze szeroko pokazywał świat. Miał gest we wszystkim. Jestem do niego podobna”.

PODLASKIE PRAWDZIWKI

Choć trudno w to uwierzyć tym, którzy nie przestają oglądać zapętlonych na różnych kanałach powtórek „Rancza”, Ilona Ostrowska ma już 52 lata. Urodziła się w Szczecinie, ale już wczesne dzieciństwo, a potem lata szkolne, spędziła częściowo na Roztoczu. Tam osiedli pochodzący z Wołynia dziadkowie.

Dziadek artystki był młynarzem, ale w jej pamięci zapisał się jako mężczyzna, który ciągle mówił wierszem. Z babcią kojarzą się jej placki zrobione jedynie z wody i mąki, czyli podpłomyki. Roztocze to dla niej niezmiennie nie tylko piękna przyroda, lecz także fantastyczni ludzie, których nazywa prawdziwkami, bo mają w sobie niezwykłą prawdę. Może właśnie dzięki tej prawdzie grana przez nią Lucy była tak wiarygodna i tak dobrze wpisywała się w krajobraz wschodniej Polski.

WARTOŚĆ FUNDAMENTALNA

Pierwsze amatorskie kroki na scenie Ilona Ostrowska stawiała w zamojskim teatrze Performer. Aktorstwo studiowała we wrocławskiej filii PWST. Tu wchodziła w zawodowe życie, wiążąc się z teatrami – najpierw Polskim i K2 we Wrocławiu, by już w 2002 r. trafić do warszawskiego Współczesnego. Już w Warszawie zagrała w filmie „Tulipany” (2004). Reżyser Jacek Borcuch został jej mężem i ojcem córki Miłosławy (2006). Drogi małżonków rozeszły się w 2012 r., ale Ostrowska nigdy nie przestała podkreślać, że rodzina to dla niej „wartość fundamentalna”. Później była w związku z reżyserem Krzysztofem Garbaczewskim, a teraz jest związana z muzykiem Patrykiem Stawińskim, z którym ma syna Gustawa (2016).

OPRÓCZ „RANCZA”

Od kilku tygodni nie tylko fanów serialu o podlaskich Wilkowyjach elektryzują potwierdzenia – płynące i ze strony twórców, i TVP – że powstanie 11. sezon kultowej produkcji. Przy pierwszych sygnałach, że może się tak stać, aktorka mówiła asekuracyjnie: „Chciałabym znów wejść na plan, ale mam też przed sobą dużo innych projektów i bardzo na nie czekam”.

Najbliższa premiera z udziałem Ilony Ostrowskiej będzie związana z serialem TVP „Czarna śmierć”. Potem, 17 października, do kin wejdzie komedia „Seks dla opornych”, w której małżeństwo z 25-letnim stażem oraz planem na odrzucenie rutyny (oraz rozgrzanie dawnych namiętności) zagrali Ilona Ostrowska i Piotr Adamczyk. Na planie tego filmu aktorka wystąpiła jeszcze w wersji blond. Większość fanów „Rancza” ma jednak nadzieję na powrót do ciemniejszej opcji włosów i z niecierpliwością oraz nadzieją czeka na nową odsłonę jasnej strony mocy, którą do Wilkowyj wprowadza Lucy Wilska.

Fot. Krzysztof Wellman/TVP, Audrius Solomnas, TVP

eprasa.pl efd9ec288b

HITY i KITY ZAREMBY

Historia totalna czy niepełna?

Po co powstała „Totalna historia II wojny światowej" francuskiego historyka Oliviera Wieviorki? Opracowania na temat tej wojny nadal będą się pewnie mnożyć. Dlaczego jednak na ponad 800 stronach dostajemy opowieść tak niekompletną, pozbawioną podstawowych pytań, nie mówiąc o odpowiedziach?

65-letni Wieviorka to historyk francuskiego ruchu oporu i frontu zachodniego w Europie. Zarazem jest potomkiem polskich Żydów. Jego dziadkowie zginęli w Auschwitz.

Pisząc 5. tom mojej historii politycznej USA, przebijałem się przez dziesiątki syntez II wojny światowej. Na pytanie, po co kolejne opracowanie tego konfliktu, Wieviorka odpowiada już we wstępie. Szuka całościowego osądu strasznej epoki. I chce skorzystać z „najnowszych odkryć historiografii". Daje przykłady wątków wymagających rewizji. A to uważa Erwina Rommla, niemieckiego dowódcę Afrika Korps, za kiepskiego stratega, a to chce pomniejszyć sukcesy Japończyków w ich wojnie błyskawicznej na Dalekim Wschodzie.

Znaczna część książki to jednak drobiazgowa, zbyt sucha rekonstrukcja działań militarnych, które już znamy. Owszem, mamy trochę nowych rzeczy. Wieviorka próbuje odtwarzać mechanizmy rządzące poszczególnymi armiami. Sporo miejsca poświęca sprawom gospodarczym. Dostajemy ciekawy opis zaangażowania w wojnę państw neutralnych, takich jak Szwajcaria czy Szwecja.

Autor gubi za to fundamentalne pytania stawiane już zaraz po wojnie, choćby przez Hansona Baldwina. Gdzie powinien powstać drugi front: we Francji czy na Bałkanach? Czy alianci zachodni powinni żądać od III Rzeszy bezwarunkowej kapitulacji? Czy mieli szansę na powstrzymanie ekspansji Stalina? Czy należało użyć bomb atomowych przeciw Japonii? Po tym wszystkim francuski profesor się kompletnie prześlizguje.

Próbuje oddać mentalność przeciętnego żołnierza, za to nie pokazuje wojny z perspektywy przywódców, nie ma psychologicznego klucza do ich decyzji. Co gorsza, dla czytelnika nieznającego tej historii opis niektórych zdarzeń będzie mylący. W rozdziale o genezie wojny w Europie Wieviorka pisze, że w marcu 1939 r. Hitler „najechał" Czechy. Można odnieść wrażenie, że pokonał je w walce. Tymczasem mieliśmy do czynienia z szantażem, groźbą zbombardowania Pragi. Takich niejasnych miejsc jest dużo. Za dużo.

Dla nas szokująca musi być zdawkowość, z jaką traktuje polski udział w zdarzeniach. Ze zrozumiałych względów poświęca wiele miejsca przemysłowym mordom w ramach Holokaustu, za to wręcz nie zauważa ludobójczego podejścia III Rzeszy do Słowian, w tym Polaków. Nazwa Generalny Plan Wschodni pojawia się tylko jako dygresja. W rozdziałach dotyczących – zbiorczo – ruchu oporu sporo pisze nawet o rachitycznych organizacjach w Danii czy Belgii, ale nie ma prawie nic o sporej przecież polskiej konspiracji i partyzantce. Terror na ziemiach polskich pojawia się głównie w kontekście Żydów. Trzeba to potraktować jako zasadniczy brak.

Nie rekompensuje tego dość klasyczny rozdział o powstaniu warszawskim. Dostajemy za to dziwaczne nazewnictwo: premier Władysław Sikorski to „nacjonalista". Jak rozumiem, co najwyżej w rozumieniu anglosaskim, gdzie tak się nazywało rzeczników niepodległości narodowej. Mamy też rażące błędy. Wieviorka sporo wie o Francji, ale prawie nic o Stanach Zjednoczonych. Czy to on, czy ktoś z trójki tłumaczy odpowiada za to, że Frances Perkins, sekretarz pracy, pierwsza kobieta na ministerialnym stanowisku w USA, jest tu mężczyzną, a z kolei izolacjonistyczny kongresmen Clare Hoffman – kobietą? Trudno więc nie zachęcać do co najmniej nieufności wobec tego tomiszcza.

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Piotr Zaremba

Fot. NAC, materiały prasowe

POLOWANIE NA MŁODYCH W INTELIGENTNYM DOMU

Bartosz M. Kowalski uparcie robi coś, czego nie chcą robić inni polscy twórcy. Z podziwu godną systematycznością kręci kino gatunkowe – kolejne filmy grozy. Jestem fanem gatunku i efekt nie powalał mnie na kolana. Ale „13 dni do wakacji" to najlepsza z jego produkcji.

Jego pierwszy film „Plac zabaw" (2016) był makabryczny, ale to nie horror, bardziej kino z ambicjami społecznymi. Ale później przyszły: „W lesie dziś nie zaśnie nikt" (2020), „W lesie dziś nie zaśnie nikt 2" (2021), „Ostatnia wieczerza" (2023) i „Cisza nocna" (2024). Dwa pierwsze to slashery, czyli filmy o seryjnych morderstwach, tu na dokładkę dokonywanych przez stwory nie z tego świata. W „Ostatniej wieczerzy" próbował nas przekonać, że polski klasztor z lat 80. to siedlisko satanistycznej sekty wywołującej szatana – reżyser ma skądinąd antyklerykalną obsesję.

Przy nagromadzeniu naturalistycznych okropieństw żaden z tych dość przewidywalnych, pełnych schematów filmów nie osiągał perfekcji zachodnich obrazów o tej tematyce. Wyróżniała się „Cisza nocna" – nie tylko jako horror o tajemnicy drzemiącej w piwnicach, lecz także przypowiastka o samotnym starym mężczyźnie zesłanym do domu opieki.

„13 dni do wakacji" to powrót do slashera. Konwencja działa tu w stanie czystym: grupa młodych ludzi uwięziona w luksusowej willi w Konstancinie jest atakowana przez seryjnego zabójcę. Stephen King zawsze twierdził, że najbardziej straszą te horrory, które przywołują zagrożenia z realnego życia. Tu odkryjemy klaustrofobiczny efekt urządzeń „inteligentnego domu", które zamiast chronić, potrafią uwięzić. Ostatnio to motyw niejednego scenariusza.

Mamy też sygnały zła czającego się na zewnątrz: brutalny policjant, przemoc w szkole, rozbita, pełna wzajemnych pretensji rodzina gospodyni. Film ma dwa zakończenia. Pierwsze – zaskakujące, naznaczone irracjonalną tajemnicą. I drugie – biorące wszystko, co zobaczyliśmy, w cudzysłów. Ale do jakiego stopnia unieważnia się przemoc, jaką nam pokazano? To robi wrażenie, także dzięki dobrej grze młodych aktorów. Wyróżnić trzeba Teodora Koziara jako Antka, brata gospodyni. Dopiero co zachwycał jeszcze dziecięcą rolą zestresowanego syna alkoholika w „Powrocie do tamtych dni" Konrada Aksinowicza. Ciekawe, czy wybierze niełatwą drogę aktora.

Fot. Next Film, Teatr Klasyki Polskiej

Klasyk Witkacy i Sadowa w czterech rolach

Nawet podczas wakacji Teatr Klasyki Polskiej krąży po kraju z lubianymi przez publikę, przystępnymi spektaklami typu „Zemsta" Fredry. Po wakacjach na stronie teatru warto poszukać „Mątwy" Stanisława Ignacego Witkiewicza. To popis scenicznej perfekcji

Były dwie premiery „Mątwy". Najpierw Tomasz Man wystawił tę sztukę Witkacego z 1922 r. w podziemiach warszawskiego kościoła Wszystkich Świętych w formie tzw. czytania performatywnego. To oznacza, że aktorzy korzystali ze scenopisów i minimum ruchu scenicznego. A także używali różnych instrumentów, efektownie akompaniując dziwacznym dialogom. Potem dyrektor teatru Jarosław Gajewski wystawił to raz jeszcze (premiera na scenie Akademii Teatralnej). Jest ta sama czteroosobowa obsada i minimum ruchu pośród znakomitych dekoracji Aleksandry Redy. Tym razem aktorzy na niczym nie grają.

Na początku konserwatywnej II RP Witkacy uprawiał coś, co dopiero 30, 40 lat później nazwano teatrem absurdu. Szukał czystej formy – w tym sensie „Mątwa" jest popisem zawikłanych, ale miejscami błyskotliwych dialogów, niejako samych dla siebie. Artysta Paweł Bezdeka spotyka się, a to z duchem papieża Juliusza II (tego od Kaplicy Sykstyńskiej), a to ze swoim dawnym kolegą, demonicznym wodzem Hyrkanem. Boryka się też z kilkoma kobietami. Właśnie żywioł kobiecy jest tu porównywany do „mątwy".

Czy to coś więcej niż groteskowe igraszki formą? Antoni Winch ogłosił w programie teatralnym: „Witkiewicz stworzył dzieło, które jest zarazem refleksją o kondycji ludzkiej, jak i pełną wyzwań wizją sztuki, której nie można zrozumieć bez wewnętrznego zaangażowania. Paweł Bezdeka to artysta, który nie może wyjść poza granice swojej egzystencji – ściskający go świat mieszczańskiej przeciętności". No może. Ja mam wrażenie, że choć pojawiają się tu typowe dla Witkacego obsesje i nawet przestrogi, nie jest to sztuka tak prorocza co do natury nadciągającej współczesności jak „Oni" czy „Szewcy". Ale ogląda się to dobrze.

Także jako popis sztuki aktorskiej. Bartosz Turzyński (Bezdeka), Dariusz Kowalski (Juliusz II) i Ksawery Szlenkier (Hyrkan) znakomicie bawią się paradoksami swoich postaci. Ale największy popis funduje nam Lidia Sadowa – w aż czterech rolach kobiecych. Na początku nie rozumiałem sensu takiego obsadowego ściśnięcia spektaklu. Ale aktorka, warta wszelkich nagród, niemal nie schodząc z postumentu na środku sceny, co chwila zmienia tożsamości, co jest źródłem najróżniejszych wrażeń: od zabawy po grozę. Mamy więc teatr w stanie czystym. Chapeau bas, w sumie Witkacy to dziś naprawdę klasyk.

3 MIŁOŚCI

Bliźni Bóg

ROBERT TEKIELI

„Był Pan wybitnym redaktorem, jedną z kilku najważniejszych postaci w kulturze kraju, a teraz wydaje popularne, słabo zredagowane broszury. Czy to nie jest upadek?" – pytał mnie w 2013 r. w wywiadzie dla nie-wiem-kogo mój ukochany Krzysztof Kłopotowski. Odpowiedziałem śmiechem. Rzecz dotyczyła rezygnacji z aktywności w sferze kultury, która zbiegła się z moim nawróceniem po 15 latach kreowania pisma i pokolenia literackiego. Rezygnacji podszytej poczuciem klęski. Kultura okazała się zbyt miąższa, by jedno pismo, jedna idea dokonały jej przemiany. Pomiędzy stropem a spągiem zachodniej kultury było zbyt wiele, by coś mniej sprawczego niż pracujące przez pokolenia zakony chrześcijańskie mogło ją trwale przekształcić. Fundamentem kultury są chmury. Duch.

Dom buduje się od dymu z komina, od pragnienia, natchnienia. Tak samo powstają cywilizacje. Ich poczęcie w przestrzeni duchowej.

Kultura jest sferą pośrednią. Porzucając ją, zająłem się biegunami, pomiędzy którymi pośredniczy. Bliźnim i Bogiem. Budowaniem relacji z Jezusem i ratowaniem konkretnych, znanych mi z imienia i nazwiska ludzi. Czy to opętanych, czy powalonych depresjami, których nie daje się leczyć farmakologicznie, czy też doświadczających statystycznie nieprawdopodobnej ilości negatywnych wydarzeń w życiu lub cierpiących z powodu seryjnego rozpadu wszystkich dobrych relacji w życiu. Najczęściej oznacza to wcześniejsze otwarcie się na nadzwyczajne działanie złego ducha.

Ale Krzysztof Kłopotowski nie dawał za wygraną: „Jerzy Giedroyć widział w panu następcę, czyli lidera duchowego inteligencji. A pan, porzucając ścieżkę obraną w »bruLionie« ustąpił Adamowi Michnikowi, choć uważa go za szkodnika i nazwał »antypapieżem«". Mówiąc precyzyjnie, nazwałem Michnika u szczytu jego potęgi wicepapieżem, ale nie bijmy się o słowa. Opinia redaktora paryskiej „Kultury" była mi znana. Marek Nowakowski po jednym z kolegiów redakcyjnych „Gazety Polskiej", gdy zostaliśmy we trójkę z Tomkiem Sakiewiczem, opowiedział o tym Giedroycowym namaszczeniu. Dla mnie było ono nieistotne od samego początku, bowiem polska inteligencja – może za wyjątkiem inteligencji technicznej – była skazana na wymarcie. Zdradziła naród, porzuciła swoją misję bezinteresownej pracy u podstaw. Albo została wcześniej wybita przez bolszewików i Niemców.

A teraz najważniejsza informacja!!! Rozpoczęliśmy budowę webradia – radia internetowego. Nazywa się radioNiepokalana i na pierwszym etapie rozwoju jego antenę wypełnią: modlitwa i świadectwa. Naszą misją jest okazywanie miłości Bogu i chorym, słabym, samotnym, uciśnionym, pogubionym, zniewolonym i uzależnionym. Kochany czytelniku, bądź częścią tworzącego się zespołu. Jak możesz – pomóż

No i też poznałem zbyt późno Księcia. Nie ciekawiła go już ukochana przecież Polska, zadawał mi tendencyjne pytania, chciał usłyszeć, jakim to potworem jest polski Kościół, a ja, zszokowany jego kognitywną degrengoladą, tłumaczyłem jak dziecku – ja, wtedy ateista i anarchista! – że Kościół jest jedyną instytucją w dziejach świata, która zrobiła ciut więcej dobrego niż złego. Tak 51 proc do 49 proc...

Naprawdę tak wtedy myślałem. Przez dekady byłem poza Kościołem, a mimo to bawili mnie moi studenccy, katoliccy przyjaciele oburzający się w stanie wojennym na to, że ksiądz brał pieniądze za udzielenie ślubu, jakby chwilę wcześniej udowodnili, że kapłani odżywiają się powietrzem. A sam Książę wydał mi się lekko żenujący, że aż tyle lat musiało minąć, by swym błyskotliwym umysłem odkrył fałszywą naturę Adama Michnika.

10 lat temu znów zacząłem się zajmować sprawami poślednimi, pośrednimi – polityką, cywilizacją, kulturą – dziś znów czas na sprawy ostateczne. Najwyższe i najbliższe. Bliźni i Bóg. Takie historie:

Osiemnastolatka weszła w satanizm i obezwładniające uzależnienie od narkotyków. Wcześniej – grzeczna dziewczynka z dobrej katolickiej, patriotycznej rodziny. W klubach techno otworzyła się na demoniczną rzeczywistość. Dwukrotnie otarła się o śmierć. Zrozpaczeni rodzice trafili do naszej poradni, podjęli zaproponowaną im drogę walki duchowej. W ich przypadku zawołanie: „Modlitwą i postem" oznaczało pielgrzymkę. Jezus dokonał uzdrowienia ich córki po nocnej pielgrzymce z Miedniewic

eprasa.pl efd9ec288b

do Niepokalanowa. Wymarsz o 22.00, 21 km nocą z dwoma postojami, msza święta o 5.45 w sanktuarium Niepokalanej Matki Jezusa Chrystusa. Po trzech latach dziewczyna wróciła do domu, prowadzi życie sakramentalne.

Robert, by uciec od stresu i powracających lęków, zaczął medytować z Sadhguru, jedną z youtube'owych gwiazd orientalnych duchowości. Rozpoczął się koszmar dręczeń i cierpienia. Szukał ratunku, trafił na kanał na YouTube „Tekieli: Otwórz oczy". Tu pierwszy raz usłyszał, że wschodnie medytacje często prowadzą do depresji i problemów wewnętrznych, których doświadczał. Dowiedział się też, że skuteczną i trwałą pomoc znajdzie jedynie w Kościele katolickim. Dziś jest wolnym człowiekiem, odzyskał radość życia, buduje swoją relację z Jezusem Chrystusem, jego małżeństwo i ojcostwo są odnawiane Bożą mocą. Świadectwo Roberta można zobaczyć na moim kanale na YouTube.

Nie liczę, ale tych historii jest już kilkaset. Może 200, może więcej.

Konrad wziął odpowiedzialność za swoje życie, jest w walce, po jasnej stronie. Anita wyszła z trzyletniej depresji o podłożu duchowym. Robert został całkowicie uzdrowiony z alkoholizmu. Kamila z mężem oraz Bartosz zostali uwolnieni dzięki modlitwie egzorcyzmów, do których udało się nam ich doprowadzić.

Kolejne kilkadziesiąt osób, którym dziś towarzyszymy modlitwą, postem, ofiarowaniem cierpienia krok po kroku, korzystając z trzydziestoletniego doświadczenia na drodze uwalniania i uzdrawiania poprzez budowanie relacji z Chrystusem, mierzy się z przeszłością, historią własnego i cudzego grzechu, który bez Boga na pewno zmiażdżyłby ich życie.

Naszą misją jest okazywanie miłości Bogu i chorym, słabym, samotnym, uciśnionym, pogubionym, zniewolonym i uzależnionym.

Dziś prowadzimy kanał na YouTube (230 filmów), stronę ewangelizacyjno-apologetyczną tekieli.blog, telefoniczną Poradnię duchową, Samopomoc Rodzicielską online, profil i stronę na Facebooku z kilkunastoma tysiącami obserwujących, przeprowadziliśmy pierwszą w Polsce akcję informacyjną o niezwykle groźnej sekcie Kościół Boga Wszechmogącego (wywiad w „Niedzieli", Telewizji Trwam, Radiu Maryja, raport na tekieli.blog, film na kanale na YouTube „Tekieli: Otwórz oczy" (pisałem o tej sekcie również tutaj). Ta akcja trwa, na forach sekty działają Natalia, Mirek i Basia Sadowska, która też zbiera materiał do raportu o sekcie.

Prowadzimy codzienną modlitwę różańcową na kanale YouTube – w dni powszednie w godzinach 5.30–6.45, w soboty od 6.30, w niedzielę i święta od 7.30. Możemy modlić się także w twoich intencjach.

A teraz najważniejsza informacja!!! Rozpoczęliśmy budowę webradia – radia internetowego. Nazywa się radio-Niepokalana i na pierwszym etapie rozwoju jego antenę wypełnią modlitwa i świadectwa.

Kochany czytelniku, bądź częścią tworzącego się zespołu. Proszę cię o wsparcie. Utworzyłem zrzutkę na pierwsze potrzeby – mikrofon pojemnościowy, internet w światłowodzie, laptop. Odnieśliśmy sukces. Wspólnota, która zawiązuje się wokół codziennej modlitwy różańcowej na kanale YouTube „Tekieli: Otwórz oczy" w trzy dni zebrała środki w pierwszej odsłonie zrzutki. Mogę zacząć nagrywać świadectwa, uzupełniać sprzęt niezbędny do zawodowej pracy studia. Mamy lokal i ludzi, potrzebujemy środków, by odpalić transmisję. Teraz aktywna jest druga zrzutka na stronie: https://zrzutka.pl/eke5hc.

Żadna z osób tworzących naszą wspólnotę modlitwy i działania nie jest święta, większość z nas ma za sobą trudne historie. Kierujemy się zasadą z pierwszego Listu św. Piotra: „Przede wszystkim miejcie wytrwałą miłość jedni ku drugim, bo miłość zakrywa wiele grzechów" (1P 4,8).

Pomoc człowiekowi w potrzebie to skarb, który będzie się liczył w niebie.

Duchowym fundamentem naszych działań jest grupa Dwa Serca, wspólnota modlitwy kilkudziesięciu katolików rozsianych po całym świecie skupiająca się wokół posługi ośmiu osób modlących się dziś za osoby opętane. Konrad, Bartek, Monika, Magdalena, Magda, Maria, Agnieszka i Robert proszą o „Zdrowaś Mario" w ich intencji.

Misją grupy Dwa Serca jest działanie na rzecz poszukujących pomocy osób zniewolonych duchowo i intelektualnie, uzależnionych oraz pogubionych – doprowadzanie ich w wolności do wspólnoty Kościoła katolickiego. Zapraszamy cię do wspólnej modlitwy.

Dziękuję ci z serca, liczę na twoją pomoc.

Budujemy fundamenty pod instytucję ratującą dusze. Potrzebujemy comiesięcznego, regularnego wsparcia na koszty stałe: hosting, księgowość, opłaty związane z lokalem itp. Uruchom, proszę, stałe zlecenie.

Nr konta

17 2530 0008 2060 1085 9221 0001.

Podmiotem prawa państwowego obsługującym wszystkie te działania jest działająca od jesieni 1991 r. Fundacja bruLionu, po zmianie regulacji prawnych dotyczących fundacji i stowarzyszeń ponownie zarejestrowana 20 października 2020 r. (KRS 5565556778).

Jeśli nie możesz, wesprzyj nas modlitwą i postem. Będziesz częścią wspólnoty. Zmieniamy życie ludzi. Miłość zakrywa wiele grzechów. Trwa czas miłosierdzia.

Fot. Domena publiczna

eprasa.pl efd9ec288b

Galopem przez dzieje

Początki wspólnej historii ludzi i koni giną w pomroce dziejów, zarówno jeżeli chodzi o umiejscowienie w czasie, jak i przestrzeni. Na tej rozciągniętej na niezliczone tysiące lat i wiele kontynentów mapie Polska jest jednym z najciekawszych punktów

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Historia domestykacji różnych zwierząt, które obecnie zaliczamy do domowych, jest fascynująca. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że obecnie im bardziej można określić zwierzę jako zwyczajne i dobrze znane, tym bardziej niezwykłe są dzieje jego udomowienia. Bo im bardziej jest znane, tym dawniej musiało być udomowione i tym dłuższa jest wspólna historia, czasem sięgająca początków cywilizacji, a czasem jeszcze dawniejsza.

Jednocześnie trudno chyba o zwierzę, które w kontekście udomowienia budziłoby uczucia bardziej poruszające niż koń. Może wspomnieć by można jedynie psa, ewentualnie bydło. I nie mam tu na myśli zachwycania się pięknem i szlachetnością koni, ich romantycznym wizerunkiem czy rozczulaniem się nad psem jako najlepszym przyjacielem człowieka. Kompletnie nie o to chodzi.

PLEJSTOCEŃSKA NOSTALGIA

Za odczuciami, które się rodzą, gdy myślą i badaniem naukowym próbujemy sięgnąć do udomowienia koni, kryje się coś zupełnie innego.

Nostalgia za plejstocenem – nie wiem, czy została już zdefiniowana lub zdiagnozowana (bo to, że wielokrotnie, mniej lub bardziej świadomie, została wyartykułowana, jest pewne). Jeżeli nie, niniejszym to czynię. Wielu ludzi, niekoniecznie zdając sobie z tego sprawę, tęskni za pięknymi czasami plejstocenu, obejmującymi zdecydowaną większość historii rodzaju ludzkiego, w tym naszego gatunku.

Konie zaliczają się do grupy zwierząt, które można określić jako megafauna, co należy rozumieć dosłownie. Ta grupa – chociaż określenie jest stosowane przez zoologów – nie ma jakiegoś wyraźnego punktu wspólnego, poza tym, że należą do niej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efd9ec288b

zwierzęta duże. W tej grupie konie są tym bardziej wyjątkowe, że pozostają jednymi z nielicznych przedstawicieli megafauny plejstocenu. Należą do zwierząt nieparzystokopytnych, niegdyś bogatej w gatunki, a dziś obejmujących nieliczne koniowate, w tym zebry i osły oraz cztery gatunki tapirów i pięć gatunków nosorożców.

Z oczywistych powodów przedstawiciele megafauny przykuwali ludzką uwagę już w najdawniejszych czasach. Wiemy o tym, ponieważ poza wykopaliskami świadczącymi o różnych interakcjach zachowały się źródła wiedzy stworzone przez ludzi. Nie źródła pisemne – bo od kiedy człowiek zwrócił uwagę na konie do czasów, kiedy obmyślił pierwsze hieroglify, niejeden ląd zmienił kształt. I nie źródła mówione – bo nawet tak trwały nośnik jak opowieść nie przetrwał tych dziesiątków, a może setek tysięcy lat. Pozostały jednak malowidła naskalne i jaskiniowe, a jedno z najważniejszych miejsc pośród uwiecznionych na nich zwierząt zajmują konie.

PEWNEGO RAZU W AMERYCE

Istnieje hipoteza, iż kolebką prakonia była Ameryka. Ok. 50 mln lat temu, w eocenie, na terenie obecnej Ameryki Północnej rozpoczęła się jego wielka epopeja ewolucyjna. Początkowo nic nie zapowiadało wybitności koniowatych. Daleki przodek rumaka *Eohippus*, którego szczątki odkryto w dorzeczu rzeki Wind River w stanie Wyoming, był niewielkim stworzeniem wielkości małego psa. Budowa kończyn stanowiła to, co wyróżniało go na tle pozostałej fauny. Przednie kończyny *Eohippusa* były zaopatrzone w cztery palce, z których jeden był w stanie zaniku, a tylne – w trzy palce. Ta nieparzystość była i jest cechą całego rzędu zwierząt. Dodatkowo masa ciała spoczywała wyłącznie na palcach. Te cechy ewoluowały przez kolejne miliony lat: palce kolejno zanikały, aby ostatecznie ostał się jedynie środkowy. W miocenie przemienił się on w kopyto. Wracając do protokonia z Wyoming – jego siekacze, zęby trzonowe i przedtrzonowce, przypominające zęby współczesnego konia, stanowiły typowe narządy roślinożercy, przystosowane do miażdżenia miękkich tkanek roślinnych. Niepokojące były natomiast kły, duże i ostre.

Ewolucja pozbawiła jednak koniowatych pierwotnych ostrych kłów. W efekcie żyjący ok. 40 mln lat później, w miocenie, endemit z Ameryki Północnej zwany *Meryhippus* był pierwszym koniem, o którym wiadomo, że opanował nowe środowisko – porośniętą trawami prerię. Lasy ustąpiły wówczas miejsca formacjom trawiastym. *Meryhippus* spędzał czas, pasąc się i doskonaląc sztukę szybkiego przemieszczania się na otwartej przestrzeni. Choć miał jeszcze trzy palce, to dwa były już bardzo zredukowane, a podczas stania i chodzenia jego kończyny miały kontakt z podłożem już tylko za pomocą przypominającego kopyto jednego palca. Czy to wówczas koniowate stały się najlepszymi biegaczami wśród wielkiej grupy kopytnych? Tego nie wiadomo.

O amerykańskim *Meryhippus* możemy powiedzieć, że – po pierwsze, był pierwszym protokoniem, który dzięki wydłużonemu pyskowi faktycznie przypominał konia, a po drugie, że był największym koniowatym, jaki do tamtej pory żył na Ziemi. Z pewną ostrożnością można stwierdzić, że rodzaj ten dał początek współczesnemu koniowi.

Żyjący ok. 4 mln lat temu w Ameryce koń Hagermana (*Equus simplicidens*) jest jednym z najstarszych i najbardziej prymitywnych przedstawicieli rodzaju *Equus*. Wszystkie wcześniej wymienione zwierzęta nie należały do tego rodzaju, lecz stanowiły przedstawicieli większej grupy: rodziny koniowatych. Liczne skamieniałości tego gatunku, ważnego dla epopei konia, znaleziono w 1928 r. w stanie Idaho, w pobliżu miasta Hagerman.

KOŃ DOMOWY POCHODZI OD…

Ustalenia, od którego gatunku dzikich koniowatych pochodzi koń domowy, zmieniają się, a przy tym zawsze pojawiają się zastrzeżenia, że są to jedynie hipotezy.

Niegdyś spośród dzikich gatunków wyróżniano wymarłego od stu kilkudziesięciu lat tarpana (*Equus gmelini*) oraz konia Przewalskiego (*Equus przewalskii*), bardzo rzadkiego, lecz wciąż żyjącego na wolności i w hodowlach konia azjatyckiego.

Tarpany, zwierzęta bardzo odporne, silne i niezwykle dzikie, żyły jeszcze w XIX w. na terenach Polski i Ukrainy (przy czym można postawić pytanie, czy w przypadku Ukrainy chodziło o tarpany, czy konie Przewalskiego).

Ostatnie z białowieskich tarpanów zostały rozdane z prywatnego zwierzyńca przez Zamoyskiego i krzyżowane przez okolicznych włościan z końmi domowymi. Dały początek rasie zwanej konikiem polskim. Ma ona wiele genów wymarłych dzikich koni, a wyglądem i zwyczajami jest bliska wymarłym tarpanom leśnym. Koniki polskie są nieduże, ale silne, mają szarą sierść z ciemną pręgą wzdłuż grzbietu, cały rok żyją na zewnątrz, jedząc tylko trawę i zioła, mają kopyta tak twarde, że nie wymagają podkuwania. Niekiedy wyróżnia się jeszcze koniki biłgorajskie.

Jak wspomniano, konie Przewalskiego żyją jeszcze w czystej postaci. Obecnie często łączy się je ze wspomnianym tarpanem w jeden gatunek: tarpan dziki (*Equus ferus*). Gatunek ten dzieli się na dwa podgatunki: wymarłego tarpana leśnego (*Equus ferus ferus*) i stepowego konia Przewalskiego (*Equus ferus przewalskii*).

Im bardziej zgłębia się ten temat, tym bardziej ma się wrażenie, że coraz mniej rzeczy jest pewnych, a pojawia się coraz więcej hipotez. Tak jest zresztą z każdym wątkiem przyrodniczym. W przypadku gatunków udomowionych widzimy to po prostu wyraźniej, ponieważ częściej i z większym zaangażowaniem zgłębiamy odległą historię przodków konia niż np. karakala. Gdybyśmy próbowali zbadać ewolucję karakali, mielibyśmy nie mniej trudności, mało kto jednak bada ewolucję tych dzikich kotów.

Aktualnie możliwe wydaje się założenie, że przodkami koni domowych określanych jako zimnokrwiste są tarpany zamieszkujące niegdyś lasy (*Equus ferus ferus*), a przodkami koni nazywanych gorącokrwistymi są tarpany stepowe, czyli konie Przewalskiego (*Equus ferus przewalskii*). Udomowienie nastąpiło przypuszczalnie kilka tysięcy lat temu. Musiało mieć ono miejsce w Europie lub w Azji, albo niezależnie w kilku rejonach tych kontynentów. Pewne jest chyba tylko to, ponieważ mimo że – jak wspomniano – historia koniowatych rozpoczęła się w Ameryce, w pewnym momencie w wyniku wielu różnych czynników megafauna Nowego Świata, w tym konie, zaczęła wymierać. Kilkanaście tysięcy lat temu nie było ich już w Ameryce, jednak przez miliony lat zwierzęta te zdążyły się rozbiec po świecie. Dotarły do Azji. Do Ameryki wróciły wraz z Hiszpanami i dopiero dziczejąc wtórnie na preriach, dały początek słynnym mustangom.

eprasa.pl efd9ec288b

JEGO GNIEŹNIEŃSKIE SZLAKI: BOLESŁAW CHROBRY, PIERWSZY KRÓL POLSKI

Król wśród nas

Gdzie najlepiej szukać śladów naszego pierwszego monarchy, zwłaszcza w roku tysiąclecia jego koronacji? Miastem, które nie tylko z powodu wyjątkowego jubileuszu zachowuje Bolesława Chrobrego we wdzięcznej pamięci, jest Gniezno, od początku 2025 r. oferujące rozbudowaną listę milenijnych atrakcji (szczegóły na stronie: www.gniezno2025.pl).

Od 11 do 14 września miasto zaprasza na zjazd gnieźnieński, tydzień później – na Bieg Lechitów (najstarszy półmaraton w Polsce). Poza tymi imprezami pierwszego króla – i to w bardzo różnych odsłonach – można też samemu poszukać w Gnieźnie. Najbardziej tradycyjnie na Wzgórzu Lecha, gdzie wznosi się katedra gnieźnieńska z zachowaną w niej – materialnie i w przekazach – historią, a także na Trakcie Królewskim. Wśród posągów władców koronowanych w Gnieźnie nie mogło oczywiście zabraknąć Bolesława. Występuje on tu w aż trzech odsłonach – najbardziej oficjalnej, na wysokim postumencie przy katedrze, najnowszej – młodzieńczej i tej najbardziej rozpoznawalnej – która na milenijny czas została komputerowo ożywiona i przemawia z internetowych stron miasta, a także – dostępna dla spacerowiczów – została stosownie ubrana na czas jubileuszu.

Skierowany do najmłodszych wizerunek króla – wpisany w komiksową formułę wystawy „Chrobry. Życie i twórczość" (pełnej wyzwań i zadań, w tym wielkiej planszowej gry) – znajdziemy w Muzeum Początków Państwa Polskiego. Placówka ta jest również inicjatorem skierowanego do szerokiego odbiorcy projektu „Piast Superstars". W jego ramach w poprzednich latach w teledyskową opowieść o Piaście i Bolesławie Krzywoustym zaangażowali się muzycy, tacy jak Dariusz Malejonek (Maleo Reggae Rockers) i Marek Piekarczyk (TSA). W tym roku do ich grona dołączył... Tomasz Karolak, nagrywając piosenkę „To była długa gra" i występując w klipie realizowanym w Biskupinie w monarszej roli (nie udając jednak na siłę Chrobrego).

Za to na poważnie w wielkim plenerowym widowisku pokazywanym w pierwsze weekendy sierpnia u stóp katedry gnieźnieńskiej w postać pierwszego władcy wcielił się aktor Witold Łuczyński. Wybrany ponoć w nawiązaniu do jednego z posągów Chrobrego na Trakcie Królewskim. Sprawdźcie, czy są podobni?

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Jolanta Gajda-Zadworna, materiały prasowe

epresa.pl e1d9ec288b

SŁODKO-SŁONY

Sposób na turka

ANNA MONICKA

Gdy wracałam z wakacji, dostałam od ciotki w prezencie kilka słoików zupełnie nietypowo przyrządzonych i rzadko w moich stronach spotykanych grzybów. Nazywa je turkami (gdzieniegdzie też niemkami). U niej w lasach w okolicach Choszczna można je zbierać kosą, chociaż nie każdy o nich słyszał i może dlatego ludzie nie zbierają ich tak chętnie. Na spodzie mają blaszki i już choćby to budzi nieufność, zresztą całkiem słusznie, bo jak nie znasz grzyba, lepiej go nie zbieraj.

Naukowo ten grzyb nazywa się płachetka zwyczajna i wielu jej krewniaków nie nadaje się do jedzenia albo wręcz truje. Płachetka jednak jest bardzo smaczna i ceniona w kuchni. Rośnie w lasach iglastych, ma bladożółty lub cielisty kapelusz o dzwonkowatym kształcie i charakterystyczny błoniasty pierścień na trzonie – tak ją opisuje Zofia Leszczyńska-Niziołek w swojej genialnej książce „Polowanie na grzyby". Najłatwiej ją pomylić z zasłonakiem wonnym, ale ten jest fioletowy i nie pachnie przyjemnie.

Ciotka uczyła mnie kiedyś zbierać płachetki, i nawet całkiem dobrze mi szło, ale pokazywałam jej po powrocie z lasu koszyk, żeby sprawdziła, czy się nie pomyliłam. Zawsze podkreślała, żeby szukać ich wyłącznie pod drzewami iglastymi, bo to grzyby mikoryzowe, tworzące z nimi biologiczne połączenia. Tak ją nauczyła zaprzyjaźniona leśniczyna, od której zresztą dostała też przepis na pyszną sałatkę. Zawsze ją od niej przywoziłam i trzymałam na święta, bo wszyscy się zajadali tym nietypowym smakołykiem.

Sałatkę robi się bardzo prosto – albo z płachetek (jeśli obawiasz się je zbierać, można poszukać na straganach, bo w Polsce są dopuszczone do sprzedaży), albo z gąsek, mogą też być kurki, ewentualnie hodowlane boczniaki. Bierzemy sitko ugotowanych grzybów, ½ kg cebuli, szklankę wody, szklankę oleju, 4 łyżki cukru, 2 łyżki soli, ¼ szklanki octu oraz słoiczek koncentratu pomidorowego. Pokrojoną cebulę trzeba zeszklić na oleju, dodać pozostałe składniki i zagotować, a na koniec wrzucić grzyby i dusić 10 min, a potem przełożyć na gorąco do słoików. Smacznego!

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Koty i psy, czyli jest problem

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Narażę się tym tekstem, ale po pierwsze, ktoś musi powiedzieć: „Król jest nagi", a po drugie, mam nadzieję, że artykuł stanie się małym krokiem na drodze do wielkich zmian.

Trudno z pozycji zwykłego obywatela o bardziej nieekologiczne zachowanie niż posiadanie psa lub kota. Problem leży w masowości zjawiska (w Polsce jest obecnie więcej domostw z psami niż z dziećmi), wielkości przemysłu produkującego karmę i w końcu w zanieczyszczaniu miast odchodami. Osobną grupę problemów stanowi niszczenie ekosystemów przez wypuszczane koty.

Śmiejący się z pobłażaniem właściciel kota, kiedy zwierzę z harców w ogrodzie przyniesie zaduszonego ptaka, jest makabryczną figurą, jeżeli ujrzymy ją zmultiplikowaną. Miliony śmiejących się z pobłażaniem Polaków to miliony zabitych ptaków. Łupem kotów często padają objęte ochroną jaszczurki, rzadkie gryzonie czy ryjówki. Problemem jest olbrzymia skala: kotów jest tak dużo, że realnie zagrażają istnieniu populacji całych gatunków. Kot jest uprzywilejowany w stosunku do swoich ofiar: najedzony, wyleczony, wyspany – jego obecność w ekosystemie nie ma w sobie nic naturalnego.

Do produkcji wysoko przetworzonej karmy dla 7 mln kotów i 8 mln psów żyjących w Polsce stworzony jest gigantyczny przemysł produkujący miliony ton mięsnej papy i granulatu każdego dnia. Aby je wyprodukować, należy wyhodować tysiące krów, świń, kur, gęsi, łososi itd. Zakłady produkujące karmę wraz z ubojniami, producentami mączek rybnych, kostnych, a także sieć magazynów, spedycja, dostawa i w końcu przemysł farmaceutyczny dla psów i kotów wywierają wpływ na środowisko, który ciężko sobie wyobrazić. Jeżeli postulujemy wegetarianizm lub ograniczenie spożycia mięsa w celu obniżenia emisyjności, najpierw przemyślmy rezygnację z posiadania zwierząt domowych.

15 mln kotów i psów! Mniej przedstawicieli rodzaju *Homo* żyje np. w Belgii. Dla Belgów i innych ludzkich populacji powstały wydajne i nowoczesne kanalizacje, tymczasem psie odchody nie doczekały się systemowego rozwiązania. Trafiają do śmieci, na trawniki i chodniki. To nie tylko kwestia higieny – to problem zakwaszenia gleby, a tym samym niszczenia bioróżnorodności, zanieczyszczenia wód gruntowych, obciążania wysypisk i emisji metanu. To problem milionów plastikowych worków codziennie trafiających do środowiska. Zakazujemy rurek? Świetnie, jestem za! Ale co z workami na psie odchody?

Psy ratownicy i przewodnicy – oczywiście, psy do dogoterapii – jak najbardziej, psy pasterskie również. Rozumiem też osoby samotne, zwłaszcza starsze, dla których pies bywa jedynym towarzyszem, ale w jakiś sposób powinniśmy doprowadzić sytuację do normalności.

eprasa.pl efd9ec288b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Czego Zachód nie usłyszał

Polski nie było w Berlinie na rozmowach w sprawie Ukrainy. Minister Sikorski twierdzi, że rząd nie dostał zaproszenia. Polski nie było na rozmowach przywódców europejskich w Waszyngtonie, a była Finlandia. Polska, kraj graniczący z ogarniętą wojną Ukrainą, nie ma nic do powiedzenia w sprawach jej przyszłości, bo polski rząd Donalda Tuska jest marginalizowany na arenie międzynarodowej, a w USA – wręcz niechciany. To efekt kompletnie głupawej polityki Donalda Tuska wobec prezydenta Donalda Trumpa i dowód na zwasalizowanie polskiego rządu przez kanclerza Niemiec Friedricha Mertza. A zdjęcie, na którym polski premier składa prawą dłoń w kształt pistoletu i celuje w plecy Trumpa to przykład kompletnego kretynizmu Tuska. I jeszcze zamieścił to zdjęcie w swojej książce.

Tymczasem kolejny rosyjski dron wleciał spokojnie na teren Polski i eksplodował na Lubelszczyźnie. Jesteśmy krajem frontowym z setkami tysięcy Ukraińców, Białorusinów, atakowani nielegalną imigracją ze Wschodu i z Niemiec oraz aktami dywersji w postaci serii pożarów. Równocześnie rząd Tuska za pomocą swoich sprzedajnych ludzi kontynuuje bezwzględną walkę z opozycją, demolując kraj, polską tożsamość narodową i historyczną.

Brak Polaków na rozmowach w sprawie Ukrainy odebrał nam szansę przypomnienia Zachodowi, czym jest współczesna Rosja – a jest tym, czym była przed wiekami, poczynając choćby od Iwana Groźnego, który w XV w. wymordował mieszkańców Nowogrodu tylko za to, że chcieli się rządzić własnymi prawami. Bo ma być tak, jak zdecyduje Moskwa. Słusznie pisał prof. Feliks Koneczny: „A gdzie zaborczość jest zasadą, tam nie ma ona swojego kresu".

Problem Ukrainy to przyczynek do refleksji o odradzającej się imperialnej Rosji, powrocie do doktryny Breżniewa z 1968 r. o ograniczonej suwerenności państw w rosyjskiej strefie wpływów. Cele Rosji pozostają niezmienne: odbudowanie imperium, podbój zbrojny, powrót na dawne tereny i likwidacja wolnej Ukrainy. Rosja chce rządzić Europą Środkową aż do Łaby jak przed 1990 r., a żadne z państw tego regionu – w tym Polska, a tym bardziej Ukraina – nie może być częścią NATO. Porządek światowy według Rosji ma być ustalany w ramach tzw. koncertu mocarstw.

Polska delegacja na rozmowach z przywódcami Zachodu mogłaby wspomnieć o rosyjskich planach zajęcia Europy Zachodniej w latach 70., co ujawnił Amerykanom płk Ryszard Kukliński. Polska delegacja mogłaby w końcu wspomnieć, czym w rzeczywistości jest rosyjska agresja na Ukrainę. To ludobójstwo według klasycznej definicji Polaka Rafała Lemkina, który jako pierwszy wprowadził to słowo do Konwencji ONZ z 9 grudnia 1948 r. Ludobójstwo to zbrodnia przeciwko ludzkości, czyn dokonany w zamiarze zniszczenia w całości lub w części grup narodowych, etnicznych, rasowych, religijnych. Zgodnie z prawem międzynarodowym ludobójstwo jako najcięższa zbrodnia na ludności państwa, kraju, regionu nie podlega przedawnieniu.

Niestety w Polsce nie udało się przyjąć sejmowej rezolucji uznającej Federację Rosyjską za państwo ludobójcze, a nawet za „sponsorujące terroryzm". Już samo słowo „sponsorujące" było jakimś kompromisem w stosunku do lewej strony polskiej sceny politycznej – wszak państwo wspierające terroryzm należało uznać za państwo stricte terrorystyczne. Nie udało się też – podczas rządów Tuska w 2011 r. – opracować planów obronnych dla całej Polski. Ujawniona przez prof. Sławomira Cenckiewicza tzw. Linia Wisły dzieliła kraj na podbitą i zależną od Rosji część wschodnią oraz zachodnią, od której miałaby się zacząć właściwa obrona kraju wspomagana przez NATO. Gdyby do tego doszło, mielibyśmy kolejny rozbiór Polski, bo trudno sobie wyobrazić wycofanie się Rosji z zajętych już terenów. Dlatego jest dla mnie oczywiste, że Rosjanie nie oddadzą zagarniętych Ukrainie jej wschodnich terenów oraz Krymu, a wojna będzie trwała.

Każda okazja przekazania Zachodowi polskiego punktu widzenia na współczesną Rosję jest niesłychanie ważna. Mam nadzieję, że podczas spotkania prezydentów Karola Nawrockiego i Donalda Trumpa 3 września br. pojawi się, choćby w skrócie, wspomnienie Bitwy Warszawskiej w 1920 r., która zatrzymała bolszewików, gdy „po trupie białej Polski" chcieli wywołać rewolucję komunistyczną w Europie Zachodniej. Trump pewnie lubi takie historie, skoro podczas swojego pobytu w Polsce tak pięknie opowiadał o powstańcach warszawskich z 1944 r.

Czy Trump, człowiek Zachodu, da sobie radę z Rosją Putina? Trudno być optymistą, bo dla Rosji nie liczą się żadne deale, gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, tylko bezwzględna siła. Rosja gardzi Zachodem, uważa się za osobną, najlepszą na świecie cywilizację i chce pozostać wielka bez względu na koszty. Rosjanie to akceptują. Dlatego Polska musi się mocno zbroić.

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Alaska i Putin fonetycznie

Andrzej Rafał Potocki

Plan prezydenta Donalda Trumpa, jak zmusić Kreml do rozmów, staje się coraz bardziej czytelny. Najpierw wysłał Steve'a Witkoffa do Moskwy, a po jego powrocie podpisał dwukrotne podniesienie ceł w handlu z Indiami, argumentując, że kraj ten wspiera Federację Moskiewską. Następnie postawił ultimatum, że jak do 7 sierpnia Putin nie zgodzi się na rozpoczęcie rokowań, to rozpęta sankcyjne piekło. Moskwa się zgodziła, ale tak, żeby się nie zgodzić. Witkoff, który znakomicie negocjuje z normalnymi ludźmi, przegrywa w starciu z zawodowymi szulerami z Kremla. Trump zdążył się pochwalić wstępnymi warunkami podjęcia negocjacji, które stanowiły postęp w stosunku do dotychczasowych. W skrócie wyglądały one tak: Ukraina oddaje Donbas, a w zamian Kacapia wycofuje się na pozostałych kierunkach, Kijów nie uznaje prawnie jurysdykcji Kremla nad swoim terytorium, walki zostają przerwane, a Ukraina może wstąpić do NATO. Trzy dni później, na kolejnej telekonferencji z szefami rządów europejskich, na której był obecny Witkoff, tenże zaprzeczył, że Moskwa zgodziła się gdziekolwiek wycofać. Ale mleko się rozlało, bo Trump już zapowiedział spotkanie na Alasce.

Teraz do akcji wkroczył Wołodymyr Zełenski. Wydał oświadczenie, że jako głowa ukraińskiego państwa nie ma prawa oddać terytoriów kraju, które są wpisane do konstytucji. Poparli go w oświadczeniu szefowie rządów europejskich. Ostatecznie podczas trzeciej rozmowy Witkoff przyznał, że jedyna „oferta" Moskwy to wycofanie wojsk ukraińskich z obwodów donieckiego i ługańskiego. Co gorsza, 7 sierpnia Instytut Gallupa opublikował wyniki badań, z których wynikało, że prawie dwie trzecie Ukraińców popiera jak najszybsze zakończenie wojny na jakichkolwiek warunkach. To ustawiło wszystkich przeciwników Moskwy w pozycji „podżegaczy wojennych", którzy działają „wbrew woli ukraińskiego społeczeństwa". Co prawda w kolejnym sondażu wyszło dokładnie odwrotnie – że na amerykański plan zgadza się niecałe 40 proc. Ukraińców, a na plan ukraińsko-europejski, czyli walki do skutku – ponad połowa. Ale i tak informacja o dwóch trzecich gotowych poprzeć pokój na każdych warunkach poszła w eter. Korzystając z tego, Moskwa usztywniła stanowisko, oświadczając że obwody doniecki, ługański, zaporoski i chersoński oraz Krym są wpisane do ich konstytucji i wszelkie negocjacje muszą się zacząć z tego miejsca. W amerykańskiej administracji wybuchła panika i podjęto próbę rozbrojenia tej bomby, którą przez frajera Witkoffa podrzucił Putin.

Jak wyglądało spotkanie na Alasce – wiadomo. Teraz ma dojść do następnego, pomiędzy Załenskim a Putinem. Na czym więc stoimy? Po pierwsze, sytuacja na froncie nie jest tak tragiczna, jak informuje część tzw. ekspertów. Praktycznie wszędzie ataki Moskali zostały odparte. Nawet ten główny pod Pokrowskiem, gdzie groziło przełamanie frontu. Ale jak zwykle Moskal spaprał robotę i utknął w miejscu, tracąc 60 tys. ludzi tylko w samym lipcu. Rzekome „przełamanie" na północ od Pokrowska zostało skutecznie zatrzymane przez 1. Korpus „Azow". Połowa obwodu donieckiego nadal jest poza zasięgiem Kremla. Rajd z rejonu Pokrowska mógł mieć na celu symboliczne osiągnięcie północno-zachodnich krańców Donieczczyzny i w ten sposób wysunąć żądania do całości „zdobytego" terytorium. Ruski ma problem, bo żeby zdobyć cały Donbas, musiałby pokonać istniejący tam „pierścień twierdz", które przez ponad 10 lat skutecznie powstrzymują ataki Moskali. Oczywiście z tego systemu w rękach ukraińskich pozostają tylko Siewiersk, Kramatorsk, Słowiańsk, Drużkówka, Konstantynówka i szczątkowo Toreć, ale zważywszy na to, że zajęcie pozostałych zajęło kacapom ponad trzy lata, są one istotnym elementem hamującym postępy Moskali w głąb kraju. Szansa na przyjęcie warunków Kremla przez Kijów spada prawie do zera. Zełenski wspólnie z szefami rządów europejskich opracował pięć warunków podjęcia rozmów z Putinem: trwałe zawieszenie broni przed „jakimikolwiek zmianami terytorialnymi", wypłacenie przez Kreml odszkodowań, które Kijów szacuje na 500 mld–1 bln dol., gwarancje bezpieczeństwa, utrzymanie sankcji wobec Rosji oraz powrót jeńców wojennych i dzieci (tych ostatnich co najmniej 20 tys.). Praktycznie na żadne z tych żądań Moskwa nie wyrazi zgody. Na razie jednak Moskale świętują swoje „zwycięstwo" w Anchorage. Trudno jednak uznać to za sukces, bowiem jest to tylko odroczenie egzekucji (wprowadzenie ceł w handlu z Indiami). Natomiast w przygotowaniu jest umowa bilateralna USA–Ukraina o pożyczce 100 mld dol. na zakup uzbrojenia z amerykańskich fabryk. Na koniec ciekawostka, ale zacna. Już po wyjeździe delegacji z Alaski na drukarce znaleziono kwity zawierające program konferencji. Obok nazwisk kacapów wpisano ich fonetyczny zapis. Przy Putinie mamy „POO-thin", czyli... cienkie g...o!

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efd9ec288b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Detale tożsamości

Aleksander Nalaskowski

Tożsamość narodową kojarzymy zwykle z językiem, historią, terytorium. To oczywiste, bo są to pryncypia, kamienie milowe i aksjologiczne fundamenty tożsamości narodowej. Aby czuć się Polakiem, utożsamiać się z polskością, trzeba znać język polski, bo w tym języku powstawały dzieła literackie, które po prostu należy poznać. Trzeba znać, choćby z grubsza, historię Polski i Polaków. Ich wzloty i upadki, bohaterstwo i małości. Trzeba też wiedzieć, gdzie leży Polska, znać jej granice i sąsiadów. Trzeba chociaż raz w życiu zobaczyć Wawel, Jasną Górę czy Warszawę. Ten obowiązek w jakiejś mierze spełniają wycieczki szkolne.

Ale o tożsamości decydują również sprawy, o których się mniej dyskutuje, są rzadziej wyciągane na światło dzienne i jakby mniej oczywiste. Ale nie znaczy to, że są nieważne – bo są ważne, tak jak ważny jest każdy dzień powszedni, a nie tylko święta.

Elementem naszej tożsamości jest nasza religijność. I nie idzie mi tu bynajmniej o żar wiary czy jej intensywność, ale o sposób jej wyrażania. Widziałem w Hiszpanii, jak po słowach: „Przekażcie sobie znak pokoju" małżeństwa dawały sobie słodkiego buziaka. U nas kłaniamy się sobie i rzadko ktoś wyciąga rękę. We Francji widziałem, jak wszyscy uczestnicy eucharystii poszli do komunii. Co ciekawe, w kościele nie zauważyłem żadnego konfesjonału. U nas komunię bierze się do ust, a na Zachodzie – na dłoń.

Polska jest jednym – jeśli nie jedynym – z krajów, w którym przestrzega się piątkowego postu. W szkole moich wnuczek obowiązuje on nawet w stołówce szkolnej. Kucharki zawsze ugotują coś bezmięsnego. Podobnie jest u nas z Wigilią. Już tylko w Polsce na wsiach można zobaczyć dziatwę i dorosłych zgromadzonych wokół przydrożnych kapliczek na nabożeństwie majowym. Podobnie jest z przyjęciem pierwszej komunii. U nas to zawsze ogromna uroczystość, w innych krajach – niekoniecznie. A na pewno nie tak powszechnie. Czy gdzieś jeszcze poza Polską przechodzą tak tłumnie procesje Bożego Ciała? A ilu z nas zakłada garnitur tylko w niedzielę do kościoła?

Można by wymieniać znacznie więcej rysów charakterystycznych form wyrażania naszej religijności, bo jest ich mnóstwo. Wiele z nich ma charakter całkowicie endemiczny.

Trzecim wymiarem naszej tożsamości jest wychowywanie najmłodszych albo szerzej – edukacja wraz z jej systemem oświatowym. Niestety te korzenie tożsamościowe są w tej chwili podcinane

Elementem naszej tożsamości jest też kuchnia. W powiedzeniu „polski rolnik, polskie pole, polski chleb na polskim stole" jest zawarte jądro prawdy. Nasza kuchnia i nasze smaki to kształt naszej codzienności. Nie wiem, czy istnieje drugi kraj, w którym lista zup jest tak bogata jak w Polsce. Gdzieś tam jedzą owoce morza, bo mają ich pod dostatkiem. Gdzie indziej – bezmiar cytrusów i innych egzotycznych owoców. My mamy swoje schabowe, gołąbki, pierogi, flaczki i mizerię. Czy ktoś po długim pobycie za granicą nie tęskni do polskiej kuchni? Pamiętam zdziwienie moich gości z Anglii na widok leśnych grzybków w zaprawie octowej. Dla nich grzyb to pieczarka – i tylko ona. Nie tknęli marynowanych rydzów.

Nasze menu wynika bezpośrednio z możliwości pozyskania surowców. Nasza ziemia rodzi takie, a nie inne zboża, takie warzywa i owoce, taką paszę dla zwierząt. Dieta Polaków jest więc zakorzeniona w polskiej ziemi, w pracy polskiego chłopa. Ale jedzenie to także rytuał. Wigilia ma swój niepowtarzalny kształt i smak. Wieczerza smakuje tak jedyny raz w roku. Podobnie śniadanie wielkanocne ma swoją specyfikę. Wciąż, i to nierzadko, można spotkać osoby, które żegnają się przed jedzeniem. Krótką modlitwę przed niedzielnym obiadem odmawiano u moich dziadków, w moim domu rodzinnym i teraz u mnie.

Trzecim wymiarem naszej tożsamości jest wychowywanie najmłodszych albo szerzej – edukacja wraz z jej systemem oświatowym, kadrami i kształceniem nauczycieli. Niestety te korzenie tożsamościowe są w tej chwili podcinane, a polska szkoła i MEN łaszą się do Europejskiego Obszaru Edukacji. To bardzo groźne i niebezpieczne. Szkoła jest spychana w przestrzeń permisywizmu i infantylizacji. Ujmując rzecz nieco rubasznie – szkoła ma zgłupieć, zidiocieć, stać się placem zabaw, na którym nic nie trzeba, a wszystko wolno. Szkoła nie ma uczyć, ale oduczać – pracy, posłuszeństwa, pilności, systematyczności. Jak mawiał mój promotor pracy magisterskiej: „Patriotyzm zaczyna się od czytania elementarza".

Patriotyzm jest nasycony różnorodną tożsamością. Nie tylko ten defiladowy, wyśpiewany w hymnie, lecz także ten codzienny, ze swą codzienną specyfiką.

eprasa.pl efd9ec288b

Michał Korsun prezentuje:
Szczerba w empatii posła KO

Wycinki z przeszłości

W tym wydaniu naszego kącika proponujemy humor rysunkowy z roku 1910. Konteksty już często nie istniejące, ale typy ludzkie, przywary i emocje, identyczne jak dziś.

(mk)

Z WOLEJA

Jądra „Baryły”, taktyka i lektyka...

Ryszard Czarnecki

Byłem na tym meczu. Siedziałem sam wśród angielskich kibiców, radośnie fetujących kolejne gole strzelane Biało-Czerwonym. Na Wembley – oczywiście jeszcze tym starym – Polska trenowana przez Wojciecha Łazarka „Baryłę” przegrała z Albionem 0:3 i nie dostała się na Mundial w 1990 r.

Po dziewięciu latach znów byłem na Wembley, znów graliśmy z Anglikami, znów straciliśmy trzy gole, ale honorową bramkę zdobył Jerzy Brzęczek, późniejszy trener kadry, a prywatnie wuj Kuby Błaszczykowskiego. Wtedy, w 1998 r., kadrę prowadził Janusz Wójcik, czyli „Wójt”, wcześniej, w 1989 r., właśnie „Baryła”. O nim właśnie dziś kilka słów. Nie przypadkiem, bo akurat w tym tygodniu mija 39 lat od kiedy został trenerem reprezentacji. Jego poprzednik Antoni Piechniczek postawił poprzeczkę bardzo wysoko: na Mundialu w Hiszpanii zajęliśmy trzecie miejsce, a na mistrzostwach świata w Meksyku wyszliśmy z grupy, co udało się Biało-Czerwonym dopiero po 34 latach (kadra Czesława Michniewicza na MŚ w Katarze).

Reprezentacja Łazarka nie osiągnęła takich sukcesów, co kadra Piechniczka, za to „Baryła” przeszedł do historii polskiego futbolu jako autor dziesiątek niebywałych piłkarskich powiedzonek. Po jednym z wygranych meczów rzekł: „Graliśmy tak, że moje jądra same składały się do oklasków”. Albo surowo oceniał taktykę własnej drużyny: „Gramy na typowe udo. Albo się udo, albo się nie udo”. Potrafił być autoironiczny, ale też za wszelką cenę znajdować pozytywy: „Przegraliśmy cały mecz, ale wygraliśmy drugą połowę”.

„Baryła” trenował aż 16 klubów w Polsce, 1 w Szwecji, 4 w Izraelu i krajach arabskich, a przez dwa lata reprezentację Sudanu. Na trenerce zjadł zęby. Może dlatego mówił: „Niekiedy ta praca przypomina całowanie tygrysa w dupę. Przyjemność żadna, a ryzyko duże”. I barwnie dodawał: „Z budowaniem drużyny jest podobnie jak z robieniem słonia: dużo kurzu, szumu, a efekt dopiero za dwa lata”.

Po swojej pracy na Czarnym Lądzie o afrykańskich gwiazdorach mówił: „Czasem, gdy przyjeżdżają na zgrupowania, to mylą taktykę z lektyką”. Za to do swoich piłkarzy w Polsce, którzy na treningu nie biegali tak szybko, jakby chciał, krzyczał: „Nie ciągniemy się jak prezerwatywa”.

Złośliwy by powiedział, że Łazarek miał większą inwencję w pomeczowych komentarzach niż jego zawodnicy na boisku. Był bowiem nie do podrobienia, mówiąc o futbolistach Ruchu Radzionków: „Grają, jakby nażarli się surowego mięsa”. A o czołowym snajperze polskiej kadry Mirosławie Trzeciaku rzekł: „Wyskoczył do piłki napakowany jak kabanos”.

Jednak na pewno nie mylił się w jednej sprawie, mówiąc o decyzjach piłkarskich arbitrów: „Nie warto kopać się z koniem”.

eprasa.pl efd9ec288b

OD A DO ZYBERTOWICZ

Politologiczny odlot?

Czy politolożka deklarująca przywiązanie do ideałów demokratycznych promuje budowanie politycznych kordonów?

Do lektury zachęcił mnie tytuł – „Karol II". Chodzi o umieszczony w tygodniku „Polityka" (z 13 sierpnia 2025 r.) komentarz prof. Anny Siewierskiej, przedstawionej jako „politolożka". W trakcie lektury pomyślałam: „Kobieto, skąd się urwałaś?".

CO SIĘ KOMU KOJARZY

Orędzie, które Karol Nawrocki wygłosił w dniu swego zaprzysiężenia, Anna Siewierska uznała za „najbardziej konfrontacyjne w historii Polski po 1989 r.".

Zdaniem pani profesor „forma, w jakiej to zrobił, nasuwa jak najgorsze skojarzenia, z których najłagodniejsze dotyczą kibolskich sektorów Lechii Gdańsk. Styl ten przypadkowy nie jest, gdyż prezydent Nawrocki – a może bardziej jego doradcy wizerunkowi – wie, że polityczne chuligaństwo o brunatnym zabarwieniu jest na fali wznoszącej, młodym mężczyznom zaś imponuje taki brutalny styl uprawiania polityki. Demokracją gardzą za jej słabość, wiedzą za to, jak wykorzystać wpisane w nią mechanizmy do jej niszczenia".

Najciekawsze – czy raczej najzabawniejsze – jest to, że „politolożka" w ogóle nie uzasadniła tych twierdzeń. Nie wiem, co Siewierska ma na myśli, oburzając się na „formę". Prezydent nie skandował, nie skakał. Skąd w jej wyobraźni stadion? Nie wiem także, skąd wzięła przekonanie o jego pogardzie dla demokracji. Nie zacytowała żadnego fragmentu orędzia, nie opisała żadnego gestu prezydenta.

W opinii wielu komentatorów oraz mojej orędzie było precyzyjnie skonstruowane i wyważone. Prezydent nie tylko punkt po punkcie przedstawił plan działania na najbliższe lata, lecz także odwołał się do idei ojców założycieli naszej niepodległości, którzy reprezentowali wszystkie najważniejsze nurty polityczne odradzającej się Rzeczypospolitej.

Jeśli Siewierska określa taką postawę jako „konfrontacyjną", to pytanie, czy aby nie pomyliła jakichś własnych „brunatnych" obsesji z faktycznym orędziem. Czyżby to zapis wewnętrznego monologu autorki?

PANI PROFESOR SZYDZI

Nie mniej kuriozalny jest atak Siewierskiej na posłankę Paulinę Matysiak (w oryginale jest „Matusiak", literówka najwyraźniej umknęła korekcie) z partii Razem, która wbrew politycznym podziałom wsparła inicjatywę ustawodawczą Karola Nawrockiego dotyczącą Centralnego Portu Komunikacyjnego, pojawiając się 8 sierpnia 2025 r. na spotkaniu z prezydentem w Kaliszu.

W kulturze demokracji właśnie taka postawa powinna być w cenie. Ale zamiast docenić zaangażowanie poseł Matysiak w sprawy kraju i jej gotowość do działania na rzecz dobra wspólnego, Siewierska pogardliwie nazwała posłankę „maskotką pierwszego spotkania prezydenta Nawrockiego z mieszkańcami Kalisza". Trudno nie przecierać oczu ze zdumienia – czy politolożka deklarująca przywiązanie do demokratycznych ideałów promuje budowanie politycznych kordonów? Czy nowoczesna debata publiczna ma sięgać po taki język?

DLA WSPÓLNYCH CELÓW

Paulina Matysiak od lat konsekwentnie wspiera rozwój infrastruktury komunikacyjnej w Polsce, w tym projekt Centralnego Portu Komunikacyjnego, który może być jednym z najważniejszych impulsów modernizacyjnych dla Polski. Już wcześniej, w czerwcu 2024 r., wspólnie z posłem PiS Marcinem Horałą, byłym pełnomocnikiem rządu Morawieckiego do spraw CPK, zaangażowała się w tworzenie Ruchu Społecznego Tak dla Rozwoju, za co partia Razem zawiesiła ją na 180 dni. Paulina Matysiak nie raz tłumaczyła, że nawet działając w konkurencyjnych partiach, można wspólnie pracować nad projektami kluczowymi dla rozwoju.

Prezydent Nawrocki doskonale to rozumie. Dziękując Matysiak za przybycie do Kalisza, podkreślił: „Mimo że pani poseł zapewne głosuje w wielu głosowaniach inaczej niż koleżanki i koledzy z PiS, to są rzeczy, które nas łączą. Wierzę głęboko, że uda nam się wyłączyć rozwój, bezpieczeństwo i problemy demograficzne z codziennego zgiełku politycznego".

Demokracja działa, gdy ludzie różnych opcji ideologicznych potrafią się porozumieć w sprawach kluczowych dla obywateli. Komentarz prof. Anny Siewierskiej odbieram jako manifest ideologicznej frustracji. Być może jedyne, co cenne w jej tekście, to tytuł, który może się okazać proroczy.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl efd9ec288b

wPolsce24

NIE MA NAS W TWOIM TELEWIZORZE?

Zacznij działać! Naciskaj na swojego operatora telewizji kablowej.

Dzwoń, pisz, przekaż mu kontakt do nas:

operatorzy.kablowi@wPolsce24.tv

Im więcej zgłoszeń otrzyma operator, tym szybciej
Ty i Twoi bliscy będziecie mogli oglądać wPolsce24.

Informacje o lokalnych i regionalnych operatorach tv:
www.wpolsce24.tv/gdzie-nas-ogladac

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio

eprasa.pl efd9ec288b

„Zbudujmy razem studio z widokiem na Polskę. Bo niezależne media to nasza wspólna sprawa".

ZBIERAMY NA NOWE STUDIO TELEWIZYJNE

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

CEL: 1 000 000 zł

WESPRZYJ patriotyczne media

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

telewizja naziemna	CANAL+	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY (dawniej upc)	inea	TOYA	evio
52	62	192	32	825	196	65	459	631	43

eprasa.pl efd9ec288b